

W cieniu zakwitających dziewcząt, tom trzeci





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

MARCEL PROUST

W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU

W cieniu zakwitających dziewcząt

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

TOM TRZECI

Po wyjeździe pana de Charlus, mogliśmy wreszcie z Robertem wybrać się na obiad do Blocha. Otóż w czasie tej małej uroczystości zrozumiałem, że anegdota, których humorem kolega nasz zbyt łatwo przeceniał, to były anegdota starszego pana Blocha, i że człowiekiem „bardzo interesującym” był zawsze któryś z przyjaciół ojca. Jest pewna ilość ludzi, których podziwiamy w dzieciństwie; ojciec odbijający inteligencją od reszty rodziny, profesor strojny w naszych oczach blaskiem metafizyki, którą nam odsłonił, kolega bardziej „awangardowy” od nas (jak Bloch w stosunku do mnie), który gardzi Mussetem z *Espoir en Dieu*, gdy my kochamy go jeszcze, kiedy zaś my dojdziemy do kultu „ojca Leconte” lub Claudela, będzie się już tylko unosił nad

A Saint-Blaise, à la Zuecca
Vous étiez, vous étiez bien aise¹...

dodając do tego

Podoue est un fort bel endroit
Où de très grands docteurs en droit
...Mais j'aime mieux la polenta
...Passe dans mon domino noir
La Toppatelle.

i ze wszystkich *Nocy* Musseta zapamięta tylko:

Au Havre, devant l'Atlantique,
A Venise, à l'affreux Lido,
Où vient sur l'herbe d'un tombeau
Mourir la pâle Adriatique...

Otóż z człowieka, którego uwielbiamy na wiarę, zbieramy, cytujemy często z podziwem rzeczy o wiele lichsze od tych, które, zdani na własny instynkt, odrzucilibyśmy bezwzględnie, tak samo jak pisarz spożytkowuje w swojej powieści — pod pozorem, że są prawdziwe — „powiedzenia” osób, stanowiące, przeciwnie, w żywej całości element martwy i mierny. Portrety Saint-Simona — zapewne kreślone przez niego od niechcenia — są wspaniałe; powiedzenia natomiast znajomych mu dowcipnych ludzi, które przytacza jako urocze, wydają się nam mierne lub stały się niezrozumiałe. Nie raczyłby wymyślić tego, co cytuje jako tak subtelne lub barwne w ustach pani Cornuel albo Ludwika XIV. Fakt ten, który można zresztą stwierdzić u wielu innych pisarzy, zawiera kilka możebnych interpretacji; na razie wystarczy nam jedna: mianowicie, że w stanie ducha, w jakim pisarz „obserwuje”, jest on o wiele niżej poziomu, na jakim się znajduje w chwili, gdy tworzy.

Był więc w moim koledze Blochu zawarty starszy pan Bloch, zapóźniony o czterdzieści lat w stosunku do syna; opowiadał głupawe anegdotki, śmiejąc się z nich tyleż piersią mego przyjaciela, ile to czynił sam stary Bloch zewnętrzny i prawdziwy. Do śmiechu, jakim parskał ojciec, nie bez uprzedniego powtórzenia dwa lub trzy razy ostatniego słowa, iżby publiczność mogła dobrze ocenić historyjkę, przyłączał się hałaśliwy śmiech, jakim syn nie omieszkiał witać przy stole anegdot ojcowskich. I tak, po bardzo inteligentnych spostrzeżeniach, młody Bloch, ujawniając dziedzictwo rodzinne, powtórzył nam po raz trzydziesty jedno z owych powiedzonek, jakie starszy pan Bloch wydobywał jedynie (wraz ze swoim tużurkiem) w uroczyste dni, gdy młody Bloch przyprowadził kogoś, kogo warto było oślnić: któregoś ze swoich profesorów, kolegę laureata lub, tego wieczora, Roberta de Saint-Loup i mnie. Na przykład: „Bardzo tegi strategik, który nader uczenie wywiódł i dowiódł, dla jakich niezawodnych przyczyn w wojnie rosyjsko-japońskiej

Artysta, Sztuka, Prawda

¹*A Saint-Blaise, à la Zuecca (...)* — wiersz Alfreda de Musset (1810–1857), spopularyzowany potem jako piosenka, mówiący o pragnieniu, by żyć i umrzeć w Wenecji. [przypis edytorski]

Japończycy będą pobici, a Rosjanie zwyciężą”; albo też: „To jest najlepszy polityk między finansistami, a najlepszy finansista między politykami”. Te powiedzonka zastępowała czasem anegdota o baronie de Rothschild lub o sir Rufusie Israels, wprowadzająca na scenę tych potentatów w sposób dwuznaczny, zdolny obudzić przekonanie, że pan Bloch zna ich osobiście.

Ja sam złapałem się na to, i ze sposobu w jaki starszy pan Bloch mówił o pisarzu Bergotte, sądziłem, że to jest jego stary przyjaciel. Otóż wszystkich dawnych ludzi pan Bloch znał jedynie „tylko tak”; widział ich po prostu z daleka w teatrze lub na bulwarach. Wyobrażał sobie zresztą, że jego własna fizys, jego nazwisko, jego osoba, nie są im obce i że spostrzegając go, muszą często wstrzymać mimowolną chęć ukłonu. Ludzie światowi, znający wybitnych ludzi w oryginale, miewający ich u siebie na obiadach, nie rozumieją ich przez to lepiej. Ale kiedy się żyło trochę w „wielkim świecie”, głupota jego mieszkańców zbyt wiele ponęt wróży nam i zbyt wiele każe nam przypuszczać inteligencji w owym skromniejszym światku, znającym wszystko „tylko tak”. Miałem sobie z tego zdać sprawę z okazji Bergotte’a.

Pan Bloch nie sam jeden cieszył się powodzeniem w swoim domu. Młody Bloch, mój kolega, miał go jeszcze więcej u sióstr, które bez przerwy zaczepiał niby to zrzędząc, spuszczać głowę w talerz i rozsmieszając je tym do łez. Przejęły zresztą język brata, którym mówiły biegle, tak jakby to był język obowiązkowy, jedyny dopuszczalny dla osób inteligentnych. Skorośmy przybyli, najstarsza rzekła do młodszej: „Idź uprzedź naszego roztropnego ojca i czcigodną macierz”.

— Suki — rzekł do nich Bloch — przedstawiam wam kawalera Saint-Loup o chyżych pociskach, który przybył na kilka dni z Doncières o budowlach z gładkiego kamienia, obfitego w konie.

Ponieważ Bloch był równie pospolity jak odczytany, przemowa kończyła się zazwyczaj jakimś mniej homeryckim żarcikiem:

— Nuże, zapnijcie trochę wasze chlamidy o pięknych klamrach, co to są za siuchty? Ostatecznie, wystawiajcie, ile chcecie, to nie moje.

I panny Bloch tarzały się ze śmiechu.

Powiedziałem ich bratu, ile radości mi sprawił, zalecając mi lekturę Bergotte’a, którego książki ubóstwiałem. Stary Bloch, znający Bergotte’a tylko z daleka, a jego życie jedynie z ulicznych plotek, miał równie pośredni sposób zapoznawania się z jego dziełami za pomocą sądów niby to literackich. Żył w świecie „obok”, w świecie ukłonów w próżnię i fałszywych sądów. Niedokładność, niekompetencja nie zmniejszają tam pewności siebie: przeciwnie. Jest to dobroczynny cud miłości własnej: skoro mało kto może mieć świetne stosunki i głęboką wiedzę, ci, którym ich zbywa, i tak uważają się za najlepiej obdarzonych. Optyka szczerbli socjalnych sprawia, iż każdy uważa za najlepsze to miejsce, które sam zajmuje; taki spogląda z góry i z litością na największych, których omawia i obmawia, nie znając ich, których sądzi i lekceważy, nie rozumiejąc. Nawet w wypadkach, gdzie pomnożenie słabych osobistych zalet przez miłość własną nie zdołałoby każdemu zapewnić dawki szczęścia większej niż przypadła innym, a jemu koniecznej, zjawia się zawiść, aby dopełnić różnicy. Prawda iż, gdy zawiść wyraża się w lekceważących frazesach, wówczas słowa „nie chcę go znać” trzeba tłumaczyć jako: „nie mogę go znać”. To jest sens intelektualny. Ale sens uczuciowy jest: „nie chcę go znać”. Taki człowiek wie, że to nie jest prawda, ale mówi to nie przez prostą komedię; tak mówi, bo tak czuje, i to mu wystarcza dla zniweczenia dystansu, czyli dla szczęścia.

Ponieważ egocentryzm pozwala w ten sposób każdemu człowiekowi widzieć wszechświat ułożony piętrami poniżej niego — króla — pan Bloch fundował sobie ten zbytek, aby być królem bezlitosnym, kiedy rano przy czekoladzie, widząc podpis Bergotte’a pod artykułem w zaledwie otwartym dzienniku, udzielał mu wzgardliwie śpiesznej audjencji, wydawał wyrok i delectował się satysfakcją powtarzania przy każdym łyku wrzącego napoju: „Ten Bergotte zrobił się nie do czytania. Jak to bydlę umie być nudne! I po to abonuje się dziennik! Co za wywijasy, co za fidrygały!”. I smarował rogalik masłem.

Pozycja społeczna,
Szczęście, Zazdrość

Pogarda

Ta złudna ważność starszego pana Blocha rozciągała się zresztą poza sferę jego prywatnych wrażeń. Po pierwsze, własne dzieci uważały go za wielkiego człowieka. Dzieci zawsze są skłonne albo obniżyć, albo przeceniać rodziców; dla dobrego syna ojciec jest zawsze najlepszym z ojców, nawet poza wszelkimi przedmiotowymi racjami podziwu. Otóż z tych racji nie był całkowicie wyzuty pan Bloch, człowiek wykształcony, sprytny, czuły ojciec. W najbliższej rodzinie lubiono go. O ile w „towarzystwie” sędzi się ludzi wedle pewnego niedorzecznego zresztą miernika i wedle reguł fałszywych, ale stałych, przez porównanie z ogółem innych wytwornych ludzi, w zamian za to w rozproszkowaniu mieszczańskiego życia obiady i wieczory rodzinne kręcą się dokoła osób, które się okrzykuje miłymi i zabawnymi, a które w „świecie” nie wytrzymałyby próby ani dwóch wieczorów. Poza tym w środowisku, gdzie nie istnieją sztuczne wielkości arystokracji, zastępuje się je wyróżnieniami jeszcze bardziej fantazyjnymi. Tak na przykład w rodzinie, a nawet u bardzo dalekich krewnych, rzekome podobieństwo w sposobie noszenia wąsów i w rysunku nosa sprawiało, że pana Blocha nazywano „omal księżę Aumale”. (W świecie „strzelców” w klubie lub w hotelu, jeden z nich, który nosi czapczkę na bakier i bardzo obcisłą kurtkę, dającą mu jakoby wygląd cudzoziemskiego oficera, czyż nie staje się swego rodzaju figurą dla kolegów?)

Podobieństwo było niezmiernie mgliste, ale można by rzec, że stało się tytułem. Powtarzano: „Bloch? który? księżę Aumale?”, tak jak się mówi: „Księżna Murat? która? królowa (Neapolu)?”. Pewna ilość drobnych oznak do reszty wyposażała pana Blocha w oczach jego krewiństwa w rzekomą dystynkcję. Nie puszczając się na zbytek własnego powozu, pan Bloch wynajmował w pewne dnię otwartą dwukonną wiktoryę i objeżdżał Lasek Buloński, wygodnie rozparty, z dwoma palcami na skroni, a dwoma pod brodą; o ile ci, co go nie znali, nazywali go z tego powodu bufonem, rodzina była przekonana, że co się tyczy szyku, wuj Salomon mógłby dawać lekcje samemu Gramont-Caderousse. Należał do osób, które kiedy umierają, kronika światowa dziennika „Radical” mieni „sylwetą dobrze znaną paryżanom”; a to z przyczyny sąsiedztwa stołu w bulwarowej restauracji z naczelnym redaktorem tego pisma. Pan Bloch powiedział Robertowi de Saint-Loup i mnie, iż Bergotte tak dobrze wie, czemu on mu się nie kłania, że skoro go ujrzy w teatrze lub w klubie, odwraca oczy. Saint-Loup zacerwienił się, bo pomyślał, że ten klub to nie mógł być Jockey Club, którego ojciec jego był swego czasu prezesem. Z drugiej strony, musiał to być klub stosunkowo zamknięty, bo pan Bloch powiedział, że już by tam dziś Bergotte’a nie przyjęli. Toteż drżąc, że może „nie docenia przeciwnika”, Saint-Loup zapytał, czy to jest klub z ulicy Royale, uważany przez rodzinę Roberta za kompromitującą, a gdzie (jak słyszał) przyjmowano niektórych Izraelitów.

— Nie — odparł pan Bloch z niedbałym i dumnym zażenowaniem — to mały klubik, o wiele przyjemniejszy: Klub *Safandulów*. Bardzo się tam surowo obrabia cały światek.

— Czy to nie sir Rufus Israels jest tam prezesem? — spytał młody Bloch, chcąc dostarczyć ojcu sposobności szczytnego kłamstwa i nie domyślając się, że ów finansista nie posiada w oczach Roberta tyle uroku, co w jego własnych. W rzeczywistości do klubu Safandulów należał nie sir Rufus Israels, ale jeden z jego urzędników. Że jednak był bardzo dobrze ze swoim pryncypałem, miał do dyspozycji bilety wizytowe wielkiego finansisty i dawał taki bilet panu Bloch, kiedy ów jechał w podróż jedną z linii kolejowych, gdzie sir Rufus był w zarządzie; co sprawiało, że stary Bloch mówił: „Zajdę do klubu poprosić o rekomendację sir Rufusa”. I bilet pozwalał mu oślniewać konduktorów.

Panny Bloch bardziej zainteresowały się Bergottem; zaczem wracając do niego, zamiast się trzymać tematu „Safandulów”, młodsza spytała brata najpoważniej w świecie, bo sądziła, że nie ma na oznaczenie ludzi z talentem innych wyrażań:

— Czy to jest naprawdę tak zadziwiający facet, ten Bergotte? Czy on należy do kategorii wielkich mogolów, facetów takich jak Villiers lub Catulle?

— Spotykałem go często na premierach — rzekł pan Nissim Bernard. — Bardzo niezgrabny, istny Schlemihl.

Ta aluzja do powiastki Chamissa nie była niczym ważnym, ale epitet *Schlemihl* należał do owego pół-niemieckiego, pół-żydowskiego dialektu, którym pan Bloch z lubością posługiwał się w zaciszu domowym, ale który uważał za pospolity i niewłaściwy przy obcych. Toteż objął wujaszka surowym spojrzeniem.

— Ma talent — powiedział Bloch.

— A! — rzekła poważnie siostra, jakby chcąc powiedzieć, że w tych warunkach można mnie usprawiedliwić.

— Wszyscy pisarze mają talent — rzekł z pogardą starszy pan Bloch.

— Zdaje się nawet — rzekł syn, podnosząc widelec i mrużąc oczy z diaboliczną ironią, że on ma zamiar kandydować do Akademii.

— Dajże pokój, nie ma na to dostatecznej wagi — odparł starszy pan Bloch, który nie zdawał się żywić dla Akademii tej samej pogardy co jego potomstwo. — Nie ma potrzebnego kalibru.

— Zresztą Akademia, to jest salon, a Bergotte nie ma dosyć szlif — oświadczył ciepły wujaszek pani Bloch, nieszkodliwy i dobroduszny jegomość, którego nazwisko *Bernard* byłoby może samo przez się obudziło diagnostyczne dary mego dziadka, ale wydałoby się nie dość zharmonizowane z twarzą, jakby przeniesioną z pałacu Dariusza i odtworzoną przez panią Dieulafoy, gdyby imię *Nissim*, wybrane przez jakiegoś amatora pragnącego dać wschodnie uwieńczenie tej suzańskiej twarzy, nie było nad nią umieściło skrzydeł jakiegoś byka z ludzką głową z Chorsabad. Ale pan Bloch nie przestawał lżyć wuja, czy że podniecała go bezbronna dobroduszność ofiary, czy że wobec tego, iż wilę opłacał pan Nissim Bernard, korzystający z niej Bloch chciał okazać, że zachowuje swoją niezawisłość, a zwłaszcza że się nie stara pochlebstwem zapewnić sobie spadku po bogaczu. Pan Bernard był dotknięty zwłaszcza tym, że go traktują tak ordynarnie przy lokaju. Mruknął jakieś niezrozumiałe słowa, z których można było tylko rozróżnić: „kiedy *meszuresy* są w pokoju”. *Meszures* oznacza w Biblii sługę bożego. Między sobą Blochowie określali tym wyrażeniem służących i bawili się tym zawsze, pewność bowiem, że ich nie rozumieją ani chrześcijanie, ani sama służba, cieszyła pana Nissim Bernard i pana Bloch w ich podwójnej właściwości chlebobawców i Żydów. Ale to ostatnie źródło radości stawało się źródłem niezadowolenia, kiedy byli goście. Wówczas pan Bloch, słysząc to *meszures*, znajdował, że wuj zanadto odsłania swoją stronę orientálną, tak samo jak kokota, zaprosiwszy swoje przyjaciółki razem z przyzwoitymi ludźmi, wścieka się, gdy one robią aluzje do swego zawodu lub używają brzydkich słów. Toteż prośba wuja nie tylko nie zrobiła wrażenia na panu Bloch, ale ten, wyprowadzony z równowagi, nie mógł się już powstrzymać. Nie stracił już ani jednej sposobności prześladowania nieszczęsnego wuja. „Oczywiście, kiedy jest okazja powiedzenia jakiegoś kołtuństwa *à la* pan Prudhomme, można być pewnym, że jej wuj nie przepuści. Pierwszy lizałbyś mu nogi, gdyby był tutaj” — krzyknął pan Bloch, podczas gdy pan Nissim Bernard, zasmucony, pochylił ku talerzowi swoją pierścienistą brodę, godną króla Sargonu. Mój kolega, od czasu jak też nosił brodę, również kędzierzawą i granatową, bardzo był podobny do swego wuja.

— Jak to, pan jesteś synem margrabiego de Marsantes, ależ ja go bardzo dobrze znam — rzekł pan Nissim Bernard do Roberta. Myślałem, że chciał powiedzieć „znałem” w sensie, w jakim pan Bloch mówił, że zna Bergotte’a, to znaczy z widzenia. Ale pan Bernard dodał — Ojciec pański był moim bliskim przyjacielem.

Młody Bloch zaczerwił się mocno, ojciec jego miał minę głęboko niezadowoloną, panny Bloch dławily się od śmiechu. Bo u pana Nissim Bernard pasja popisu, powściągnięta u starego Blocha i u jego dzieci, zrodziła zwyczaj ustawicznego kłamstwa. Na przykład w czasie podróży, mieszkając w hotelu, pan Nissim Bernard (tak jak mógłby to zrobić starszy pan Bloch) kazał lokajowi przynosić sobie dzienniki do jadalni podczas śniadania, kiedy wszyscy siedzieli przy stole, aby widziano, że podróżuje z lokajem. Ale ludziom, z którymi zbliżył się w hotelu, wuj mówił (czego by nigdy nie zrobił jego siostrzeniec), że jest senatorem. Wiedział, iż kiedyś wyjdzie na jaw uzurpacja tego tytułu: w danej chwili nie mógł się oprzeć żądzy przechwałki. Pan Bloch wiele cierpiał od kłamstw wuja i od wszystkich kłopotów, jakie mu sprawiały.

— Niech pan nie zważa, on jest straszny blagier — rzekł półgłosem do Roberta, którego zajęło to tym żywiej, ile że się interesował bardzo psychologią kłamców. — Kłamlivszy² jeszcze niż Itakanin Odys, którego Atene nazywała wszelako najkłamlivszym z ludzi — uzupełnił nasz kolega Bloch.

— A to dopiero! — wykrzyknął pan Nissim Bernard — czyż ja się spodziewałem, że będę jadł obiad z synem mego przyjaciela. Ależ ja mam w Paryżu fotografię pańskiego oj-

²kłamlivszy, najkłamlivszy — dziś: bardziej kłamlivy, najbardziej kłamlivy. [przypis edytorski]

ca i nie wiem ile listów od niego. Nazywał mnie zawsze „swoim wujaszkiem”, nikt nigdy nie wiedział czemu. To był uroczy człowiek, czarujący. Przypominam sobie jeden obiad u mnie w Nizzy, gdzie byli Sardou, Labiche, Augier... („Molier, Racine, Corneille” dodał ironicznie starszy pan Bloch, a młody dokończył: „Plaut, Menander, Kalidasa”. Pan Nissim Bernard, dotknięty, urywał nagle i pozbawiając się ascetycznie wielkiej przyjemności, wytrwał w milczeniu do końca obiadu.)

— Saint-Loup o kasku ze spiżu — rzekł Bloch — dobierz no trochę tej kaczki o udach ciężkich od tłuszczu, na które znamienity ofiarnik ptactwa rozlał mnogie libacje czerwonego wina.

Zazwyczaj, wydobywszy na intencję znamienitszego gościa anegdoty dotyczące sir Rufusa Israels i innych, pan Bloch, czując, że wzruszył syna aż do rozczulenia, wycofywał się, aby się nie „spospolitować” w oczach „smyka”. Ale kiedy była jakaś całkiem wyjątkowa okazja, na przykład kiedy syn zdał doktorat, do zwykłej serii anegdot pan Bloch dodawał tę ironiczną uwagę, którą zachowywał raczej dla swoich osobistych przyjaciół (toteż młody Bloch był nadzwyczaj dumny, kiedy ojciec uraczył nią jego kolegów): „Rząd popełnił straszliwą gafę. Nie poradził się pana Coquelin! Pan Coquelin raczył wyrazić swoje niezadowolenie”. (Pan Bloch lubił pozować na reakcjonistę i afiszować się z pogardą dla aktorów).

Ale panny Bloch i ich brat zacerwienili się po uszy ze wzruszenia, kiedy starszy pan Bloch, chcąc się do końca okazać królewskim wobec przyjaciół syna, kazał podać szampana i oznajmił niedbale, że aby nas uraczyć, polecił kupić trzy fotele na przedstawienie, jakie Opéra-Comique dawała tego wieczora w kasynie. Żałował, że nie mógł dostać łoża. Były wszystkie zajęte. Zresztą zna te łoża, lepiej się widzi z fotelów. Ale o ile wadą syna (to znaczy tym, co syn uważał za niewidoczne dla oczu drugich) była ordynarność, wadą ojca było skąpstwo. Toteż pod nazwą szampana kazał dać w karafce lekkie musujące wino, a pod nazwą foteli wziął parterowe krzesła, o połowę tańsze, cudownie przeświadczony, dzięki boskiej interwencji swojej wady, że ani przy stole, ani w teatrze (gdzie wszystkie łoża były puste), nikt nie spostrzeże różnicy. Skoro nas pan Bloch napoił z płaskich kieliszków, które syn jego ozdobił mianem „pucharów o głęboko wydrążonych ścianach”, kazał nam podziwiać obraz, który tak kochał, że go przywoził z sobą do Balbec. Oznajmił nam, że to jest Rubens. Saint-Loup spytał naiwnie, czy jest podpisany. Pan Bloch odpowiedział, rumieniąc się, że kazał ściąć podpis z powodu ramy, co jest bez znaczenia, skoro nie ma zamiaru sprzedawać. Po czym pożegnał nas spiesźnie, aby się zagłębić w „Journal Officiel”, którego numery zagrażały mieszkaniu: lektura niezbędna dlań „wobec jego sytuacji parlamentarnej”, co do której charakteru nie dał nam ściślejszych wyjaśnień.

— Biorę szalik — oświadczył Bloch — jako że Zefir i Boreasz walczą ze sobą o lepsze na rybodajnym morzu, o ile się zaś trochę zapóźnimy po przedstawieniu, wrócimy aż o pierwszych blaskach różanopalcej Eos.

— *À propos* — spytał Roberta, kiedyśmy się znaleźli na dworze — kto jest ten pocieszny facet w ciemnym garniturze, który się tryndał za wami po plaży przedwczoraj rano?

Zadrzałem, bom pojął natychmiast, że Bloch mówi z tą ironią o panu de Charlus.

— To mój wuj — odrzekł Saint-Loup urażony.

Nieszczęściem, „gafa” nie była rzeczą, której się Blochowi zdarzyło kiedy uniknąć. Aż go skręciło ze śmiechu:

— Moje uszanowanie! powinienem się być domyślić, ma pierwszorzędny szyk i nieopłaconą fizys ramola wysokiej klasy.

— Mylisz się najzupełniej, jest bardzo inteligentny — odparł Saint-Loup wściekły.

— W takim razie żałuję, bo jest mniej stylowy. Chętnie bym go zresztą poznał, jestem pewien, że bym napisał jakiś pełnowartościowy interes o takich cacusiach. Ten, na oko, jest morderczy. Ale pominąłbym stronę karykaturalną (w gruncie dość lichego gatunku dla artysty rozkochanego w plastycznym pięknie słowa) tej facjaty, która, daruj mi, rozśmieszyła mnie do łez na dobrą chwilę; uwydatniłbym arystokratyczną stronę twojego wuja, który w gruncie robi byczy efekt i skoro przejdzie pierwsza uciecha, frapuje bardzo wielkim stylem. Ale — rzekł, zwracając się tym razem do mnie — jest pewna rzecz, w całkiem innej kategorii pojęć, o którą chciałem cię spytać; i za każdym razem, kiedy

się spotkamy, jakiś bóg, błogosławiony mieszkaniec Olimpu, każe mi całkowicie zapomnieć, że cię mam prosić o tę wiadomość, która już mogła mi być i z pewnością będzie mi bardzo użyteczna. Kto to jest ta piękna osoba, z którą spotkałem cię w zoologicznym ogrodzie, w towarzystwie pana (zdaje mi się, że go znam z widzenia) i panienki z długimi włosami?

Widziałem, że pani Swann nie pamiętała nazwiska Blocha, skoro mi wymieniła inne i określiła mego kolegę jako urzędnika ministerstwa; nigdy od tego czasu nie przyszło mi na myśl dowiedzieć się, czy Bloch istotnie tam pracuje. Ale w jaki sposób Bloch, który, wedle tego, co mi pani Swann wówczas powiedziała, był jej przedstawiony, mógł nie znać jej nazwiska? Byłem tak zdziwiony, że przez chwilę nie umiałem mu odpowiedzieć.

— W każdym razie, przyjm moje powinszowanie; nie musiałeś się z nią nudzić. Spotkałem ją kilka dni pierwej w kolejce obwodowej; pozwoliła zmierzyć swój obwód twojemu słudze; nigdy nie spędziłem równie lubych chwil i mieliśmy przedsięwziąć wszystkie kroki, aby się zobaczyć znowu, kiedy jakaś osoba, jej znajoma, miała tę niedelikatność, aby się wpakować do przedziału na przedostatniej stacji.

Milczenie, jakie zachowałem, nie podobало się widocznie Blochowi.

— Miałem nadzieję — rzekł — dowiedzieć się dzięki tobie jej adresu i iść do niej kosztować kilka razy na tydzień rozkoszy Erosa, miłego bogom; ale nie nalegam, skoro ty się bawisz w dyskrecję wobec fachowej wydry, która mi się oddała trzy razy z rzędu, i to w sposób najbardziej wyrafinowany, między Paryżem a Point-du-Jour. Odnajdę ją któregoś wieczora, prędzej lub później.

Byłem u Blocha z wizytą w następstwie tego obiadu, on mnie rewizytował, ale nie zastał mnie w domu. Zauważyła go Franciszka, która przypadkowo, mimo że bywał w Combray, nigdy go dotąd nie widziała. Tak iż wiedziała tylko, że to „ktoś z państwa, które znałem” przyszedł do mnie „z wizytami”; nie wiedziała „z jakim powodem”, ubrany „tak sobie”; słowem, nie zrobił na niej wielkiego wrażenia. Wiedziałem, że niektóre pojęcia socjalne Franciszki pozostaną mi wiecznie nieprzeniknione; a polegały one może w części na pomieszaniu słów i nazwisk, które raz na zawsze wzięła jedne za drugie; mimo to nie mogłem się powstrzymać (ja, który od tak dawna wyrzekłem się stawiania sobie pytań w takich wypadkach) od daremnych zresztą dociekań, co może być dla Franciszki imponującego w nazwisku „Bloch”. Bo ledwie jej powiedział, że ów młody człowiek, którego widziała, to jest pan Bloch, cofnęła się o kilka kroków, tak wielkie było jej zdumienie i zawód.

— Jak to! To jest pan Bloch! — wykrzyknęła z miną osłupiałą, jak gdyby osoba tak niezwykła musiała mieć coś dającego natychmiast poznać, że jesteśmy w obliczu kogoś z możliwych tego świata. I jak ktoś, kto znajduje, że jakaś figura historyczna nie jest na wysokości swojej reputacji, powtarzała ze wzruszeniem, w którym czuło się na przyszłość zarodki generalnego sceptycyzmu — Jak to, to jest pan Bloch! Och, faktycznie, nie powiedziałoby się tego na oko!

Robiła wrażenie, że ma żal do mnie, jakbym ja jej kiedy „przechwalił” Blocha. A mimo to miała tę dobroć, aby dodać:

— Ano, chociaż to jest pan Bloch, panicz może sobie powiedzieć, że wygląda nie gorzej od niego.

Niebawem przeżyła w stosunku do Roberta de Saint-Loup, którego ubóstwiała, rozczarowanie innego rodzaju i mniej trwałe: dowiedziała się, że on jest republikanin. Otóż, mimo iż mówiąc na przykład o królowej portugalskiej, wyrażała się z tym brakiem uszanowania, jaki u ludu jest najwyższym uszanowaniem: „Amelia, siostra Filipa”, Franciszka była rojalistką. Ale zwłaszcza margrabia, margrabia, który ją oślśnił, a który był za Republiką, nie wydawał się jej już autentyczny. Objawiała to samo niezadowolenie, co gdybym jej dał puzderko rzekomo złote, za które by mi podziękowała z zapalem, a potem jubiler powiedziałby jej, że to tombak. Natychmiast odjęła swój szacunek Robertowi, ale niebawem zwróciła mu go, zastanowiwszy się, że nie może, będąc margrabią de Saint-Loup, być republikaninem, że tylko udaje dla interesu, bo przy obecnie panującym rządzie to mu może grubo przynosić. Od tego dnia chłód jej wobec niego, uraza jej do mnie znikły.

I kiedy mówiła o Robercie, powiadała: „Taki fałszywy” z takim szerokim i poczciwym uśmiechem, okazującym wymownie, że go „uważa” znów tyle co pierwszego dnia i że mu przebaczyła.

Otóż, wręcz przeciwnie, Robert był absolutnie szczerzy i bezinteresowny; i ta właśnie wielka czystość moralna, nie mogąc znaleźć całkowitego zaspokojenia w uczuciu samolubnym, jak miłość, z drugiej strony nie czując niemożliwości — tak jak ją czułem ja — znalezienia pokarmu duchowego gdzie indziej niż w sobie samym, czyniła go naprawdę zdolnym do przyjaźni w tym samym stopniu, w jakim ja byłem do niej niezdolny.

Nie mniej myliła się Franciszka co do Roberta, gdy powiadała, że on niby to nie gardzi prostymi ludźmi, ale to nieprawda: wystarczy go widzieć, kiedy się rozżłości na stangreta! Zdarzało się w istocie Robertowi polajac go dość żywo, co dowodziło u niego poczucia nie tyle różnicy, co równości między klasami.

— Ależ — odpowiedział na moje wyrzuty, że potraktował nieco szorstko owego stangreta — czemuż miałbym się silić z nim na grzeczność? Czyż on nie jest mi równy? Czy nie jest tym samym co wujowie lub kuzyni? Ty zdajesz się uważać, że ja powinienem go traktować ze specjalnymi względami jak niższego od siebie. Mówisz jak arystokrata — dodał ze wzgardą.

W istocie, jeżeli była klasa, wobec której Robert był uprzedzony i stronniczy, to była nią arystokracja, tak iż równie trudno mógł uwierzyć w wyższość człowieka światowego, jak łatwo wierzył w wyższość człowieka z ludu. Kiedy mu raz wspomniałem o księżnej de Luxembourg, którą spotkałem z jego ciotką:

— Geś! — powiedział — jak wszystkie jej podobne. To zresztą po trochu moja kuzynka.

Mając uprzedzenie do ludzi światowych, sam bywał „w świecie” mało, a wzdarliwa lub wroga postawa, jaką tam przybierał, wzmagała jeszcze u wszystkich bliskich krewnych zgrzyotę z powodu jego stosunku z „aktorzycą”, stosunku, który ich zdaniem stał się dla Roberta oplakany, rozwijając w nim ten zmysł krytyki, tego ducha opozycji, sprowadzając go z dobrej drogi, zanim go „zdeklasuje” zupełnie. Toteż złota młodzież z Faubourg Saint-Germain była bez litości, kiedy mówiono o kochance Roberta: „Dziwki robią swój fach — powiadali — warte są tyle co inne, ale nie ta! Nie darujemy jej tego! Za dużo złego wyrządziła komuś, kogo kochamy”. Z pewnością Saint-Loup nie był pierwszym, który się zaplątał w taką historię. Ale inni bawili się jak ludzie światowi, zachowali nadal poglądy ludzi światowych w polityce, we wszystkim. Natomiast co do Roberta, rodzina uważała, że on się „zepsuł”. Nie zdawali sobie sprawy, że dla wielu młodych salonowców, którzy bez tego zostaliby nieokrzesani, gruboskórni w uczuciach, pozbawieni dobroci i smaku, kochanka staje się często prawdziwym ich nauczycielem, a stosunek tego rodzaju jedyną szkołą moralną, gdzie nabywają wyższej kultury, gdzie poznają wartość bezinteresownego myślenia. Nawet w najniższych warstwach (które pod względem gruboskórności tak często przypominają wielki świat) kobieta, wrażliwsza, subtelniejsza, mniej zapracowana, ma ciekawość pewnych wyrafinowań, ceni pewien wdzięk uczuć i sztuki, który, choćby go nie rozumiała, stawia wszelako ponad to, co się wydaje mężczyźnie najbardziej upragnione — pieniądze, stanowisko. Otóż czy chodzi o metresę młodego klubowca jak Saint-Loup, czy o kochankę młodego robotnika (elektrotechnicy na przykład stanowią dziś szeregi prawdziwego rycerstwa), amant ma dla niej zbyt wiele podziwu i szacunku, aby nie miał rozciągnąć tych uczuć na to, co ona sama poważa i podziwia i co dla niego przeobraża skalę wartości. Jest wątpliwa przez samą swoją pleć, ma niewytłumaczone zaburzenia nerwowe, które u mężczyzny, a nawet u innej kobiety, ciotki lub kuzynki, przyprawiłyby tego tęgiego chłopaka o uśmiech. Ale nie może patrzeć na cierpienia tej, którą kocha. Młody panicz, gdy jak Saint-Loup ma kochankę, uczy się, idąc z nią do restauracji, mieć w kieszeni walerianę, której ona może potrzebować; uczy się zalecać kelnerowi stanowczo i bez ironii, aby zamykał drzwi uważnie i bez hałasu, aby nie stroił stołu wilgotnym mchem, grożącym kochance owymi dolegliwościami, jakich osobiście nigdy nie odczuwał. Właśnie te słabości stwarzają dlań tajemniczy świat, w którego realność ona nauczyła go wierzyć; słabości, z którymi współczuje teraz, nie potrzebując nawet ich znać, z którymi będzie współczuł nawet u innej kobiety. Kochanka Roberta — jak pierwsi średniowieczni mnisi chrześcijaństwa — wszczepiła mu litość dla zwierząt, które namiętnie kochała, nie ruszając się nigdy bez swego psa, bez swoich kanarków i papużek;

i Saint-Loup czuwał nad nimi z macierzyńską troskliwością i traktował jak bydłaków ludzi bez serca dla zwierząt. Z drugiej strony, aktorka lub rzekoma aktorka, jak ta, co żyła z Robertem — czy była inteligentna czy nie, czego nie wiedziałem, sprawiając, że się nudził w towarzystwie światowych dam i uważał za pilę proszone wieczory, uchroniła go od snobizmu i wyleczyła z salonowości. Jeżeli dzięki niej stosunki światowe mniej zajmowały miejsca w życiu jej młodego kochanka, w zamian za to uczyła go szukać w przyjaźni czegoś szlachetniejszego, wyrafinowanego, podczas gdy, gdyby był został zwykłym złotym młodzieńcem, stosunki jego regulowałyby próżność lub interes, a brutalność dawałaby im styl. Ze swoim kobiecym instynktem, szczególnie ceniąc w mężczyznach wrażliwość, którą sam z siebie kochanek jej byłby może zmroził i wyszydził, natychmiast umiała pośrednio przyjaźniół Roberta poznać i wyróżnić człowieka mającego dlań szczere przywiązanie. Umiała Roberta zmusić, aby czuł dla tego człowieka wdzięczność, aby mu ją okazał, aby umiał zauważyć, co mu sprawia przyjemność lub przykrość. I niebawem Saint-Loup, już bez jej uwag, zaczął dbać o to wszystko, i w Balbec, gdzie jej nie było, dla mnie, którego ona nigdy nie widziała i o którym on jej może nie wspomniał nawet jeszcze w listach, sam z siebie podnosił szybę w powozie, usuwał kwiaty, które mi szkodziły, i kiedy, odchodząc, miał się zegnać z kilkoma naraz osobami, starał się pożegnać je nieco wcześniej, aby zostać na końcu sam ze mną, aby zrobić tę różnicę między nimi a mną, aby mnie traktować inaczej niż innych. Kochanka otwarła umysł Roberta na Niewidzialne, pogłębiła jego życie, wysubtelniła serce, ale wszystko to uchodziło wzroku zbolalej rodziny, która powtarzała: „Ta szelma go zabije, okrywa go hańbą”. To prawda, że w końcu Robert wziął z kochanki wszystko dobre, jakie mu mogła dać, i teraz była jedynie przyczyną, że cierpiał bez ustanku, bo nabrała doń wstrętu i dręczyła go. Zaczęła pewnego dnia uważać, że jest śmieszny i głupi, bo wmówili to w nią przyjaciele, których miała wśród młodych autorów i aktorów, a ona powtarzała z kolei to, co jej powiedzieli, z taką pasją, z taką bezwzględnością, jaką okazujemy za każdym razem, kiedy przejmujemy od drugich i przyswajamy sobie opinie lub zwyczaje zupełnie nam obce. Głosiła chętnie, jak tamci kabotyni, że między Robertem a nią jest przepaść nie do przebycia, bo są innej rasy: ona jest intelektualistka, a on, co bądź by w siebie wmawiał, jest z urodzenia wrogiem inteligencji. Ten pogląd zdawał się jej głęboki, szukała jego potwierdzenia w najbłahszych słowach, w najbliższym geście kochanka. Ale kiedy ci sami przyjaciele przekonali ją jeszcze, że ona niweczy w tak nieodpowiednim dla niej towarzystwie wielkie nadzieje, które — jak twierdzili — wróżyła; że ten kochanek zaciąży w końcu na niej; że żyjąc z nim zabija swoją przyszłość artystki, wówczas wzgarda dla Roberta zmieniła się w nienawiść, jak gdyby on się uparł zaszczepić jej śmiertelną chorobę. Widywała go jak najmniej, mimo iż odwlekała jeszcze ostateczne zerwanie, które mi się zdawało mało prawdopodobne. Saint-Loup robił dla niej tyle, że niełatwo znalazłaby człowieka, który by go w tym zastąpił, o ile nie była cudownie piękna. (Ale on nigdy nie chciał mi pokazać jej fotografii powiadając: „Po pierwsze, to nie jest piękność, a po wtóre, ona źle wychodzi na fotografii; to są tylko migawki, które ja sam robiłem swoim kodakiem, dałyby ci fałszywe pojęcie o niej”). Nie rozumiałem, że pewna mania zdobycia sobie nazwiska, nawet kiedy się nie ma talentu, że uznanie, samo tylko prywatne uznanie osób, które nam imponują (co może zresztą nie miało miejsca, jeżeli chodzi o kochankę Roberta), mogą się stać nawet dla zwykłej kokotki pobudką bardziej decydującą niż przyjemność zgarniania pieniędzy.

Saint-Loup, nie rozumiejąc dobrze, co się dzieje w duszy kochanki, nie sądził, aby ona była całkowicie szczerą zarówno w niesprawiedliwych wymówkach, co w zakłękach wiecznej miłości; ale miał chwilami poczucie, że ona zerwałaby z nim, kiedy by mogła, i z tej przyczyny, wiedziony zapewne instynktem samozachowawczym swojej miłości, bardziej jasnovidzącym od niego samego, posługując się zresztą zręcznością praktyczną, która szła u niego w parze z najgwałtowniejszymi i najbardziej ślepymi porywami serca, nie chciał jej dać w rękę kapitału. Zapożyczał się na wielkie sumy, iżby jej nie zbywało na niczym, ale udzielał ich jej tylko z dnia na dzień. I zapewne, w razie jeżeli ona naprawdę myślała o tym, aby go rzucić, czekała zimno, aż sobie coś „uciula”, co przy sumach, jakie jej dawał Saint-Loup, wymagało niewątpliwie czasu bardzo krótkiego, ale w każdym razie czas ten stanowił naddatek zdolny przedłużyć szczęście mego nowego przyjaciela — lub jego nieszczęście.

Ten dramatyczny okres ich stosunku doszedł teraz do najostrzejszego punktu, najokrutniejszego dla Roberta. Zabroniła mu zostać w Paryżu, gdzie ją drażniła jego obecność; zmusiła go, aby spędził urlop w Balbec w pobliżu swego garnizonu. Zaczęło się to jednego dnia u ciotki Roberta, na której Saint-Loup wymógł zaproszenie dla swojej kochanki: miała wobec licznych gości recytować fragmenty symbolistycznej sztuki, którą grała raz na scenie awangardy i dla której udzieliła Robertowi własnego podziwu.

Ale kiedy się zjawiła z wielką lilią w ręce, w kostiumie skopiowanym z *Ancilla Domini* i mającym być — jak to wmówiła Robertowi — prawdziwą „wizją sztuki”, owo zebranie klubowców i wielkich dam powitało jej wejście uśmiechami, które monotonne zawođenje, dziwność pewnych słów, ich częste powtarzanie się, zmieniły w szalony śmiech, najpierw dławiony, potem tak nieodparty, że biedna recytatorka nie mogła mówić dalej. Nazajutrz ciotka Roberta spotkała się z ogólnym potępieniem za to, że pozwoliła wystąpić u siebie pociesznej kabotynce. Pewien dobrze znany książę nie taił jej, że jeżeli ściągnęła na siebie krytykę, sama jest sobie winna.

— Cóż u diaska, nie można nas częstować numerami tego rodzaju! Gdybyż jeszcze miała talent; ale nie ma go i nie będzie miała nigdy. Do kata! Paryż nie jest tak głupi, jak się to utrzymuje. Towarzystwo nie składa się z samych idiotów. Ta panienska myślała najwidoczniej, że zadziwi Paryż. Ale Paryż jest nieco trudniejszy do zadziwienia i mimo wszystko są rzeczy, do których przełknięcia nikt nas nie zmusi.

Co się tyczy artystki, wyszła, powiadając do Roberta:

— Do jakich krów, do jakich dziwek bez wychowania, do jakich parobków ty mnie zaprowadziłeś? Zatem wiedz, nie było tam ani jednego mężczyzny, który by nie robił do mnie oka albo nie trącał mnie nogą, i dlatego żem odepchnęła ich chamskie zaloty, próbowali się zemścić.

Słowa te zmieniły antypatię Roberta do salonowców we wstręt znacznie głębszy i boleśniejszy, a wstręt ten budził w nim osobliwie ci, co najmniej na to zasługiwali, oddani krewni, którzy, wydelegowani przez rodzinę, starali się namówić kochankę Roberta, aby się z nim rozstała, gdy ona wytłumaczyła mu ten krok ich miłością do niej. Robert zerwał z nimi natychmiast stosunki; ale kiedy, jak teraz, był daleko od swojej przyjaciółki, wyobrażał sobie, że ci lub inni korzystają z tego, aby przypuszczać ataki i że może zdołali coś wskórać. I kiedy mówił o donżuanach, którzy zdradzają swoich przyjaciół, deprawują kobiety lub starają się je ściągnąć do domu schadzek, twarz jego dyszała cierpieniem i nienawiścią.

— Zabiłbym każdego takiego z mniejszym wyrzutem sumienia niż psa. Pies jest przynajmniej zwierzę miłe, uczciwe i wierne. Ale tacy warci są gilotyny bardziej niż biedacy, których przywiódł do zbrodni nędza i okrucieństwo bogaczy.

Spędzał przeważnie czas na wysyłaniu listów i depech do kochanki. Za każdym razem, kiedy ona, nie pozwalając mu przyjechać do Paryża, znalazła sposób pokłócenia się z nim na odległość, poznawałem to z jego zmienionej twarzy. Ponieważ nie mówiła nigdy, co mu ma do zarzucenia, podejrzewał, iż skoro nie mówi, to może sama nie wie i po prostu ma go dość; mimo to pragnął się z nią rozmówić; pisał do niej: „Powiedz mi, co ja zrobiłem złego. Jestem gotów uznać swoje winy”; zgryzota, jakiej doznawał, utrwałała w nim przeświadczenie własnych błędów.

Ale ona dawała mu bez końca czekać na odpowiedzi, pozbawione zresztą sensu. Toteż prawie zawsze z chmurnym czołem, a często z próżnymi rękami, Robert wracał z poczty, gdzie sam z całego hotelu, wraz z Franciszką, chodził po list lub sam zanosił listy, on przez niecierpliwość kochanka, ona przez nieufność służącej. (Z depechami musiał chodzić znacznie dalej).

Kiedy w kilka dni po obiedzie u Blochów, babka oznajmiła mi z rozradowaniem, że Saint-Loup spytał jej, czy nie chce, aby ją przed swoim wyjazdem z Balbec sfotografował, kiedym ujrzał, że włożyła w tym celu najpiękniejszą suknię i wahała się między różnymi sposobami uczesania, czułem się nieco podrażniony dzieciństwem, które mnie tak w niej zdziwiło. Aż wreszcie pytałem sam siebie, czym się nie pomylił co do babki, czym jej nie stawał zbyt wysoko, czy ona jest równie obojętna na wszystko dotyczące jej osoby, jak to zawsze przypuszczałem, czy nie ma w niej tego, com uważał za najbardziej jej obce, kokieterii?

Na nieszczęście, niezadowolenie, jakie we mnie budził projekt fotografii, a zwłaszcza widoczna radość babki z tego projektu, przejawiało się na tyle, aby Franciszka je odgadła; i mimo woli pogłębiła je sentymentalnymi i rozczulonymi gawędami, wobec których zachowałem się tym chłodniej.

— Och, proszę panicza, ta kochana pani będzie taka szczęśliwa, że się będzie *portretować* i że nawet włoży ten kapelusz, który stara Franciszka jej przystroiła, trzeba jej pozwolić, paniczu.

Przekonałem sam siebie, że nie jestem okrutny, drwiąc sobie z czułościowości Franciszki, przypominałem sobie bowiem, że matka i babka, moje wzory we wszystkim, też to nieraz czyniły. Ale babka, widząc moją kwaśną minę, oznajmiła, że o ile to pozowanie ma mi sprawić przykrość, wyrzeknie się go. Nie zgodziłem się; upewniłem ją, że nie widzę w tym nic złego i pozwoliłem jej stroić się, ale sądziłem, że dam dowód przenikliwości i inteligencji, celując w nią parę ironicznym i dotkliwym słówek, mających zneutralizować przyjemność, jaką widocznie znajdowała w tej fotografii. Tak iż, o ile mnie podrażnił widok wspaniałego kapelusza babki, udało mi się bodaj spędzić z jej twarzy ten radosny wyraz, który powinien był mnie uszczęśliwić i który — jak się to zdarza zbyt często, póki jeszcze żyją najukochańsze nam istoty — wydaje się nam raczej drażniącym objawem lichej wady niż szacowną formą szczęścia, jakiego tak pragnęlibyśmy dla nich. Mój zły humor płynął zwłaszcza stąd, że owego tygodnia babka jak gdyby unikała mnie, tak że nie mogłem jej mieć bodaj chwilę dla siebie ani w dzień, ani wieczorem. Kiedym wracał po południu, aby być z nią trochę sam, powiadano mi, że jej nie ma; albo zamykała się z Franciszką na długie narady, których nie wolno mi było zamącić. I kiedy, spędziwszy wieczór poza domem z Robertem, wracając, myślałem o chwili, gdy będę mógł ujrzeć i uściskać babkę, darmo czekałem na te lekkie pukania w ścianę, wzywające mnie, abym jej przyszedł powiedzieć dobranoc; nie słyszałem nic. Kładłem się w końcu, mając do niej trochę żalu, że mnie pozbawia, z obojętnością tak nową z jej strony, radości, na którą tak liczyłem. Jeszcze przez jakiś czas czekałem z sercem bijącym jak w dzieciństwie, słuchając ściany, która zostawała niema, i zasypiałem we łzach.

Tego dnia, jak i w poprzednie dni, Saint-Loup musiał jechać do Doncières, gdzie, zanim miał wrócić na dobre, zatrzymywano go teraz zawsze do wieczora. Żałowałem, że go nie ma w Balbec. Widziałem młode kobiety wysiadające z powozów, jedne wchodziły do sali balowej kasyna, inne do cukierni; z daleka wydawały mi się czarujące. Byłem w owej fazie młodości, kiedy serce, niezajęte specjalnie nikim, jak gdyby czeka; kiedy się wszędzie — niby kochanek pożądaną kobietą — pragnie Piękności, szuka się jej, widzi się ją. Niech jakiś rys realny — jakiś szczegół kobiety oglądanej z daleka lub obróconej plecami — pozwoli nam wywołać Piękność przed naszymi oczami, już sobie wyobrażamy, żeśmy ją odkryli, serce nam bije, przyspieszamy kroku i zostaniemy na zawsze wół przekonani, że to była ona, byleby znikła: jedynie wówczas gdy ją możemy dogonić, pojmujemy swój błąd.

Zresztą czując się coraz bardziej cierpiący, skłonny byłem przeceniać najprostsze przyjemności przez trudność, z jaką mi przychodziło ich osiągnąć. Zdawało mi się, że wszędzie widzę eleganckie kobiety, bo byłem zbyt zmęczony, o ile to było na plaży, zbyt nieśmiały, o ile to było w kasynie lub w cukierni, aby się do nich zbliżyć. Jednakże jeżeli miałem rychło umrzeć, byłbym rad wiedzieć, czym są z bliska, w rzeczywistości, najładniejsze dziewczęta, jakie życie może ofiarować, gdyby nawet ktoś inny niż ja lub nawet nikt nie miał skorzystać z tej ofiary (nie zdawałem sobie w istocie sprawy, że zawiązkiem mojej ciekawości była chęć posiadania). Byłbym się odważył wejść na salę balową, gdyby Saint-Loup był ze mną. Sam, stałem po prostu przed Grand Hotelem, czekając chwili, gdy pójdę spotkać się z babką, kiedy ujrzałem zbliżających się kilka dziewcząt, jeszcze prawie na krańcu drogi, gdzie tworzyły osobliwą i ruchomą plamę; równie odmiennym wyglądem i wzięciem od wszystkich osób, jakie przywykłem oglądać w Balbec, jak mogłoby być przybyłe nie wiadomo skąd stado mew, gdy drepcąc po plaży — przy czym zapóźnione doganiają, podfruwając, poprzednie — odbywają swoją przechadzkę o celu

równie zagadkowym dla letników, których ptaki zdają się nie widzieć, jak jasno określonym dla ich ptasiego umysłu.

Jedna z tych nieznanym prowadziła rower; dwie inne trzymały kluby do golfa, a strój ich odcinał się od stroju innych dziewcząt w Balbec, również może oddających się po trosze sportom, ale bez specjalnego w tym celu kostiumu.

Była to godzina, gdy panie i panowie odbywali codziennie spacer po promenadzie, wystawieni na nielitościwe ognie *face à main*, jakie kierowała na nich (tak jakby mieli jakąś skazę, którą pragnęła wystudiować w najmniejszych szczegółach) żona prezydenta, dumnie siedząca przed kioskiem dla muzyki, pośród tego groźnego rzędu krzesel, gdzie za chwilę oni sami, z aktorów stając się krytykami, mieli się usadowić, aby sądzić z kolei wszystkich defilujących przed nimi. Szli po promenadzie, kołysząc się tak silnie, jak gdyby się znajdowali na pokładzie statku; nie umieli podnieść nogi, aby równocześnie nie poruszyć ramieniem, nie obrócić oczu, nie poprawić ramion, nie skompensować każdego ruchu wahadłowym ruchem w przeciwną stronę i nie czerwienić na twarzy. Udawali, że nikogo nie widzą, aby sprawić wrażenie, że się nie troszczą o osoby idące obok nich lub w przeciwnym kierunku; ale bacząc ukradkiem, aby ich nie potrącić, zderzali się właśnie z nimi, zahaczali się o nie, ponieważ byli nawzajem z ich strony przedmiotem tej samej tajemnej uwagi, ukrytej pod tą samą pozorną obojętnością; ile że miłość — tym samym lęk — tłumy jest jedną z najpotężniejszych sprężyn u wszystkich ludzi, czy starają się podobać innym lub zadziwić ich, czy też pragną pokazać, że nimi gardzą. U samotnika zamknięcie, nawet absolutne i trwające do końca życia, ma za pobudkę nadmierną miłość tłumy, tak bardzo górującą nad innym uczuciem, że gdy nie może, wychodząc z domu, uzyskać podziwu odzwiernego, przechodniów, woźnicy, woli nie być nigdy przez nich ujrzanym i wyrzeka się wszelkiego działania, które by mu kazało opuszczać pokój.

Pośród wszystkich tych ludzi, z których ten i ów ściagał jakąś myśl, ale wówczas zdradzał jej wahania niepokojem gestów, spojrzeń, równie mało harmonijnych jak oględne chybotanie się sąsiadów, dziewczęta, które zauważyłem, szły prosto przed siebie, z opanowaniem gestów, jakie daje doskonale wyćwiczenie ciała i szczerą pogardą dla reszty ludzkości. Szły przed siebie bez wahań i bez zakłopotania, wykonując ściśle te ruchy, jakie chciały, przy pełnej niezawisłości każdego z członków, przy czym korpus zachowywał ową nieruchomość, tak znamiennej dla osób dobrze tańczących walca. Były już blisko mnie. Mimo iż każda z nich miała typ absolutnie różny od innych, wszystkie były piękne; co prawda widziałem je od tak niedawna i nie śmiejąc się im przyglądać, że nie zindywidualizowałem jeszcze żadnej. Z wyjątkiem jednej, której prosty nos i ciemna skóra odcinały się od innych — niby na jakimś renesansowym obrazie jeden z Trzech Królów rodem z Arabii — pochwyliłem w jednej z nich jedynie parę oczu twardych, upartych i roześmianych; w drugiej tylko policzki, których różowość miała miedziany ton przywołujący na myśl geranię; a nawet i tych rysów nie zlokalizowałem jeszcze niezawodnie w żadnej z dziewcząt; i kiedy (wedle porządku, w jakim się rozwijał ten zespół — cudowny, bo w nim sąsiadowały najrozmaitsze kształty, spotykały się wszystkie gamy kolorów, ale mętny jak muzyka, w której nie umiałbym wyosobnić i rozpoznać, w miarę ich zjawiania się, fraz pochwyconych, ale zapomnianych w chwilę potem) widziałem wynurzający się biały owal, oczy czarne, oczy zielone, nie wiedziałem, czy to są te same, które już na mnie wionęły czarem przed chwilą, nie mogłem ich odnieść do jakiejś określonej młodej dziewczyny, którą bym oddzielił od innych i rozpoznał. I ten brak granic w mojej wizji — granic, które niebawem miałem między nimi ustalić — kołysał grupę jakimś harmonijnym falowaniem, nieustanną transmisją płynnej, zbiorowej i ruchomej piękności.

Może nie sam przypadek skupił te przyjaciółki i dobrał je, wszystkie tak piękne; może te dziewczęta (których postawa wystarczała, aby zdradzić natury śmiałe, płuche i twarde), nader wrażliwe na wszelką śmieszność i brzydotę, odporne powabom kategorii intelektualnej lub moralnej, uczuły, pośród swoich rówieśnic, odrazę do wszystkich tych, których myśląca lub wrażliwa natura wyrażała się nieśmiałością, skrępowaniem, niezręcznością. Wszystko to określiły zapewne jako „antypatyczny fason” i odsunęły się od tego typu; zaprzyjaźniły się w zamian z innymi, do których ciągnęło je jakieś zespolenie wdzięku, zwinności i elegancji fizycznej, jedyna forma, pod jaką mogły sobie wyobrazić swobodę miłego charakteru i wróżbę pędzonych wspólnie przyjemnych godzin. Może i sfera, do

Tłum, Obyczaje

Samotnik

której należały, a której nie umiałem określić, znajdowała się w tym punkcie ewolucji, w którym, bądź dzięki zamożności i wywczasom, bądź dzięki nowoczesnym nawykom sportu (szerzącym się nawet w pewnych kołach ludowych) oraz kultury fizycznej, niełączącej się jeszcze z kulturą umysłową, środowisko społeczne, podobne harmonijnym i płodnym szkołom rzeźby, nieszukającym jeszcze skomplikowanego wyrazu, wydaje obficie i naturalnie piękne ciała o pięknych nogach, o pięknych biodrach, o zdrowych i wypoczętych twarzach, ruchliwych i sprytnych. I czyż to nie były szlachetne i spokojne wzory ludzkiej piękności, które widziałem przed sobą w obliczu morza niby posągi wystawione na słońce kędyś na greckim wybrzeżu?

Widocznie ta gromadka, posuwająca się wzdłuż promenady niby świetlna kometa, osądziła, iż otaczający ją tłum składa się z istot innej rasy, tak że nawet jego cierpienie nie byłoby w nich zdolne obudzić poczucia solidarności, bo nie widziały po prostu tego tłumy. Zmuszały przystające osoby do usunięcia się na bok, niby przy przejściu wypuszczonej maszyny, po której nie ma co oczekiwać, aby mijala pieszych. Co najwyżej, kiedy jakiś starszy pan, którego istnienie ignorowały i którego dotknięcie odpychały od siebie, uciekł z nagłymi lub śmiesznymi gestami przestachu lub wściekłości, one spoglądały po sobie ze śmiechem. Nie popisywały się wzgardą dla wszystkiego, co nie było z ich grupy; wystarczała szczerłość tej wzgardy. Ale wszelka dojrzana przeszkoda rodziła w nich radośną chętkę przebycia jej, z rozpędem lub równymi nogami, bo wszystkie były spęczniałe i kipiące młodością. Ta młodość tak bardzo potrzebuje się wyżyć, nawet kiedy jest smutna lub cierpiąca, że ulegając raczej konieczności wieku niż doraźnemu humorowi, nie przepuszcza żadnej sposobności do skoku lub glisady³, wyzyskuje ją sumiennie, przerywając i strojąc swój wolny krok — niby Chopin najbardziej melancholijną frazę — uroczymi arabeskami, w których kaprys miesza się z mistrzostwem.

Zona starego bankiera, dobierając dla męża rozmaitych miejsc, usadowiła go na leżaku, na wprost promenady, gdzie od wiatru i słońca chronił go kiosk dla muzyki. Zainstalowawszy tak męża, opuściła go na chwilę, aby pójść kupić dziennik, który miała mu czytać dla rozrywki. Chwil, w których zostawiała go samego, nie przeciągała nigdy ponad pięć minut, co jej się zdawało dość długo; czyniła to na tyle często, aby stary mąż, nad którym roztaczała opiekę, maskując ją zarazem, miał wrażenie, że jest jeszcze zdolny żyć jak wszyscy i że nie potrzebuje dozoru. Trybuna orkiestry tworzyła nad nim naturalną i kuszącą trampolinę, przez którą bez wahania najstarsza z małej bandy puściła się pędem; skoczyła ponad przerażonego starca, którego kaszkiet musnęły zwinne nogi, ku wielkiej zabawie reszty dziewcząt. Zwłaszcza para zielonych oczu w twarzyczce lalki wyraziła podziw dla tego aktu i wesołość, w których próbowałem rozróżnić nieco lęklivości, lęklivości wstydlivej zarazem i aroganckiej, nieistniejącej u innych. „Żal mi tego starego, wygląda, jakby już miał odwalić kitę” — rzekła w pół ironicznie jedna z dziewcząt schryplym, jakby przepitym głosem. Zrobiły jeszcze kilka kroków, potem zatrzymały się chwilę wśród drogi, nie troszcząc się o to, że utrudniają krążenie przechodniów, czyniąc naradę, tworząc skupienie o nieregularnym kształcie, zwarte, niezwykle i krzykliwe, niby ptaki zbierające się w chwili odlotu; po czym podjęły wolną przechadzkę wzdłuż promenady nad morzem.

Obecnie ich urocze rysy nie były już zmieszane z sobą, niepodobne do rozróżnienia. Rozdzieliłem je i skupiłem (w braku imion, których nie znałem) dokoła największej, tej, co skoczyła przez starego bankiera; i małej, której pyzate i różowe policzki i zielone oczy odcinały się na horyzoncie morza; i trzeciej, o smągłej cerze, prostym nosku, wyróżniającej się wśród innych; dokoła jeszcze innej, o twarzy białej jak jajko, na której mały nosek garbił się niby dzióbek kurczęcia, twarzy takiej, jaką miewają niektórzy bardzo młodzi chłopcy; innej wreszcie, dużej, okrytej peleryną (co dawało wygląd tak ubogi i tak przeczący jej eleganckiemu wzięciu, iż nastroczała się myśl, że ta młoda dziewczyna musi mieć rodziców na tyle świetnych i mieszczących swoje ambicje o tyle wyżej letników w Balbec oraz toaletowego wykwinu własnych dzieci, aby im było zupełnie obojętne puszczać je na promenadę w stroju, który „szarym ludziom” wydałby się zbyt skromny); dokoła wreszcie dziewczynki o błyszczących i roześmianych oczach, o pulchnych matowych

³glisada — tu: ślizg; w lotnictwie: figura akrobacji, zejście lotem ślizgowym nisko nad ziemię. [przypis edytorski]

policzkach pod czarnym „polo” na głowie. Ta, kiedy przechodził koło niej, popychała rower z tak niedbałym kołysaniem bioder, z miną i gwarą pełną tak apaszowskich i krzykliwych zwrotów (wśród których pochwyliłem nieszczęsne: „wyżyć się”), iż porzucając hipotezę zbudowaną na pelerynie jej towarzyszy, uznałem raczej, że wszystkie te dziewczęta należą do stałej klienteli welodromów i że to muszą być bardzo młode kochanki zawodowych cyklistów.

W każdym razie w żadnym z moich przypuszczeń nie figurowało to, aby te dziewczęta mogły być cnotliwe. Od pierwszego spojrzenia — w sposobie, w jaki patrzyły na siebie, w natarczywym wzroku owej dziewczyny o matowych policzkach — wyczytałem, iż jest przeciwnie. Zresztą babka czuwała zawsze nade mną z nazbyt trwożliwą delikatnością, abym mógł nie wierzyć, iż całość rzeczy, których nie powinno się robić, jest niepodzielna. Młode dziewczęta (sądziłem), które chybiają szacunku starości, tym bardziej muszą być niezdolne do skrupułów, gdy chodzi o słodczye bardziej kuszące niż skok przez głowę osiemdziesięciolatka!

Teraz były dla mnie zindywidualizowane; jednakże rozmowa, jaką wiodły oczami ożywionymi pewnością siebie i koleżeństwem, zdradzającymi co chwilę to współdziałanie, to zuchwałą obojętność, zależnie od tego, czy chodziło o którąś z przyjaciółek czy o przechodniów, a także tę świadomość, że się wszystkie znają na tyle dobrze, aby się przechadzać wciąż razem, oddzielną „bandą”, stwarzała między ich niezależnymi i oddzielnymi ciałami, gdy się tak posuwały z wolna, łączność niewidzialną, ale harmonijną niby wspólny ciepły cień, wspólna atmosfera, czyniąca z nich całość równie jednolitą w jej częściach, jak różną od tłumu, pośród którego rozwijał się z wolna ich orszak.

Mijając brunetkę o pulchnych policzkach popychającą rower, skrzyżowałem na chwilę wzrok z jej skośnymi i roześmianymi spojrzeniami, strzelającymi z głębi nieludzkiego świata, który zamykał życie tego małego klanu, niedostępnego, nieznanego, gdzie myśl o moim istnieniu nie mogła z pewnością ani dotrzeć, ani znaleźć miejsca. Czy ta młoda dziewczyna w polo bardzo nisko schodzącym na czoło, pochłonięta szczebiotem koleżanek, spostrzegła mnie w chwili, gdy mnie spotkał czarny promień tryskający z jej oczu? Jeżeli mnie widziała, co mogłem dla niej przedstawiać? Z łona jakiego wszechświata zauważyła mnie? Byłoby mi równie trudno odpowiedzieć na to, jak trudno jest, z pewnych szczegółów spostrzeżonych dzięki teleskopowi na sąsiedniej planecie wyciągnąć wniosek, że tam mieszkają ludzie, że nas widzą, i orzec, jakie myśli ten widok mógł w nich obudzić.

Gdybyśmy myśleli, że oczy danej dziewczyny są jedynie błyszczącym krążkiem miki, nie pragnęlibyśmy jej poznać ani zespolić się z jej życiem. Ale czujemy, że to, co błyszczący w tym krągłym zwierciadle nie jest wyłącznie materialnego pochodzenia; że to są nieznanne nam, czarne cienie idei, jakie ta istota tworzy sobie o osobach i o znanych jej miejscach — trawnikach hipodromów, piaszczystych drogach, po których, poruszając pedały, poprzez pola i lasy, wodziłaby mnie ta mała peri, powabniejsza dla mnie niż owa z perskiego rajy — także cienie domu, do którego wróci, projektów, jakie tworzy lub jakie ktoś tworzy za nią; a zwłaszcza że to jest ona, z jej pragnieniami, sympatiami, niechęciami, z jej tajemną i nieustanną wolą. Wiedziałem, że nie posiadałbym tej młodej cyklistki, o ile nie posiadałbym i tego, co jest w jej oczach. I tym samym całe jej życie wzniecało moje pragnienie; pragnienie bolesne, bom czułem, że jest nieziszczalne; ale upajające, gdyż to, czym było dotąd moje życie, przestawszy nagle być moim całkowitym życiem, będąc już tylko małą cząstką rozciągającej się przede mną przestrzeni, którą pragnąłem ogarnąć, a która była życiem tych dziewcząt, przyrzekało mi to przedłużenie, tę możliwość pomnożenia samego siebie, które jest szczęściem. I bez wątplenia to, że nie było między nami żadnego wspólnego nawyku — jak i żadnej wspólnej myśli — musiało mi utrudniać zbliżenie się z nimi i spodobanie się im. Ale może też dzięki tym różnicom, dzięki świadomości, że w skład natury i działań tych dziewcząt nie wchodzi żaden element, który bym znał i posiadał, po sytości następowało u mnie pragnienie — podobne temu, jakim plonie wyschnięta ziemia — pragnienie życia, które moja dusza, dlatego że go nie otrzymała dotąd ani kropelki, wchłonyłaby tym chciwiej, wielkimi haustami, z tym doskonałym nasyceciem.

Tak długo patrzyłem na cyklistkę o błyszczących oczach, że musiała to spostrzec i rzekła do największej z dziewcząt coś, czego nie dosłyszał, ale co rozśmieszyło tamtą. Prawdę mówiąc, nie ta brunetka podobała mi się najwięcej, właśnie dlatego że była brunetką

Wzrok

i że (od dnia, gdy na ścieżce w Tansonville ujrzał Gilbertę) ruda dziewczynka o złocistej skórze stała mi się niedostępnym ideałem. Ale samą Gilbertę czyż nie dlatego pokochałem, że mi się zjawiała strojna aureolą przyjaciółki Bergotte'a, zwiedzającej z nim katedry! I tak samo czyż nie mogło mnie ucieszyć, że ta brunetka popatrzyła na mnie (co budziło we mnie nadzieję, iż łatwiej mi będzie zapoznać się najpierw z nią), bo przedstawił mi inną, tej bezlitosnej, co przeskoczyła starca, i okrutnej, co powiedziała: „Żał mi tego starego”, kolejno wszystkim, których nierozłączne towarzystwo mnożyło jej urok. A jednak przypuszczenie, że mógłbym być pewnego dnia przyjacielem jednej z tych dziewcząt, że te oczy, których nieznane spojrzenia uderzały mnie chwilami, igrając po mnie bezwiednie niby promień słońca na murze, mogłyby kiedy mocą cudownej alchemii przepuścić przez swoje niewysłowione cząsteczki ideę mego istnienia, jakąś sympatię dla mojej osoby, że ja sam mógłbym kiedyś zająć miejsce pośród nich, w orszaku, którym ciągnęły wzdłuż morza — ta myśl zdawała się mieścić w sobie sprzeczność równie nierozwiązalną, co gdybym przed jakimś starożytnym fryzem lub freskiem wyobrażającym pochod uważał za możliwe, ja, widząc, zająć miejsce między boskimi celebrantkami jako ich kochanek.

Szczęście poznania tych dziewcząt było tedy nieziszczalne. Zapewne nie byłoby to pierwsze tego rodzaju szczęście, jakiego bym się wyrzekł. Wystarczyło mi przypomnieć sobie tylko tyle nieznajomych, które, nawet w Balbec, kazał mi opuścić na zawsze pędem oddalający się powóz. A nawet przyjemność, jaką mi dawała gromadka tak szlachetna jak gdyby się składała z helleńskich dziewic, pochodziła stąd, że miała coś z pierzchania owych mijanych na drodze postaci. Owa ulotność istot nieznajomych nam, wyrrywających nas z potocznego życia, w którym znajome kobiety odsłaniają nam w końcu swoje skazy, wprawia nas w ów stan pogoni, gdzie nic nie wstrzymuje już wyobraźni. Otóż odrzec nasze przyjemności z wyobraźni, znaczy sprowadzić je do nich samych, do niczego. Ofiarowane przez jedną z owych stręczycielek, którymi zresztą, jak czytelnik widział, nie gardziłem, wyrwane z elementu dającego im tyle odcieni i tyle tajemnicy, dziewczęta te byłyby mnie mniej oczarowały. Trzeba, aby wyobraźnia, pobudzona niepewnością, stworzyła cel, który by nam zasłaniał tamten cel i który, zastępując zmysłową rozkosz ideą wniknięcia w czyjeś życie, nie dozwoliłby nam rozpoznać owej rozkoszy, doświadczyć jej prawdziwego smaku, uszczuplić jej do istotnych wymiarów.

Ryba, podana nam od razu na stół, nie zdałaby się nam warta tysiąca sztuczek i postępów obróconych na to, aby ją pochwycić; trzeba, aby między nią a nas, w chwili gdy czatujemy z wędką bez określonego praktycznego celu, wdarł się prąd, w którym miga nam gładkość tkanek, nieuchwytność kształtów, w płynności przejrzystego i ruchomego lazuru.

Dziewczęta te korzystały również z owej zmiany proporcji socjalnych, znamienych dla kąpieliska. Wszystkie przewagi, które w zwykłym naszym środowisku przedłużają nas niejako, powiększają nas, tam stają się niewidoczne, znikają; w zamian za to istoty, którym niezasłużenie przypisuje się owe przewagi, zjawiają się powiększone do sztucznych wymiarów. Dzięki temu osoby nieznajome — w danym dniu owe młode dziewczyny — tym łatwiej przybierały w moich oczach olbrzymią ważność; ja zaś nie miałem żadnego sposobu dowiedzenia im swojej ważności.

Ale jeżeli spacer małej gromadki czerpał urok w tym, że był jedynie cząstką niezliczonego przepływu mijających mnie kobiet, który mnie zawsze wzruszał, przepływ ten sprowadzał się tutaj do ruchu tak powolnego, że bliski był bezruchu. Otóż to, że w tempie tak powolnym, twarze nieunoszone już pędem, ale spokojne i wyraźne, zdawały mi się jeszcze piękne, właśnie to nie pozwalało mi sądzić (jak sądziłem często, gdy mnie unosił powóz pani de Villeparisis), że z bliska, gdybym się zatrzymał na chwilę, jakieś przykre szczegóły, wątpliwa cera, skaza w wycięciu nozdrzy, tępe spojrzenie, niemiły uśmiech, brzydka figura, zastąpiłyby na twarzy i w ciele kobiety rysy, które sobie zapewne wyroiłem; wystarczyło bowiem dojranej przeze mnie ładnej linii lub świeżej cery, abym w najlepszej wierze przydał im jakieś urocze ramię, jakieś rozkoszne spojrzenie, którego zawsze nosił w sobie pamięć lub przecucie; i takie błyskawiczne odczytywanie osób widzianych w przelocie naraża nas wówczas na te same błędy, co nazbyt pospieszna lektura, gdy z jednej sylaby, nie zadając sobie trudu utożsamienia innych, w miejsce słowa napisanego wstawiamy całkiem inne, podsunięte nam przez pamięć.

W tym wypadku było to niemożliwe. Przypatrzyłem się dobrze twarzom tych dziewcząt; każdą z nich widziałem nie ze wszystkich profilów, a rzadko *en face*, ale zawsze z dwóch lub trzech perspektyw na tyle odmiennych, abym mógł uzyskać bądź sprostowanie, bądź potwierdzenie i „dowód” rozmaitych domysłów linii i barw, zaryzykowanych na pierwszy rzut oka i abym widział coś niezmiennie materialnego, trwającego w nich poprzez kolejne wyrazy. Toteż mogłem sobie rzec z całą pewnością, że ani w Paryżu, ani w Balbec, w najkorzystniejszych hipotezach tego, czym mogłyby być (nawet gdybym się zdołał do nich zbliżyć) nieznanymi, które zatrzymały moje oczy, ujrzenie a potem zniknięcie żadnej z nich nie zostawiłoby we mnie więcej żalu, niżby go zostawiły te dziewczęta, wraz z myślą, że ich przyjaźń mogłaby być takim upojeniem! Ani wśród aktorek, ani wśród wieśniaczek, ani wśród wychowanic klasztoru, nie widziałem nic tak pięknego, nasyconego Nieznanym, bezcennego, tak prawdopodobnie niedostępnego. Były one tak rozkosznym i pełnym egzemplarzem nieznanego i możebnego szczęścia, że nieomal z intelektualnych pobudek byłem w rozpaczy, bojąc się, iż nie zdołam — w warunkach jedynych, nie zostawiających miejsca dla możliwego błędu — doświadczyć tego, co nam najbardziej tajemniczego ofiarowuje upragniona piękność. Nazbyt często trzeba nam się pocieszyć, że jej nie będziemy posiadali nigdy, żądając rozkoszy — czego Swann zawsze wzdragał się uczynić, przed Odetą — od kobiet, których nie pragnęliśmy, tak że umieramy, nie poznawszy, czym była owa inna rozkosz. Bez wątpienia, może owa rozkosz nie byłaby w rzeczywistości rozkoszą nieznaną; może z bliska tajemnica jej rozproszyłaby się, może byłaby jedynie projekcją, mirażem żądy. Ale w takim razie mógłbym mieć pretensję jedynie do prawa natury — które, gdyby się stosowało do tych dziewcząt, stosowałoby się do wszystkich — nie zaś do skaz samego przedmiotu. Bo to był przedmiot, który byłbym wybrał między wszystkimi, zdając sobie dobrze sprawę, z satysfakcją botanika, że niepodobna by znaleźć zebranych razem gatunków rzadszych niż te młode kwiaty, przerywające w tej chwili przede mną linię fal swoim lekkim żywopłotem, podobnym do gaiku pensylwańskich róż, strojących ogród na skale, między którymi mieści się cała przestrzeń oceanu przebywana przez jakiś parowiec, tak wolno ślizgający się po poziomej i błękitnej kresce idącej od jednej łodygi do drugiej, że leniwy motyl zapóźniony w głębi kielicha, który kadłub statku minął od dawna, może — aby wzlecieć z tą pewnością, że przybędzie wcześniej — czekać, by tylko jedna cząsteczka lazuru dzieliła jeszcze dziób statku od najbliższego kwiatu, ku któremu okręt płynie.

Wróciłem, bo miałem jechać do Rivebde na obiad z Robertem, babka zaś żądała, abym się w taki dzień zawsze wyciągnął wprzód przez godzinę na łóżku, którą to sjęstę miejscowy lekarz zalecił mi niebawem rozszerzyć i na inne wieczory.

Zresztą, aby wrócić do hotelu, nie było nawet trzeba skręcać z promenady i wchodzić przez hall, to znaczy od tyłu. Czas przesunął się, podobny owym sobotom w Combray, kiedy śniadanie było o godzinę wcześniej. Teraz, w pełni lata, dni zrobiły się tak długie, że słońce było jeszcze wysoko na niebie, niby w porze podwieczorku, a już nakrywano w Grand Hotelu do obiadu. Toteż wielkie oszklone i zasuwane okna pozostawały otwarte na poziomie promenady. Wystarczało okroczyć wąską drewnianą ramę, aby się znaleźć w jadalni, którą zaraz opuszczałem, aby wsiąść do windy.

Przechodząc koło biura, przesyłałem uśmiech dyrektorowi i bez cienia niesmaku witałem również uśmiech na jego twarzy, którą od czasu pobytu w Balbec moje wtajemniczenie nastrzykiwało i przeobrażało stopniowo niby preparat historii naturalnej. Rysy jego stały mi się znane, naładowane sensem pospolitym, ale zrozumiałym jak czytelne pismo, w niczym już niepodobne do dziwaczego i nużącego pisma z owego pierwszego dnia, kiedy ujrzał przed sobą zapomnianą teraz osobistość. Zaledwie mogłem wywołać ją w swojej pamięci, tym mniej zidentyfikować ją z banalnym i uprzejmym osobnikiem, którego była jedynie wstrętą i pobieżną karykaturą. Bez lęków i smutku pierwszego wieczora zadzwoniłem na *liftboy'a*, który już nie stał milczący, gdym się z nim wznosił w windzie, niby w ruchomej klatce piersiowej przesuwającej się wzdłuż kręgosłupa, ale powtarzał mi:

— Już nie ma tyle ludzi, co przed miesiącem. Zaczną wyjeżdżać, dzień robi się krótszy.

Mówił tak nie dlatego, by to była prawda, ale że zgodziwszy się już do cieplejszej miejscowości na wybrzeżu, pragnął, abyśmy wszyscy wyjechali jak najwcześniej, tak aby hotel zamknięto i aby on miał kilka dni wolnych, zanim rozpocznie nową służbę. Uderzyło

Sługa, Obyczaje, Praca

mnie, że on zechciał powiedzieć „służba”; bo należał do tego nowoczesnego proletariatu, który pragnie zatrzeć w języku ślady służebności. Zresztą za chwilę powiadomił mnie, że na „posadzie” którą „obejmie”, będzie miał ładniejszy „uniform”, i lepsze „uposażenie”; słowo „liberia” i „zasługi” wydawały mu się przestarzałe i niewłaściwe. Że zaś przez nie-dorzeczną sprzeczność dawny słownik przetrwał mimo wszystko u „państwa” dłużej niż pojęcie nierówności, nigdy nie mogłem dobrze zrozumieć, co mi mówił „lift”. Jediną rzeczą, jaka mnie interesowała, było to, czy babka jest w domu. Otóż uprzedzając moje pytanie, powiedział:

— Ta pani właśnie wyszła od pana.

Zawsze się na to brałem, myślałem, że mówi o babce.

— Nie, ta pani, która jest zdaje mi się funkcjonariuszką u państwa.

Ponieważ w dawnym mieszczańskim języku, który powinien być zniesiony, kucharka nie nazywa się funkcjonariuszką, myślałem chwilę: „Ależ on się myli, nie mamy fabryki, biura, ani funkcjonariuszy”... Naraz przypomniałem sobie, że słowo „funkcjonariusz” jest, jak prawo do wąsów u kelnerów, satysfakcją miłości własnej daną służbie i że ta „dama, która właśnie wyszła”, to była Franciszka (poszła prawdopodobnie z wizytą do kawiarki lub asystować przy szyciu pokojówce belgijskiej damy). Satysfakcja ta nie wystarczała jeszcze *lift-boyowi*, mówił bowiem często, rozczulając się nad swoją klasą, „u robotnika” albo „u prostego człowieka”, posługując się tą samą liczbą pojedynczą co Racine, kiedy powiada: „ubogi”... Ale zazwyczaj nie rozmawiałem z chłopcem od windy — ile że moja początkowa gorliwość i nieśmiałość dawno minęły. To on teraz nie dostawał odpowiedzi w czasie krótkiej drogi, której węzły przebywał poprzez wycinany jak zabawka hotel, ukazujący nam piętro po piętrze rozgałęzienia korytarzy, w których głębi światło aksamitniało, bladło, zwężało drzwi lub stopnie wewnętrznych schodów, zmieniając je w ów złocisty bursztyn, nieuchwytny i tajemniczy niby zmierzch, w którym Rembrandt wycina ramę okna lub korbę u studni. I na każdym piętrze złoty blask odbijający się na dywanie oznajmiał zachód słońca i okno klozetu.

Zastanawiałem się, czy dziewczęta, które dopiero co widziałem, mieszkają w Balbec i kto by to mógł być. Kiedy pragnienie skieruje się tak ku małej gromadce ludzkiej, którą wyróżni, wszystko, co się z nią może łączyć, staje się przedmiotem wzruszenia, potem marzeń. Słyszałem, jak jakaś dama mówiła na plaży: „To przyjaciółka małej Simonet”, tonem zadowolonej z siebie precyzji, jak ktoś, kto tłumaczy: „To nieodłączny towarzysz małego La Rochefoucauld”. I natychmiast na twarzy tak informowanej osoby czuło się chęć lepszego przyjrzenia się szczęśliwej istocie, będącej „przyjaciółką małej Simonet”. Musiał to być przywilej, niedany całemu światu. Bo arystokracja jest rzeczą względną. I bywają tanie, pokątne kąpieliska, gdzie syn handlarza mebli jest królem elegancji i panuje nad swoim dworem niby młody książę Walii.

Często starałem się później przypomnieć sobie, w jaki sposób zabrzmiało mi na plaży to nazwisko *Simonet*, jeszcze niepewne dla mnie wówczas co do formy, a także co do treści, co do jego przynależności do tej lub innej osoby; w sumie nacechowane ową mglistą nowością, tak wzruszającą nas później, kiedy to nazwisko, którego litery ryją się w nas z każdą sekundą głębiej dzięki naszej nieustającej uwadze, stało się (co miało się zdarzyć u mnie, w stosunku do młodej Simonet, aż w kilka lat później) pierwszym wyrazem, jaki odnajdujemy czy to w chwili przebudzenia się, czy ocknąwszy się z omdlenia, nawet przed świadomością godziny, miejsca, gdzie się znajdujemy, prawie przed słowem „ja”; jak gdyby istota, którą ono oznacza, była bardziej nami niż my sami i jakby po paru chwilach nieświadomości czas, gdy nie myśleliśmy o niej, był niby rozejm wygasający przed każdym innym. Od pierwszego dnia powiedziałem sobie — nie wiem czemu — że *Simonet* musi być nazwiskiem jednej z tych dziewcząt, i bez przerwy zastanawiałem się, w jaki sposób mógłbym się zapoznać z rodziną Simonet; i to przez ludzi, których by uważała za coś lepszego od siebie — co nie musiało być trudne, o ile to były tylko zwykłe podfruwajki. Chodziło mi przede wszystkim o to, by ona nie mogła powziąć o mnie lekceważącego pojęcia. Bo nie można dobrze poznać, nie można dokonać całkowitej absorpcji istoty, która nami gardzi, dopóki się nie pokona tej wgardy. Otóż za każdym razem, kiedy w nas wnika obraz tak różnych kobiet, o ile go nie usunie zapomnienie lub natłok innych obrazów, nie mamy spokoju, póki nie zmienimy tych obcych istot w coś, co by było podobne do nas. Dusza nasza jest pod tym względem obdarzona tym samym rodzajem

reakcji i energii co organizm fizyczny, który nie może znieść obecności obcego ciała, ale natychmiast stara się strawić i przyswoić sobie intruza. Młoda Simonet musiała być ową najładniejszą ze wszystkich, zarazem tą, która, zdawało mi się, mogłaby zostać moją kochanką, bo ona jedna parokrotnie obróciła nieco głowę, jak gdyby zauważyła moje uparte spojrzenie. Spytałem chłopca od windy, czy nie zna w Balbec jakich Simonet. Nie lubiąc przyznawać się, że czegoś nie wie, odpowiedział, iż zdaje mu się, że słyszał to nazwisko. Przybywszy na najwyższe piętro, poprosiłem go, aby mi przysłał ostatnią listę gości.

Wysiadłem z windy, ale zamiast iść do swego pokoju, zapuściłem się w korytarz, o tej godzinie bowiem, posługacz, mimo że się obawiał przeciągów, otworzył w końcu korytarza okno, wychodzące nie na morze, lecz na wzgórza i doliny; ale nie widziało się ich nigdy, matowe bowiem szyby były najczęściej zamknięte. Przystanąłem przed oknem na chwilę, tyle, aby odprawić dewocje przed „widokiem” pierwszy raz odsłaniającym mi się za pagórkami obok hotelu. Widok obejmował tylko dom położony w pewnej odległości; perspektywa i wieczorne światło, zachowując jego wymiary, ale przydając mu cenną cyzelaturę i jakby aksamitne pudro, czyniły zeń jakąś miniaturową budowlę, małą świątynkę lub kapliczkę ze złota i emalii, służącą za relikwiarz i pokazywaną jedynie w rzadkie dni pobożnym oczom. Ale ta chwila adoracji już trwała zbyt długo, bo posługacz, który trzymał w jednej ręce pęk kluczy, a drugą kłaniał mi się, dotykając swojej czapeczki zakrystiana (nie uchylał jej z powodu czystego i chłodnego wieczornego powietrza), zamknął okno niby skrzydła ołtarza i skrył mojej adoracji miniaturową budowlę i złotą relikwię.

Wszedłem do pokoju. W miarę jak sezon się posuwał, obraz, jaki znajdowałem w oknie zmieniał się. Zrazu był tam jasny dzień, ciemny jedynie w czasie niepogody; wówczas w ciemnozielonym szkle, wzdymanym krągłymi falami, morze, oprawne w żelazne ramy mojego okna niby w olów witraża, strzępiło na całej głębokiej, skalistej obwódce zatoki upierzone trójkąty nieruchomej piany, cieniowanej z delikatnością pierza lub puchu rysowanych przez Pisanella, i utrwalone ową białą emalią, niezmienną i pienistą, jaka wyobraża warstwę śniegu na szklach Gallégo.

Niebawem dnie stały się krótsze; w chwili gdy wchodziłem do pokoju, fioletowe niebo zdawało się napiętnowane sztywnym, geometrycznym, przejściowym, płomiennym kształtem słońca (podobnym do cudownego znaku, do jakiejś mistycznej zjawy), nachylało się ku morzu na zawiasach widnokregu niby święty obraz nad wielkim ołtarzem, gdy rozmaite części zachodu, wystawione w szybach niskich mahoniowych szaf bibliotecznym biegających wzdłuż ściany i wiążących się w mojej myśli z cudownym obrazem, od którego się oderwały, wyglądały niby rozmaite sceny, które jakiś stary mistrz wykonał niegdyś dla bractwa na relikwiarzu i których pojedyncze skrzydła wystawia się obok siebie w sali muzealnej, tak iż jedynie wyobraźnia zwiedzającego przywraca je na ich miejsca na nastawie ołtarza.

W kilka tygodni później, kiedym wracał do siebie, słońce już zaszło. Czerwona przepaska nieba podobna tej, jaką widywałem w Combray nad Kalwarią, wracając ze spaceru, kiedym się gotował zająć przed obiadem do kuchni — widniała nad morzem zwartym i ściętym niby auszpik z mięsa. A potem znów, nad morzem już zimnym i błękitnym jak ryba zwana *mulet*, niebo miało ten sam różowy kolor co łosoś, którego za chwilę każemy sobie podać w Rivebelle. Widoki te zaostrzały przyjemność, jaką mi sprawiało przebrać się po to, aby jechać na obiad. Nad morzem, tuż koło brzegu, dymy czarne jak sadza, ale o gładkości i konsystencji agatu, o ciężarze widzialnym oku, próbowały się wznosić, jedno nad drugie, coraz to szerszymi piętrami; tak iż najwyższe, zwisając ponad zniekształconą lodygą i wychylając się poza środek ciężkości tych, co je podtrzymywały dotąd, groziły ściągnięciem tego gmachu wznoszącego się już do połowy nieba i strąceniem go w morze. Widok okrętu, który się oddalał niby nocny podróźny, dawał mi to samo wrażenie, jakiegom doznał w wagonie: że jestem uwolniony od przymusu snu i od zamknięcia w pokoju. Zresztą nie czułem się w tym pokoju uwięziony, skoro go za godzinę miałem opuścić, aby wsiąść do powozu. Rzuciłem się na łóżko; i jak gdybym się znajdował na ławce jednego z owych statków, które widziałem dość blisko siebie i które dziwiłyby nas w nocy, przesuwając się wolno w ciemności, niby pociemniałe i milczące, lecz nie śpiące łabędzie, byłem ze wszystkich stron otoczony obrazami morza.

Ale często były to w istocie tylko obrazy; zapomniałem, że pod ich barwą czaiła się smutna pustka plaży, nawiedzana niespokojnym wieczornym wiatrem, który tak dotkliwie odczuwałem za przyjazdem do Balbec; zresztą nawet w swoim pokoju, pochłonięty owymi spotkanymi dziewczętami, nie byłem już w stanie dość spokojnym ani dość bezinteresownym, aby się we mnie mogły zrodzić naprawdę głębokie wrażenia piękności. Nadzieja obiadu w Rivebelle wprawiała mnie w nastrój jeszcze płochszy, a myśl moja, przenosząc się w takich chwilach na powierzchnię mego ciała, które miałem przystroić, aby się wydać możliwie najpowabniejszy oczom kobiet, mających mnie lustrować w jarzącej się sali restauracyjnej, niezdolna była szukać głębi poza barwą przedmiotów. I gdyby za oknem niestrudzony i cichy lot jerzyków i jaskółek nie wzbijał się niby wodotrysk, niby fajerwerk życia, łączący przestrzenie między tymi racami nieruchomą i białą przędzą długich poziomych smug, bez uroczego cudu tego naturalnego i lokalnego zjawiska, wiążącego z rzeczywistością krajobrazy roztaczające się przed moimi oczami, mógłbym myśleć, że są one tylko codziennie odnawianym wyborem obrazów, jakie ktoś wystawia dowolnie w miejscu, gdzie się znajdował, ale bez koniecznego z tym miejscem związku.

Raz była to wystawa sztychów japońskich: obok delikatnego konturu słońca czerwonego i okrągłego jak księżyc, żółta chmura zdawała się jeziorem, na którym odcinały się czarne miecze niby nadbrzeżne drzewa; smuga delikatnego różowego koloru, jakiego nigdy nie odnalazłem od czasu mego pierwszego pudełka z farbami, wzdymała się jak rzeka, po której dwóch brzegach statki zdawały się czekać, aby je ściągnięto i puszczono na fale. I z pogardliwym, znudzonym i czczym spojrzeniem amatora lub kobiety przebiegającej między dwiema wizytami galerii obrazów, powiadałem sobie: „Ciekawy ten zachód słońca, to coś odmiennego, ale ostatecznie widywałem już równie delikatne, równie zdumiewające”.

Więcej przyjemności miałem w wieczory, w które jakiś statek, pochłonięty i roztopiony w horyzoncie identycznego koloru, wyglądał niby obraz impresjonistyczny i zdawał się również z tej samej materii, jak gdyby jego dziób i liny, w które się ścienił i wyrzeźbił, wycięto po prostu w mglistym błękitcie nieba. Czasami ocean wypełniał prawie całe moje okno, podniesiony pasmem nieba określonym u góry jedynie linią tak samo niebieską jak linia morza, ale które z tego powodu brałem jeszcze za morze, odmienny kolor przypisując grze światła. Innego dnia morze było namalowane jedynie w dolnej części okna, którego resztę zapełniały tyle chmur stłoczonych na sobie poziomymi smugami, że szyby zdawały się, wskutek intencji lub specjalności artysty, przedstawiać „studium chmur”, podczas gdy poszczególne witryny biblioteczne odbijały chmury podobne, ale w innych partiach horyzontu i rozmaicie zabarwione światłem: dawały one jak gdyby owo tak ulubione niektórym współczesnym mistrzom powtórzenie jednego i tego samego efektu, pochwyconego o różnych godzinach, ale teraz stężałe w sztuce, dostępne oku równocześnie w jednym pokoju, wykonane pastelami i wstawione za szkło. A czasami w jednostajną szarość nieba i morza mieszało się z uroczym wyrafinowaniem nieco różowego koloru, podczas gdy mały motylek, usnąwszy na ramie okna, zdawał się kłaść swymi skrzydłami pod tą „szaro-różową harmonią” w guście Whistlera ulubiony podpis mistrza z Chelsea. Nawet różowość znikła, nie było już na co patrzeć. Wstawałem na chwilę i nim się położyłem znowu, zasuwałem portiery. Ponad nimi widziałem z łóżka smugę jasności, która trwała jeszcze jakiś czas, ściemniając się, zwężając stopniowo; i bez smutku i żalu pozwalałem tak umierać nad portierami godzinie, gdy zazwyczaj byłem przy stole, bo wiedziałem, że ten dzień jest różny od innych, dłuższy, niby dni pod biegunem, które noc przerywa tylko na kilka minut; wiedziałem, że z poczwarki tego zmierzchu wyjdzie niebawem — w promiennej metamorfozie — olśniewający blask restauracji w Rivebelle.

Powiadałem sobie: „Już czas”; przeciągałem się na łóżku, wstawałem, kończyłem toaletę, znajdowałem urok w tych beużytecznych chwilach uwolnionych od wszelkiego materialnego ciężaru. Podczas gdy na dole inni jedli obiad, ja obracałem siły, nagromadzone w bezczynności tego schyłku dnia, jedynie na to, aby osuszyć swoje ciało, włożyć smoking, zawiązać krawat, wykonać wszystkie te gesty natchnione spodziewaną już przyjemnością oglądania jakiejś kobiety zauważonej ostatnim razem w Rivebelle, która (zdawało mi się) patrzyła na mnie i odeszła może na chwilę od stołu jedynie w nadziei, że ja pójdę za nią. Z radością stroilem się we wszystkie te uroki, aby się oddać całkowicie i w weselu ducha nowemu, swobodnemu, beztroskiemu życiu, w którym miałem

oprzec swoje wahania o spokój Roberta i wybierać spośród gatunków historii naturalnej i produktów wszystkich krajów te, które, składając się na nieznanne dania natychmiast zamówione przez mego przyjaciela, skusiłyby moje łakomstwo lub wyobraźnię.

A na końcu przyszły dnie, gdy nie mogłem już wracać z promenady przez jadalnię; okna były już zamknięte, bo na dworze była noc, i chmara ciekawych i biedaków, ściągniętych niedosiężnym dla nich światłem, wisiała w czarnych, smaganych wiatrem gronach u świecących i gładkich ścian szklanego ula.

Ktoś zapukał: to Aimé chciał mi osobiście wręczyć ostatnią listę gości.

Przed odejściem Aimé czuł potrzebę oznajmienia mi, że Dreyfus jest po stokroć winny. „Wyjdzie na jaw wszystko — mówił — nie tego roku, ale na przyszły rok; mówił mi to jeden pan będący bardzo blisko generalnego sztabu. Pytałem go, czy się nie zdecydował odkryć wszystkiego zaraz, przed końcem roku. Odłożył papierosa — ciągnął Aimé, odgrywając scenę i potrząsając głową i wskazującym palcem, tak jak robił jego klient, aby tym wyrazić, że nie trzeba żądać za wiele. — «Nie w tym roku, Aimé (niby powiedział, kładąc mi rękę na ramieniu), to niemożliwe. Ale na Wielkanoc, tak!»”. I Aimé trącił mnie lekko w ramię, powiadając: „Widzi pan, pokazuję panu dokładnie, jak on to zrobił”, czy że mu pochlebila poufałość znacznej figury, czy abym lepiej mógł ocenić, z całą świadomością rzeczy, wartość tego argumentu i przyczyn naszych nadziei.

Nie bez lekkiego wstrząsu w sercu na pierwszej liście gości ujrzałem słowa: „Simonet z rodziną”. Miałem w sobie stare marzenia, datujące z czasu mego dzieciństwa, w których całą czułość będącą w moim sercu, doznawaną przez nie, ale z niego nie wyodrębnioną, przynosiła mi istota możliwie najbardziej ode mnie różna. Jeszcze raz sfabrykowałem tę istotę, posługując się w tym celu nazwiskiem *Simonet* i wspomnieniem harmonii panującej między młodymi ciałami, które widziałem rozwijające się na plaży, w sportowej procesji, godnej antyku i Giotta. Nie wiedziałem, która z tych dziewcząt jest panną Simonet, czy w ogóle która z nich się tak nazywa; ale wiedziałem, że panna Simonet mnie kocha i że spróbuję, dzięki Robertowi, zapoznać się z nią. Na nieszczęście, Saint-Lo-up zmuszony był wracać co dzień do Doncières, uzyskawszy przedłużenie urlopu tylko pod tym warunkiem; ale wierzyłem, że jeżeli nie przyjaźń dla mnie, to sama ciekawość wystarczy, aby go odciągnąć od wojskowych obowiązków. Liczyłem na ten zmysł badacza ludzkiej natury, który tak często — nawet bez widzenia osoby, o której była mowa, z samego słyszenia, że jest np. ładna kasjerka w owocarni, rodził we mnie chęć poznania nowej odmiany piękności kobiecej. Ale myliłem się, kiedym się spodziewał obudzić tę ciekawość w Robercie, mówiąc mu o swoich dziewczętach. Sparaliżowała ją w nim na długo miłość do owej aktorki, z którą miał stosunek. I gdyby nawet odczuł nieco tej ciekawości, byłby ją zdławił przez jakąś zabobonną wiarę, że od jego własnej wierności może zależeć wierność jego kochanki. Pojechaliśmy tedy na obiad do Rivebelle bez przyrzeczenia czynnej pomocy ze strony Roberta.

W pierwszym okresie, kiedyśmy przybywali, słońce dopiero co zaszło, ale było jeszcze jasno; w ogrodzie restauracji, gdzie nie zapalono jeszcze światła, gorąco dnia opadało, kładło się niby na dnie naczyń, na którego ścianach przezroczysta i ciemna galareta upalnego powietrza zdawała się tak stężeć, że wielki krzak róży, rosnący na ciemnym murze i fładujący go różowo, robił wrażenie słoików widzianych w onyksie. Niebawem wysiadaliśmy z powozu aż w nocy, często nawet już nocą wyjeżdżaliśmy z Balbec, o ile było brzydtko, a my opóźniliśmy wyjazd w nadziei lepszej pogody. Ale w owe dnie słuchałem bez smutku świstu wiatru; wiedziałem, że nie oznacza on poniechania projektów, zamknięcia w pokoju; wiedziałem, że w wielkiej sali jadalnej, dokąd wejdziemy przy dźwięku cygańskiej muzyki, niezliczone lampy zwyciężą bez trudu ciemność i zimno, przypalając je swymi złotymi żegadłami; wesoło sadowiłem się obok Roberta w powozie czekającym na deszczu. Od jakiegoś czasu słowa Bergotte'a wróżące mi, że jakie bądź miałbym pojęcie o sobie, stworzony jestem zwłaszcza do rozkoszy intelektualnych, wróciły mi, co do moich późniejszych prac, nadzieję, którą co dnia unicestwiała nuda, jakiej doznawałem, siadając przy biurku, aby rozpocząć studium krytyczne lub powieść. „Ostatecznie (powiadałem sobie), może przyjemność, jakiej się zaznało przy pisaniu, nie jest niezawodną próbą wartości utworu; może ona jest tylko dodatkowym stanem, który łączy się często z pisaniem, ale którego brak nie może świadczyć przeciwko dziełu. Może istnieją arcydzieła, przy których autor ziewał”. Babka koła moje zwątpienia, zaręczając,

że pracowałbym dobrze i z radością, gdybym był zdrow. I ponieważ nasz lekarz uznał za właściwe ostrzec mnie przed poważnym ryzykiem związanym z moim stanem zdrowia i wskazał wszystkie higieniczne ostrożności, jakich trzeba przestrzegać, aby unikać choroby — poddawałem wszystkie przyjemności celowi, który mi się wydawał nieskończenie ważniejszy: stać się na tyle silnym, aby móc zrealizować dzieło, jakie może nosiłem w sobie. Toteż od czasu pobytu w Balbec wykonywałem nad sobą samym drobiazgową i stałą kontrolę. Nikt by mnie nie skłonił do filiżanki kawy, która, pozbawiając mnie w nocy snu, uczyniłaby mnie zmęczonym nazajutrz. Ale kiedyśmy przybywali do Rivebelle, podniecony nową przyjemnością, znalazłszy się w tej odmiennej strefie, w którą wprowadza nas *wyjatkowość*, przeciąwszy przedzoną cierpliwie od tyłu dni nitkę wiodącą nas ku rozsądkowi, natychmiast, jak gdybym już nie miał ani jutra, ani wzniosłych celów przed sobą, gubiłem ów ścisły mechanizm roztropnej higieny, funkcjonujący dla ochrony tych celów. Podczas gdy lokaj odbierał ode mnie palto, Saint-Loup mówił:

— Nie będzie ci zimno? Lepiej byś może zrobił, zostając w palcie; nie jest zbyt gorąco.

Odpowiadałem: „Nie, nie”; może nie czułem zimna, ale w każdym razie nie znalazłem już obawy przed chorobą, konieczności *nie umierania*, ważności pracy. Oddawałem palto; wchodziliśmy do sali restauracyjnej przy dźwiękach jakiegoś marsza wojennego granego przez Cyganów, posuwaliśmy się między rzędami nakrytych stolików niby łatwą drogą chwały, czując radosny żar, wlny w nasze ciało rytmem orkiestry, która nam oddawała honory wojskowe niezasłużonego tryumfu. Pokrywaliśmy ten żar poważną i lodowatą miną, krokiem pełnym znużenia, aby nie naśladować owych lafirynd z *café-concert*, które, odśpiewawszy na wojowniczą nutę pikantny kuplecik, wbiegają pędem na scenę z marsowym gestem zwycięskiego generała.

Począwszy od tej chwili byłem nowym człowiekiem; nie byłem już wnukiem swojej babki, o której miałem sobie przypomnieć aż wychodząc, ale chwilowym bratem garsonów mających nas obsługiwać.

Dawkę piwa, tym bardziej szampana, na którą w Balbec nie pozwoliłbym sobie ani w ciągu tygodnia (wówczas gdy smak tych napojów ukazywał memu jasnowidzącemu i spokojnemu sumieniu przyjemność dającą się ściśle ocenić, ale łatwą do poświęcenia), pochłaniałem w ciągu godziny, dodając do tego parę kropel porto, zbyt roztargniony, aby czuć jego smak; skrzypkowi, gdy odegrał kawalek, oddawałem dwa „ludwiki”, ciulane od miesiąca w intencji jakiegoś sprawunku, któremu już sobie nie przypominał. Garsoni pomykali pędem między stolikami, niosąc na wyprężonych dłoniach półmiski, których nieupuszczenie zdawało się celem tego wyścigu. I w istocie czekoladowe sufflety dochodziły swego przeznaczenia nieprzewrócone, kartofelki *à l'anglaise*, mimo galopu, który powinien był nimi wstrząsnąć, były ułożone jak przy wyjściu z kuchni dokoła jagnięcia *Paullbac*. Zauważyłem jednego z tych służebników: bardzo wysoki, upierzony wspaniałymi czarnymi włosami, usminkowany cerą bardziej przypominającą niektóre gatunki rzadkich ptaków niż gatunek człowieka, chłopak ten, biegając bez przerwy i można by rzec bez celu z jednego końca sali na drugi, przywodził na myśl owe papugi ara, napelniające w ogrodach zoologicznych wielkie klatki swoim gorącym kolorytem i niepojętą ruchliwością. Niebawem widowisko zorganizowało się, przynajmniej w moich oczach, szlachetniej i spokojniej. Cały ten zawrotny ruch ustalał się w spokojnej harmonii. Okrągłe stoliki, których niezliczona mnogość napelniała restaurację, zdawały mi się niby planety, takie jak je przedstawiają dawne alegoryczne obrazy. Zresztą nieodparta siła przyciągania działała między tymi gwiazdami; przy każdym stole goście wypatrywali oczy na obce stoły, wyjąwszy jakiegoś bogatego amfitriona, który, zdolawszy ściągnąć sławnego pisarza, siłił się dobywać z niego, niby mocą wirującego stolika, blahe odezwania się, pogrążające damy w zachwycie. Harmonia tych astralnych stołów nie przeszkadzała nieustannemu krążeniu niezliczonych służebników, poruszających się w wyższej sferze, ile że zamiast — jak goście — siedzieć, wciąż byli na nogach. Z pewnością jeden biegł po zakąski, nalewał wino, przynosił szklanki. Ale mimo tych poszczególnych racji, ich ustawiczny ruch między okrągłymi stolikami wylał w końcu prawo swego zawrotnego i regularnego krążenia. Siedząc za żardinierą kwiatów, dwie potworne kasjerki, pochłonięte bez końca rachunkami, były niby dwie wróżki, siłące się za pomocą astrologicznych obliczeń przewidzieć zaburzenia, jakie mogły się czasem zdarzyć na tym niebieskim sklepieniu, poczętym w duchu średniowiecznej wiedzy.

I żalowałam po trosze wszystkich gości, bo czułam, że dla nich okrągłe stoliki nie są planetami i że nie dokonali operacji duchowej, która nas wyzwala z powszedniego wyglądu rzeczy i daje nam spostrzegać analogie. Myśleli o tym, że jedzą obiad z tym czy z owym, że będzie to kosztowało mniej więcej tyle a tyle i że wrócą tu nazajutrz. I zdawali się absolutnie nieczuli na rozwijający się orszak młodych garsonów, którzy, nie mając zapewne w tej chwili pilnego zajęcia, obnosili procesjonalnie chleb w koszykach. Niektórzy z nich zbyt młodzi, ogłupiali od szturchańców, jakie im rozdawali po drodze starsi kelnerzy, wlepiali melancholijnie oczy w odległe marzenie, raźniejsi jedynie wtedy, gdy jakiś klient z hotelu w Balbec, gdzie niegdyś pracowali, poznał ich, zagadał i polecił im osobiście, aby sprzątnęli szampan „niemożliwy do picia”, co ich napępniało dumą.

Słyszałam pomruk swoich nerwów, w których była jakaś błogość niezależna od zewnętrznych zjawisk zdolnych mi jej udzielić; najłżejsze przemieszczenie mojego ciała, mojej uwagi, wystarczało, aby mnie przejąć tą błogością, jak lekki ucisk daje zamkniętym oczom wrażenie barwy. Piłem już dużo porto i jeżeli jeszcze go żądałem, to nie tyle w nadziei błogości, oczekiwanej od nowych kieliszków, ile wskutek tej, jaką mi dały poprzednie. Pozwalałem muzyce prowadzić do woli moją przyjemność ku każdej nucie, gdzie wówczas skłaniała się posłusznie. O ile — podobna w tym do owych fabryk chemicznych, dzięki którym produkuje się masowo ciała spotykane w naturze przygodnie i rzadko — restauracja w Rivebelle gromadziła naraz więcej kobiet kuszących mnie tajemną nadzieją szczęścia, niżbym ich mógł spotkać na spacerach w ciągu roku, z drugiej strony, ta muzyka — transkrypcje walców, niemieckich operetek, piosenek z *café-concert*, wszystko dla mnie nowe — była sama niby powietrzny przybytek rozkoszy, wznoszącej się nad tamtą i bardziej upajającej. Bo każdy motyw, odrębny jak kobieta, nie chował, tak jak by kobieta uczyniła, tajemnicy skrywanej rozkoszy dla kogoś uprzywilejowanego; proponował mi tę rozkosz, wabił mnie, podchodził do mnie kapryśnym lub szelmowskim krokiem, zaczepiał mnie, pieścił, jak gdybym się stał nagle ponętniejszy, potężniejszy lub bogatszy; znajdowałem w tych melodiach coś okrutnego, bo też wszelkie bezinteresowne poczucie piękna, wszelki odbłask inteligencji były im obce; dla nich istnieje tylko rozkosz fizyczna. I stają się najbardziej bezlitosnym, najbeznadziejniejszym piekłem dla nieszczęsnego zazdrośnika, ukazując mu tę rozkosz — rozkosz, jakiej ukochana kobieta kosztuje z innym — jako jedyną rzecz istniejącą w świecie dla tej, co jest dla nas całym światem.

Ale podczas gdy powtarzałem półgłosem tę melodię i oddawałem jej pocałunek, owa swoista czerpana z niej rozkosz stała mi się tak droga, że byłbym opuścił rodziców, aby iść za tym motywem w dziwny świat, jaki on budował w Niewidzialnym, w liniach na przemian omdlewających i żwawych. Taka przyjemność nie przydaje wartości człowiekowi, w którego wstąpi, jest bowiem uchwytana jedynie dla niego samego. Jeżeli się na przykład nie podobamy jakiejś kobiecie, która nas spostrzegła, kobieta ta nie wie, czy my w tej chwili odczuwamy ową wewnętrzną i subiektywną błogość, niezdolną tym samym nic zmienić w sądzie jej o nas; mimo to czułem się wspanialszy, prawie nieodparty. Zdało mi się, że moja miłość nie jest już czymś niepożądanym i śmiesznym, ale że posiada właśnie wzruszające piękno i urok tej muzyki, stwarzającej niby sympatyczne środowisko, gdzieśmy się spotkali z tą, którą kochałem, stawszy się nagle sobie bliscy.

Restaurację tę odwiedzał nie tylko półświatek, ale także ludzie najwytworniejszego świata, przychodzący na podwieczorek około piątej lub wydający tam wielkie obiady. Podwieczorek odbywał się w długiej i wąskiej oszklonej galerii w kształcie korytarza. Wiodąc od sieni do jadalni, korytarz ten miał po jednej stronie ogród, od którego dzieliło go, poza kilkoma kamiennymi filarami, jedynie otwierane tu i ówdzie oszklenie. Wynikały stąd, poza licznymi przeciągami, nagle i dorywcze wtargnięcia słońca, fantastyczne oświetlenia, niepozwalające prawie rozpoznać obecnych kobiet; kiedy tam siedziały, stłoczone po dwa stoliki w całej długości wąskiej gardzieli, mieniając się w świetle za każdym ruchem uczynionym przy picciu herbaty lub ukłonie, robiło to wrażenie zbiornika, więcierza, gdzie rybak nagromadził olśniewające ryby, które, w pół wystając z wody i skąpane w promieniach, migocą mieniając się blaskiem.

W kilka godzin później, w czasie obiadu, który oczywiście podawano w sali jadalnej, zapalano światła, choć na dworze było jeszcze jasno. Obok chorągwi majaczących w zmierzchu i wyglądających na blade widma wieczoru, widać było krzewy, których ciemną zieloność przesywały ostatnie promienie i które z oświeconej lampami jadalni

Rozkosz

widziało się za oszkleniem — już nie, jakby można rzec, jak damy spożywające o schyłku dnia podwieczorek, wzdłuż siniego i złotego korytarza, w lśniącej i wilgotnej siatce — ale jak wegetacje bladzielonego olbrzymiego akwarium o nadnaturalnym świetle. Wstawano od stołu, a o ile w czasie posiłku goście, przyglądając się sobie wzajem, rozpoznając się, pytając o nazwiska osób przy sąsiednich stolikach, pozostawali skupieni dokoła własnego stołu, siła przyciągająca, wiążąca ich do amfitriona tego wieczoru, traciła swoją moc w chwili, gdy przechodzili na kawę do galerii opustoszałej po podwieczorku. Zdarzało się często, iż w trakcie zmiany miejsca taki wędrowny obiad tracił jeden lub kilka swoich atomów, które, uległszy zbyt silnemu przyciąganiu innego obiadu, odczepiały się na chwilę od własnego stolika, gdzie zastępowali je panowie lub damy zbliżający się dla powitania przyjaciół, zanim powrócą, rzekłszy: „Muszę wracać do pana X..., jestem dziś jego gościem”. Można by rzec, dwa bukiety, wymieniające między sobą parę kwiatów.

Potem i korytarz się opróżniał. Często, kiedy nawet po obiedzie było jeszcze trochę widno, nie zapalano światła w tym długim korytarzu, który, okolony drzewami kołyszącymi się za oszkleniem, robił wrażenie alei w zadrzewionym i mrocznym ogrodzie. Czasem, po obiedzie, jakaś kobieta chroniła się tam w mroku. Pewnego wieczora, mijając korytarz i kierując się ku wyjściu, spostrzegłem tam, w nieznanym towarzystwie, piękną księżną de Luxembourg. Złożyłem ukłon bez zatrzymywania się. Poznała mnie, skinęła głową z uśmiechem; a ponad ten ukłon, jakby wydzielając się z jej gestu, wzniosło się melodyjnie kilka słów pod moim adresem, niby przedłużone trochę pozdrowienie, nie aby mnie zatrzymać, jedynie aby uzupełnić ukłon, czyniąc zeń „ukłon mówiony”. Ale słowa były tak niewyraźne, dźwięk — jedynie słyszalny — przeciągnął się tak słodko i tak muzycznie, że miałem wrażenie słowika śpiewającego w ciemnej gęstwie liści.

Czasami, chcąc dokończyć wieczoru z gromadką spotkanych przyjaciół, Saint-Loup wybierał się do kasyna na sąsiednią plażę i nim się puścił z całym towarzystwem, wsadzał mnie samego do pojazdu. Wówczas kazałem woźnicy jechać całym pędem, aby skrócić chwile spędzone bez towarzysza zdolnego dostarczyć mojej pobudliwości owych podniet, które od przybycia do Rivebelle otrzymywałem z zewnątrz, a których teraz — dając jakby kontrparę i wyrывая się z bierności, w jakiej ugrzązłem — musiałem dostarczyć sobie sam. Możliwość zahaczenia o powóz jadący w przeciwnym kierunku na dróźnie, gdzie było miejsce tylko dla jednego wehikułu i gdzie było całkiem ciemno, niepewność osuwającego się gruntu, bliskość stromego spadku ku morzu, wszystko to nie mogło ze mnie wydobyć małego wysiłku, zdolnego uprzytomnić mojej myśli pojęcie i obawę niebezpieczeństwa. Bo jak nie żądza sławy, ale nawyk pracy pozwala nam wydać dzieło, tak samo nie radość obecnej chwili, ale roztropne refleksje czerpane z przeszłości pomagają nam ubezpieczyć przyszłość. Otóż jeżeli już przybywając do Rivebelle odrzuciłem od siebie owe kule rozumowania i samokontroli, pomagające naszej niemocy iść prosto, i czułem się ofiarą jakiegoś moralnego bezwładu, alkohol, napinając szczególnie moje nerwy, dawał obecnym minutom wartość, urok, nie czyniąc mnie zdolniejszym ani nawet gorliwszym w tym, aby ich bronić; każąc mi bowiem tysiącrotnie przekładać owe chwile nad resztę mego życia, egzaltacja moja izolowała je od niego; byłem zamknięty w teraźniejszości jak bohaterowie, jak pijacy. Przeszłość moja, chwilowo przyćmiona, nie rzuciła przede mnie swego cienia, który nazywamy przyszłością; mieszcząc cel życia już nie w ziszczeniu marzeń owej przeszłości, ale w szczęściu chwili obecnej, nie sięgałem wzrokiem dalej. Tak, iż przez sprzeczność jedynie pozorną, w chwili, kiedy doznawałem wyjątkowej przyjemności, kiedy czułem, że moje życie mogłoby być szczęśliwe, kiedy powinno było mieć w moich oczach więcej ceny, w tej właśnie chwili, zwolniony z trosk, jakie to życie mogło we mnie budzić dotąd, zdawałem je bez wahania na ryzyko wypadku. W sumie zresztą zagęściłem tylko w jednym wieczorze niedbałość rozpuszczoną w całym istnieniu innych ludzi, codziennie ryzykujących bez potrzeby podróż morską, spacer samolotem lub samochodem, kiedy ich w domu oczekuje istota, którą zmiażdżyłaby ich śmierć, lub kiedy jest jeszcze związana z kruchością ich mózgu książka, której bliskie wydanie na świat jest jedyną racją ich życia. I tak samo w czasie naszych wieczorów w Rivebelle, gdyby się nagle zjawił ktoś, aby mnie zabić, wówczas, widząc już tylko w nierealnej dali moją babkę, moje przyszłe życie i przyszłe książki, roztopiony całkowicie w zapachu kobiety siedzącej przy sąsiednim stole, w uprzejmości kelnerów, w melodii granego walca, utożsamiony z doraźnym wrażeniem, nie sięgając poza nie i nie mając innego celu niż ten, aby się

z nim nie rozłączać, skonałbym w jego uścisku, dałbym się zmasakrować bez oporu, bez ruchu, niby pszczoła odurzona tytoniowym dymem, niedbająca już o to, aby ubezpieczyć kapitał swoich nagromadzonych trudów, nadzieję swego roju.

Muszę zresztą powiedzieć, że ta nicłość, w jaką popadały najpoważniejsze rzeczy przez kontrast z siłą mojej egzaltacji, ogarniała w końcu nawet pannę Simonet i jej przyjaciółki. Sprawa ich poznania wydawała mi się teraz łatwa, lecz obojętna, bo jedynie moje doraźne wrażenie, dzięki swej niezwyklej sile, dzięki radości, jaką budziły jego najlżejsze odmiany, a nawet jego proste trwanie, miało dla mnie wagę; wszystko inne, rodzice, praca, przyjemności, dziewczęta z Balbec, ważyło nie więcej niż bryzg piany w wichrze niepozwalającym jej osiąść; istniało jedynie w stosunku do tej wewnętrznej siły. Pijaństwo realizuje na kilka godzin podmiotowy idealizm, czysty fenomenalizm; wszystko jest już tylko pozorem i istnieje jedynie w stosunku do naszego wzniesłego *ja*. To nie znaczą zresztą, aby prawdziwa miłość, o ile ją odczuwamy, nie mogła przetrwać w podobnym stanie. Ale czujemy, że — niby w nowym środowisku — nieznanne ciśnienia zmieniły wymiary tego uczucia, tak, iż nie możemy go brać tak samo. Odnajdujemy tę samą miłość, ale przemieszczoną, nie ciężącą już na nas, zadowoloną z wrażenia, jakiego jej używa terażniejszość i które nam wystarcza, bo nie troszczymy się o to, co nie jest doraźne. Na nieszczęście, współczynnik zmieniający w ten sposób wartości zmienia je tylko na tę godzinę pijaństwa. Osoby, które straciły dla nas znaczenie i na które dmuchaliśmy niby na bańki mydlane, odzyskają jutro swoją gęstość; trzeba nam będzie imać się na nowo prac, które nie znaczą już nic. Rzecz o wiele poważniejsza jeszcze: ta matematyka jutrzejsza, ta sama co wczorajsza i z której problemami przyjdzie się nam nieubłaganie zmagać, rządzi nami nawet przez te godziny, z wyjątkiem dla nas samych. Jeżeli się znajdziemy w pobliżu kobiety cnotliwej lub niechętnej, podobać się jej — rzecz tak trudna poprzedniego dnia — wydaje się nam teraz milion razy łatwiejsza, mimo iż nie łatwiejsza w niczym, bo jeżeliśmy się zmienili, to jedynie w naszych własnych oczach, w naszych własnych duchowych oczach. I ta kobieta jest w tej samej chwili równie niezadowolona z naszej poufałości, jak my będziemy markotni nazajutrz, żeśmy dali sto franków garsonowi; i to z tej samej przyczyny, która dla nas przyszła jedynie później: z trzeźwości.

Nie znałem żadnej z kobiet obecnych w Rivebelle. Przez to, że były częścią mego pijaństwa, jak odbite obrazy są częścią lustra, wydawały mi się tysiąc razy pożądan⁴ niż coraz to mniej istniejąca panna Simonet. Młoda blondynka, samotna, patrząca smutno spod słomkowego kapelusza przybranego polnymi kwiatami, spojrzała na mnie chwilę z zadumaną twarzą i wydawała mi się sympatyczna. Potem przyszła kolej na drugą, potem na trzecią; w końcu na brunetkę o wspaniałej cerze.

W przeciwieństwie do mnie, Saint-Loup znał je prawie wszystkie. Zanim poznał obecną kochankę, był tak wżyty w zamknięty świat hulanków, że wśród wszystkich kobiet bywających w owe wieczory w Rivebelle (wiele z nich było tam przypadkiem, znalazłszy się nad morzem jedno dla zobaczenia się z kochankiem, drugie, aby próbować złowić kochanka), nie było bodaj żadnej, której by on nie znał, z którą by nie spędził — on lub któryś z jego przyjaciół — choćby jednej nocy. Saint-Loup nie kłaniał się im, o ile były w towarzystwie mężczyzny; one zaś, udając, że go nie znają, patrzyły nań ze szczególnym zainteresowaniem, gdyż znana jego obojętność na wszystko poza aktorką, z którą żył, dawała mu w ich oczach szczególny urok. Jedna szeptała:

— To młody Saint-Loup. Zdaje się, że on wciąż kocha swoją żdzirę. To wielka miłość. Co za śliczny chłopiec! Dla mnie on jest bajkowy: i co za szyk! Są jednak kobiety, które mają wściekle szczęście. To chłopiec szykowny we wszystkim! Znałam go dobrze, kiedy byłam z Orleanem. To byli dwaj nierozłączni. Ależ on się lumpował wtedy! Ale teraz już się skończyło; wierny jest tej kłępie. Och, ta może powiedzieć, że wygrała los. I pytam się, co on w niej może widzieć? Musi być z tym wszystkim potężny kretyn. Ona ma nogi jak czółna, amerykańskie wąsiki, a przy tym brudna! Myślę, że prosta robotnica nie chciałaby włożyć jej majtek. Popatrz tylko, co on ma za oczy, człowiek by się w ogień rzucił dla takiego chłopca. O, cicho siedź, poznał mnie, śmieje się, och! on mnie znał dobrze. Wystarczy mu wspomnieć o mnie...

⁴pożądan⁴ — dziś popr.: bardziej pożądan⁴. [przypis edytorski]

Chwytałem pomiędzy nim a nimi porozumiewawcze spojrzenia. Byłbym chciał, aby mnie Robert przedstawił tym kobietom, chciałbym je móc poprosić o schadzki; potrzeba mi było ich zgody, nawet gdybym nie miał z niej skorzystać. Bo inaczej twarz ich pozostałaby w mojej pamięci na zawsze pozbawiona owej części — tak jakby ta część była skryta zasłoną — która zmienia się u wszystkich kobiet, której nie możemy sobie wyobrazić, o ileśmy jej nie widzieli, a która objawia się jedynie w spojrzeniu przyjmującym życzliwie naszą żądzę i obiecującym ją zaspokoić. A jednak nawet tak zubożona twarz ich była dla mnie czymś o wiele więcej niż twarz kobiet, o których bym wiedział, że są cnotliwe, i nie wydawała mi się jak twarz tamtych płaska, bez głębi, odrobiona z jednego kawałka. Zapewne nie była dla mnie tym, czym musiała być dla Roberta, który pod przejrystą — dla niego — obojętnością martwych rysów udających, że go nie znają, lub pod banalnością ukłonu, który mógłby być równie dobrze dla każdego innego, siłą pamięci przypominał sobie, widział, pośród zburzonych włosów spazm ust i przymknięte oczy, cały milczący obraz jak te, które malarze, myśląc oczy pospolitego widza, kryją nieraz w skromnym płótnie. Zapewne dla mnie, który czułem, że nic z mojej istoty nie wniknęło w żadną z tych kobiet i nie miało jej towarzyszyć na nieznanym drogach życia, twarze te były zamknięte. Ale dość mi już było wiedzieć, że się otwierają, aby osiągnęły w moich oczach wartość, jakiej bym w nich nie znalazł, gdyby to były jedynie piękne medale, nie zaś medaliony kryjące wspomnienia miłosne. Co się tyczy Roberta, ledwie zdolnego usiedzieć w miejscu, kryjącego pod dwornym uśmiechem żołnierską żądzę czynu, patrząc nań, zdawałem sobie sprawę, jak dalece energiczny kościć jego trójkątnej twarzy musi być podobny do czaszki jego przodków, bardziej stworzony dla żarkiego łucznika niż dla subtelnego pięknoducha. Pod cienką skórą czuć było śmiałą budowę, feudalną architekturę. Głowa jego przywodziła na myśl owe baszty starożytnych warowni, których nieużywane strzelnice są jeszcze widoczne, ale które przerobiono wewnątrz na bibliotekę.

Szlachcic, Ciało

Wracając do Balbec, powtarzałem sobie bez ustanku, mimo iż niemal bezwiednie, o jakiejś z tych nieznanym, której mnie Robert przedstawił: „Cóż za rozkoszna kobieta!” — tak jak się nuci refren. Z pewnością słowa te raczej mi dyktował stan moich nerwów niż trwały sąd. Niemniej prawdą jest, że gdybym miał przy sobie tysiąc franków i gdyby o tej godzinie jubilerzy byli jeszcze otwarci, byłbym kupił nieznaną pierścionek. Kiedy godziny naszego życia rozwijają się niby zbyt rozmaite płaszczyzny, nieraz dajemy za wiele z siebie jakimś osobom, które nazajutrz wydadzą się nam obojętne. Ale czujemy się odpowiedzialni za to, cośmy im powiedzieli wczoraj, i chcemy tego dotrzymać.

Ponieważ w owe wieczory wracałem później, z przyjemnością odnajdywałem w pokoju — już nie wrogim — łóżko, w którym w dniu przybycia myślałem, że nigdy nie zdołam zasnąć i gdzie teraz moje zmęczone członki szukały oparcia; tak iż kolejno moje uda, biodra, ramiona, starały się przylgnąć wszystkimi punktami do prześcieradła pokrywającego materac, jak gdyby moje zmęczenie, podobne rzeźbiarzowi, chciało zdjąć całkowity odlew ciała ludzkiego. Ale nie mogłem zasnąć, czułem, że zbliża się ranek; spokój, zdrowie, odeszły ode mnie. Miałem rozpaczliwe uczucie, że ich już nigdy nie odnajdę. Trzeba mi było spać długo, aby je doścignąć. Otóż gdybym nawet zasnął, niezawodnie obudziłby mnie w dwie godziny później koncert symfoniczny. Naraz zasypiałem; popadałem w ten ciężki sen, w którym odsłania się nam powrót młodości, powtórzenie minionych lat, straconych uczuć, dezinkarnacja, wędrówka dusz, wywołanie umarłych, złudy szaleństwa, cofanie się w najelementarniejsze królestwa przyrody. (Mówi się, że często widzimy we śnie zwierzęta; ale zapomina się prawie zawsze, że my sami jesteśmy we śnie zwierzęciem pozbawionym owego rozumu, który daje rzeczom oczywistą jasność; przeciwnie, stwarzamy we śnie jedynie wątpliwą wizję życia w każdej minucie unicestwioną zapomnieniem, ile że poprzednia rzeczywistość niknie wobec nowej, tak jak projekcja latarni magicznej ustępuje następnej, kiedy zmieniamy szybki). Jawią się nam wszystkie owe tajemnice, których jakoby nie znamy, a które przeżywamy w istocie prawie co noc, zarówno jak wielką tajemnicę unicestwienia i zmartwychwstania. Zbalaamucone mozolnym trawieniem obiadu w Rivebelle, kolejne i wędrówne wizje mrocznych stref mojej przeszłości czyniły ze mnie istotę, dla której najwyższym szczęściem byłoby odnaleźć pana Legrandin, przed chwilą rozmawiającego ze mną we śnie.

Potem nawet własne życie skryło mi się całkowicie za nową dekoracją, ustawioną niby na samym przodzie, przed którą aktorzy dają *divertissement*, gdy za nią dokonywa się zmiany obrazu. Widowisko, w którym grałem wówczas, było w guście wschodnich bajek; nie wiedziałem w nim nic o swojej przeszłości ani o sobie, odcięty od tego wszystkiego właśnie ową dekoracją; byłem jedynie figurą biorącą kije i cierpiącą rozmaite kary za błąd, którego nie pojmowałem, ale którym był fakt wypicia za wielkiej ilości porto. Naraz budziłem się, spostrzegłem, że pod ochroną długiego snu nie słyszałem koncertu. Było już po południu; upewniłem się o tym na zegarku. Parę razy próbowałem się podnieść, co kończyło się opadnięciem na poduszki w owym chwilowym bezwładzie, jaki następuje po śnie lub innym pijaństwie, czy go daje wino, czy rekonwalescencja; zresztą zanim nawet spojrziałem na godzinę, byłem pewny, że południe minęło. Wczoraj wieczór byłem jedynie istotą wypaproszoną, bez ciężaru (ile że trzeba wprzód leżeć, aby być zdolnym usiąść, i trzeba się wyspać, aby być zdolnym milczeć), nie mogłem przestać ruszać się ani mówić, nie miałem już konsystencji, środka ciężkości, byłem rzucony w przestrzeń, zdawało mi się, że ten martwy bieg mógłby mnie nieść aż na księżyc. Otóż mimo iż we śnie oczy moje nie widziały godziny, ciało umiało ją obliczyć; zmierzłyo czas nie na cyferblacie, ale przez kolejne odważenie wszystkich moich odzyskanych sił, które, niby potężny zegar, czas spuścił stopniowo z mózgu w resztę mego ciała, gdzie obecnie gromadziły aż powyżej kolan nietknięty nadmiar swoich zapasów. Jeżeli prawdą jest, że morze było niegdyś naszym biologicznym środowiskiem, w którym dziś jeszcze trzeba by nam się zanurzać, aby odzyskać siły, tak samo jest z zapomnieniem, z unicestwieniem duchowym; człowiek zdaje się wówczas przez kilka godzin nieobecny w czasie; ale niezużyte siły, jakie się zgrupowały przez ten czas, mierzą go swoją ilością równie dokładnie jak wagi zegara lub osypujący się piasek w klepsydrze. Nie łatwiej jest zresztą wyrwać się z takiego snu niż z przydługiego czuwania, tak bardzo wszystkie rzeczy dążą do trwałości; i jeżeli prawdą jest, że niektóre narkotyki usypiają, długi sen jest potężniejszym jeszcze narkotykiem, po którym bardzo trudno jest się rozbudzić. Podobny majtkowi, dobrze widzącemu brzeg, gdzie ma uwiązać barkę wstrząsaną jeszcze przez fale, chciałem sprawdzić godzinę i wstać, ale sen zagarniał co chwila z powrotem moje ciało; lądowanie było trudne i zanim wstałem, aby wziąć zegarek i skonfrontować godzinę z tą, którą wskazywało bogactwo materiałów, jakimi rozporządzały moje zmęczone nogi, opadłem jeszcze parę razy na poduszkę.

W końcu ujrzałem jasno: „druga popołudniu!”. Zadzwoiłem, ale natychmiast zagarnął mnie sen, który tym razem miał być nieskończenie dłuższy, jeżeli mam o tym wnosić z wypoczynku i wizji olbrzymiej nocy, jakie budząc się zastałem. Jednakże przebudzenie to spowodowała Franciszka, której wejście sprowadził znowuż mój dzwonek. Ten nowy sen, który wydał mi się o wiele dłuższy od tamtego i dał mi tyle spokoju i zapomnienia, trwał ledwie pół minuty.

Babka otworzyła drzwi do mego pokoju, zadałem jej parę pytań dotyczących rodziny Legrandin.

Nie dość powiedzieć, że odzyskał spokój i zdrowie, bo to, co w wilię dzieliło je ode mnie, było czymś więcej niż prostą odległością; musiałem całą noc walczyć z przeciwną falą; a potem nie tylko znalazłem się w pobliżu nich, weszły z powrotem we mnie. W ściśle określonych i jeszcze nieco bolesnych punktach mojej próżnej głowy, która pewnego dnia strzaska się, pozwalając myślom wymknąć się na zawsze, odzyskały one jeszcze raz swoje miejsce, odnalazły tę egzystencję, z której niestety dotąd nie umiały skorzystać.

Jeden raz więcej uniknąłem niemożności snu, potopu, katastrofy przypadłości nerwowych. Nie bałem się już wcale tego, co mi groziło poprzedniego dnia wieczorem, kiedy byłem wyzuty ze spoczynku. Nowe życie otwierało się przede mną; nie robiąc najmniejszego ruchu, jeszcze złamany, mimo że już wypoczęty, maskowałem radośnie swoje zmęczenie; wyosobniło ono i znużyło kości moich nóg i rąk, które czułem złożone przed sobą, gotowe połączyć się, i które miałem podnieść po prostu, śpiewając, niby ów architekt w bajce.

Naraz przypomniałem sobie młodą, melancholijną blondynkę, którą widziałem w Rivebelle i która popatrzyła na mnie przez chwilę. W ciągu wieczoru spodobało mi się wiele innych, teraz ona jedna wyłoniła się z głębin mej pamięci. Zdawało mi się, że mnie zauważyła; oczekiwałem, że któryś garson z Rivebelle przyniesie mi liścik od niej. Saint-Loup

nie znał jej i myślał, że to jest przyzwoita kobieta. Byłoby bardzo trudno ujrzeć ją, widywać ją bez ustanku. Ale dla tego celu byłem gotów na wszystko, myślałem już tylko o niej. Filozofia często mówi o aktach wolnych i o aktach koniecznych. Może nie ma aktu bardziej nam narzuconego niż ten, który, mocą wzbierającej siły zdławionej w czasie działania, każe, gdy raz myśl nasza znajdzie się w spoczynku, wypływać wspomnieniu zniewelowanemu z innymi przez ucisk roztargnienia i zrywać się, dlatego że bez naszej wiedzy zawierało ono jakiś szczególny urok, spostrzeżony aż po dwudziestu czterech godzinach. I może nie ma też aktu równie swobodnego, bo jest on jeszcze wyzuty z przyzwyczajenia, z tej jakby manii umysłowej, która w miłości sprzyja wyłącznemu odnawianiu obrazu pewnej osoby.

Było to właśnie nazajutrz po dniu, w którym ujrzałem defilujący nad morzem orszak młodych dziewcząt. Zapytywałem o nie gości hotelowych, bywających prawie co rok w Balbec. Nie mogli mnie objaśnić. Później fotografia wytłumaczyła mi czemu. Któż by mógł teraz poznać w nich, wyrosłych — od niedawna — z wieku, gdy człowiek zmienia się tak kompletnie, któż by mógł w nich poznać ową jeszcze zupełnie dziecinną, bezpostaciową i rozkoszną bryłę małych dziewczynek, które kilka lat wprzód widywało się siedzące w krąg na piasku dokoła namiotu; rodzaj białej i mglistej konstelacji, gdzie o ile by się rozróżniło jakąś parę bardziej błyszczących oczu, jakąś sprytną twarzyczkę, włosy blond, to jedynie po to, aby je zgubić i zatracić rychło w niewyraźnej i mlecznej mgławicy.

Bez wątpienia, w owych jeszcze tak niedawnych latach, nie wizja grupy była mętna — jak wczoraj za pierwszym zjawieniem się dziewcząt przede mną, ale sama grupa. Wówczas zbyt młode jeszcze dzieciaki znajdowały się na tym elementarnym stopniu kształtowania, kiedy osobowość nie wycisnęła jeszcze piętna na każdej twarzy. Jak owe pierwotne organizmy, w których jednostka ledwo że istnieje, raczej mieszcząc się w krzewie polipów niż w każdym z polipów, które go składają, tak one skupiły się razem. Czasem któraś przewracała swoją sąsiadkę i wówczas szalony śmiech — jedyny przejaw ich osobowego życia — wstrząsał wszystkimi naraz, zacierając, mieszając te niezdecydowane i drgające twarze w galarecie jednego migotliwego i drżącego grona. Na starej fotografii, którą miały mi dać kiedyś i którą zachowałem, dziecięca gromadka zawiera już tę samą liczbę uczestniczek co później żeński ich orszak; czuć, że już musiały tworzyć na plaży osobliwą plamę, zmuszającą, by na nie popatrzeć; ale indywidualnie można je tam rozpoznać jedynie w drodze analizy, biorąc w rachubę wszystkie możliwe za młodu przeobrażenia, aż do granicy, kiedy te zrekonstruowane kształty zaszyłyby na inną osobowość, którą również trzeba utożsamnić i której piękna twarz (wnosząc z analogii wzrostu i kręcących się włosów) mogła być niegdyś owym pomarszczonym i karłowatym grymasem, jaki przedstawiała fotografia. Dystans przebieżony w krótkim czasie przez fizyczne cechy każdej z dziewcząt czynił z tych cech kryterium bardzo mgliste; że zaś z drugiej strony zaznaczało się już to, co miały wspólnego i jakby zbiorowego, zdarzało się czasem ich najlepszym przyjaciółkom, że brały na fotografii jedną z nich za drugą; wątpliwość dało się ostatecznie przeciąć jedynie szczegółem ubioru, co do którego przynależności istniała jakaś pewność. Z owej epoki, tak różnej od dnia, gdy ujrzałem te dziewczęta na plaży — epoki tak różnej, a przecież tak bliskiej — zachowały one jeszcze śmiech — jak się o tym przekonałem wczoraj — ale śmiech niebędący już przerywanym i prawie automatycznym śmiechem dziecięctwa, spazmatycznym odprężeniem, jakie niegdyś kazało co chwilę dawać tym główkom nurka, tak jak gromadki płotek w Vivonne rozpraszały się i znikwały, aby się skupić w chwilę później; teraz, fizjonomie ich zyskały panowanie nad sobą, oczy ich wlepione były w cel, do którego dążyły; i trzeba było mego wczorajszego niezdecydowania i drżenia pierwszych wrażeń, aby pomieszać — jak to czyniła dawna ich wesołość i stara fotografia — zindywidualizowane już dziś i rozłączone człony bladego polipa.

Bez wątpienia, niejednokrotnie mijając jakieś ładne dziewczęta, obiecywałem sobie, że się je postaram odszukać. Zwykle nie zjawiały się więcej; zresztą pamięć, rychło zapominająca o ich istnieniu, niełatwo odnalazłaby ich rysy; oczy nasze nie poznałyby ich może, i już przesunęły się przed nami inne dziewczęta, których nie ujrzemy również. Ale czasami — i to miało się zdarzyć z zuchwałą gromadką — przypadek sprowadza je uparcie ku nam. Wówczas wydaje się nam on piękny, bo poznajemy w nim niby jakiś początek zorganizowania, wysiłku w komponowaniu naszego życia; bez tego przypadku mogliśmy w samym początku tak snadnie zapomnieć — jak tylu innych — obrazów,

które kiedyś będziemy uważali za nasz los; on czyni nam ich wierną pamięć łatwą, nieuchronną, a niekiedy bolesną — po przerwach pozwalających mniemać, iż przestaniemy pamiętać.

Pobył Roberta dobiegał już końca. Nie odnalazłem swoich dziewcząt na plaży. Saint-Loup za krótko był popołudniu w Balbec na to, aby się móc nimi zająć i starać się z nimi zapoznać na moją intencję. Wieczorem był wolniejszy i nadal zabierał mnie często do Rivebelle. Zdarzają się w takich restauracjach, jak w ogrodach publicznych i w pociągach, ludzie o wyglądzie na pozór banalnym, a których nazwisko zdziwi nas, skoro, spytawszy o nie przypadkiem, odkryjemy, że ów obcy nie jest, jak sądziliśmy, byle kim, ale ni mniej ni więcej tylko ministrem lub księciem, o których słyszeliśmy tak często. Już parę razy w Rivebelle widzieliśmy z Robertem człowieka wysokiego wzrostu, bardzo muskularnego, o regularnych rysach, z siwiejącą brodą, o zamyślnym spojrzeniu, utkwionym pilnie w próżni. Siadał do stołu, gdy wszyscy zaczynali się rozchodzić. Jednego wieczora, kiedyśmy spytali gospodarza, kto jest ten nieznan, samotny i zapóźniony gość, odparł: „Jak to, nie znacie panowie sławnego malarza Elstira?”. Swann wspominał raz przy mnie to nazwisko, zapomniałem zupełnie z jakiej okazji; ale przeoczenie pamięci, tak jak przeoczenie członu zdania przy lekturze, stwarza często nie niepewność, ale rozkwit przedwczesnej pewności. „To przyjaciel Swanna, artysta bardzo znany, bardzo niepospolity”, rzekłem do Roberta. Natychmiast przebiegła obu nas, niby dreszcz, myśl, że Elstir jest wielkim artystą, sławnym człowiekiem; a potem, że mieszając nas z innymi gośćmi, nie domyśla się wzruszenia, w jakie nas wprawia myśl o jego talencie. Zapewne to, że on nie wie o naszym podziwieniu i o tym, iż znamy Swanna, nie byłoby nam tak przykre, gdybyśmy nie byli w miejscu kąpielowym. Ale tkwiąc jeszcze w wieku, gdy entuzjazm nie umie zachować milczenia, i zanurzeni w życiu, w którym incognito jest dławiącą udręką, skreśliliśmy — podpisując się nazwiskami — list, gdzie w dwóch gościach siedzących o parę kroków od niego, zdradziliśmy Elstirowi gorących wielbicieli jego talentu, przyjaciół jego bliskiego przyjaciela Swanna, i prosiliśmy, aby nam pozwolił wyrazić nasze uwielbienie. Garson zaniósł tę epistołę sławnemu człowiekowi.

Co się tyczy sławy, Elstir nie był może jeszcze wówczas tak sławny jak to utrzymywał właściciel lokalu i jak stał się zresztą w niewiele lat później. Ale był jednym z pierwszych mieszkańców tej restauracji, wówczas gdy była jeszcze rodzajem fermy, i sprowadził tam kolonię artystów (którzy zresztą wszyscy wyemigrowali, z chwilą gdy ferma, gdzie się jadało na świeżym powietrzu w skromnej altanie, stała się eleganckim zakładem; sam Elstir bywał w tej chwili w Rivebelle jedynie z powodu nieobecności żony, z którą mieszkał opodal). Ale wielki talent, nawet nie całkiem jeszcze uznany, nieodzownie ściąga jakieś objawy podziwu, które właściciel fermy mógł odgadnąć w pytaniach niejednej przejeżdżającej Angielki, chciwiej informacji co do sposobu życia Elstira, lub w ilości listów, jakie malarz otrzymywał z zagranicy. Wówczas dopiero pryncypał zauważył, że Elstir nie lubi, aby mu przeszkadzano, gdy pracuje; że wstaje w nocy, aby kazać młodemu modelowi pozować nago nad morzem, kiedy jest księżyc; i powiedział sobie, że tyle trudu nie jest stracone, ani też podziw turystów bezzasadny, kiedy poznał na obrazie Elstira drewniany krzyż stojący u wjazdu do Rivebelle.

— To ten sam — powiedział sobie zdumiony. — Są cztery kawałki drzewa! Ba! ale bo też on sumiennie pracuje.

I nie wiedział, czy mały „wschód słońca nad morzem”, który Elstir mu darował, nie jest wart krocie.

Ujrzelśmy, jak malarz czyta nasz list, kładzie go do kieszeni, je dalej, każe sobie podać rzeczy, gotuje się do wyjścia. Byliśmy tak pewni, żeśmy go urazili swoim krokiem, iż bylibyśmy pragnęli teraz (jak przedtem baliśmy się tego) wyjść niezauważeni przez artystę. Nie myśleliśmy ani chwili o tym, co by się nam powinno wydać najważniejsze, mianowicie, że nasz entuzjazm dla Elstira — o którego szczerości nie pozwolilibyśmy nikomu wątpić i na którego świadectwo moglibyśmy w istocie podać nasz oddech przerywany oczekiwaniem, nasze pragnienie zrobienia czegoś trudnego lub heroicznego dla tego genialnego człowieka — nie był, jak myśmy to sobie wyobrażali, podziwem, skoro nigdy nie widzieliśmy żadnego obrazu Elstira; nasze uczucie mogło mieć za przedmiot abstrakcję „wielkiego artysty”, nie zaś dzieło, które nam było nieznanne. Był to co najwyżej podziw w próżni, duchowa rama, sentymentalne rusztowanie zachwyty bez treści, to

znaczy coś równie nierozłącznie zrośniętego z dzieciństwem, jak pewne organy nieistniejące już u dorosłego człowieka; byliśmy jeszcze dziećmi. Tymczasem Elstir dochodził do drzwi, kiedy nagle skręcił i podszedł do nas. Przejął mnie rozkoszny strach, taki, jakiego nie byłbym odczuł w kilka lat później, ponieważ w miarę jak wiek zmniejsza zdolność odczuwania tego rodzaju wzruszeń, wyrobienie światowe odejmuje wszelką chęć wywoływania równie niezwykłych okazji.

W niewielu słowach, jakie Elstir wymienił z nami, siadając przy stole, nie odpowiedział mi ani razu, ilekroć zagadnąłem go o Swanna. Zacząłem sądzić, że go nie zna. Niemniej zaprosił mnie, abym go odwiedził w jego pracowni w Balbec. Zaproszenie to, które nie dotyczyło Roberta, zyskałem sobie przez kilka słów pozwalających malarzowi przypuszczać, że kocham sztukę. Nie osiągnęłoby tego może polecenie Swanna, gdyby Elstir żył z nim blisko (gdyż udział bezinteresownych uczuć większy jest w życiu niż się przypuszcza). Malarz rozwinął dla mnie uprzejmość, w tym samym stopniu wyższą od uprzejmości Saint-Loup, w jakim ta była wyższa od uprzejmości jakiegoś mieszczucha. Przy uprzejmości artysty dworność wielkiego pana, choćby najbardziej urocza, robi wrażenie aktorstwa, udania. Saint-Loup starał się czarować, Elstir lubił dawać, udzielać się. Wszystko, co posiadał, idee, dzieła i resztę — którą cenil o wiele mniej — oddałby z radością komuś, kto by go zrozumiał. Ale z braku znośnego towarzystwa żył samotnie, jak odludek, co ludzie światowi nazywali pozą i złym wychowaniem, władze „duchem niepewnym”, sąsiedzi bzikiem, rodzina egoizmem i pychą.

Artysta, Samotnik

I z pewnością w pierwszych czasach Elstir z zadowoleniem myślał w swojej samotności, iż za pomocą swoich dzieł zwraca się na odległość — dając im wyższe pojęcie o sobie — do tych, co go nie docenili lub urazili. Może wówczas żył samotnie nie przez obojętność, lecz przez miłość ludzi, i jak ja niegdyś wyrzekłem się Gilberty, aby się jej zjawić pewnego dnia pod wdzięczniejszą postacią, tak on przeznaczał swoje dzieło dla pewnych ludzi jako powrót do nich, w którym, nie widując jego samego, będą go kochali, podziwiali, mówili o nim. Takie wyrzeczenie się — zamknięcie się chorego, mnicha, artysty, bohatera — nie zawsze jest całkowite z początku, kiedy je postanawiamy w naszej dawnej duszy i zanim ono samo oddziała znowuż na nas. Ale jeżeli Elstir pragnął tworzyć pod kątem kilku osób, tworząc, żył dla siebie samego, z dala od społeczeństwa, któremu stał się obojętny; nawyk samotności wszczepił mu upodobanie w niej, jak się dzieje z każdą wielką rzeczą, której baliśmy się zrazu, wiedząc, że jest nie do pogodzenia z mniejszymi, do których byliśmy przywiązani i których ona nie tyle nas pozbawia, ile nas od nich odstręcza. Nim tę samotność poznamy, całą naszą troską jest wiedzieć, w jakiej mierze zdołamy ją pogodzić z pewnymi przyjemnościami, które przestają być przyjemnościami, z chwilą gdyśmy ją poznali.

Elstir niedługo rozmawiał z nami. Obiecywałem sobie zejść do jego pracowni w ciągu najbliższych dni, ale nazajutrz po tym wieczorze, kiedy towarzyszył babce na sam koniec promenady w stronę urwisk Canapville, w powrotnej drodze, na rogu jednej z uliczek wychodzących prostopadle na plażę, minęliśmy się z młodą panią, która z głową spuszczoną niby zwierzę przemocą zaganiane do obory, trzymając „kluby” do golfa, szła przed swoją władzą, prawdopodobnie swoją „Angielką” lub „Angielką” jednej z przyjaciółek, podobną do portretu *Jeffries* Hogartha, z cerą tak czerwoną, jakby jej ulubionym napojem był raczej gin niż herbata, i z czarnym przecinkiem resztki tabaki, przedłużającym wąsik siwy, ale dość obfity. Idąca przed nią panią podobna była do owej dziewczyny z małej gromadki, która pod czarnym „polo” miała roześmiane oczy na nieruchomej i pucołowatej twarzy. Otóż ta, którąśmy spotkali teraz, miała też czarne „polo”, ale zdawała mi się jeszcze ładniejsza; linia nosa była prostsza, nasada szersza i bardziej mięsista. Następnie tamta dziewczyna zdawała mi się dumna i blada, ta miała minę pogwałconego dziecka i cerę różową. Jednakże ponieważ prowadziła taki sam rower i nosiła takie same reniferowe rękawiczki, uznałem, że różnice wynikły może z perspektywy i z okoliczności; mało bowiem było prawdopodobne, aby się znalazła w Balbac druga dziewczyna o twarzy mimo wszystko tak podobnej, jednocząca te same szczegóły stroju. Rzuciła w moją stronę szybkie spojrzenie; następnego dnia, kiedy to ujrzałem na plaży małą gromadkę, a nawet później, kiedy to poznałem wszystkie składające ją dziewczęta, nigdy nie miałem zupełnej pewności, czy która z nich — nawet najpodobniejsza do niej dziewczynka z rowerem

— była ową istotą ujrzaną wieczorem na końcu plaży, na rogu ulicy, niezbyt, ale zawsze trochę, odmienną od tej, którą zauważyłem w gromadce.

Począwszy od tego popołudnia, ja, który w poprzednich dniach myślałem jedynie o „dużej”, zacząłem się interesować tą z „kubami” do golfa, przypuszczalną panną Simonet. Idąc z tamtymi, przystawała często, zmuszając przyjaciółki, które zdawały się bardzo ją szanować, do zatrzymania się również. I w ten sposób widzę ją jeszcze teraz, przystającą co chwila z oczami błyszczącymi pod swoim „polo”; widzę ją niby sylwetkę na ekranie, jaki stwarzało w oddali morze; oddzieloną ode mnie czasem, jaki upłynął od owej chwili, niby czystą i lazurową przestrzenią; pierwszy i bardzo drobny w moim wspomnieniu, upragniony, ścigany, potem zapomniany, potem odnaleziony obraz twarzy, którą od owego czasu często rzutowałem w przeszłość, aby móc sobie powiedzieć o młodej dziewczynie znajdującej się w moim pokoju: „To ona!”.

Ale najbardziej może pragnąłem znać dziewczynę z cerą geranii i zielonymi oczami. Którą bądź zresztą w danym dniu wołałbym ujrzeć, inne wystarczały i bez niej, aby mnie wzruszyć. Pragnienie moje, zwracając się raz ku tej, raz ku innej, wciąż — jak to pierwszego dnia czyniła moja mętna wizja — łączyło je, stwarzało z nich osobny światek, ożywiony wspólnym życiem, które było zresztą ich ambicją. Stając się przyjacielem jednej z nich, wszedłbym — niby wyrafinowany poganin lub skrupulatny chrześcijanin u barbarzyńców — w odmładzające społeczeństwo, w którym panowało zdrowie, nieświadomość, rozkosz, okrucieństwo, aintelektualizm i radość.

Babka, której opowiedziałem spotkanie z Elsrirem, ucieszyła się z korzyści duchowej, jaką mógłbym znaleźć w jego przyjaźni; toteż uważała za niedorzeczne i niezbyt uprzejme, że jeszcze nie złożył mu wizyty. Ale ja myślałem tylko o małej gromadce: niepewny godziny, gdy dziewczęta będą przechodziły promenadą, nie śmiałem się oddalić. Babka dziwiła się także mojej elegancji, bo nagle przypomniałem sobie o garderobie, która dotąd spoczywała w kufrze. Kładłem co dzień inne ubranie i nawet napisałem do Paryża, aby mi przysłano nowe kapelusze i krawaty.

Życie w kąpielisku takim jak Balbec wiele zyskuje na uroku, jeżeli twarz młodej dziewczyny, sprzedającej muszle, ciastka lub kwiaty, odmalowana żywymi kolorami w naszej myśli, staje się nam co rano celem owych próżniaczych i promiennych dni, jakie spędzamy na plaży. Dni te, mimo iż bezczynne, są wówczas przez to właśnie żwawe jak dni pracy, zaostrome, namagnesowane, sprężone lekko ku najbliższej chwili, w której kupując babki śmietankowe, róże, amonity, będziemy się rozkoszowali kolorami rozpostartymi na kobiecej twarzy tak czysto jak na kwiecie. Ale z tymi sprzedawczyniami można bodaj rozmawiać, co nam oszczędza dorabiania — jak w obliczu portretu — wyobrażnią innych rysów poza tymi, jakie nam nastręcza proste wrażenie wzrokowe, odtwarzania ich życia, przeceniania sobie jego uroku; a zwłaszcza, właśnie dlatego że się z nimi rozmawia, można się dowiedzieć, gdzie i o jakiej godzinie można je spotkać. Nic podobnego z gromadką moich dziewcząt! Zwyczajnie były mi obce; kiedy więc w pewne dni nie widziałem ich, wówczas, nie znając przyczyn tej nieobecności, dochodziłem, czy ona jest czymś stałym, czy te dziewczęta zjawiają się tylko co drugi dzień lub w taką a taką pogodę, czy też są dni, gdy się nie zjawiają wcale. Wyobrażałem sobie zawczasu, że jestem z nimi w przyjaźni i że pytam: „Czemu was nie było wtedy a wtedy?” — „A, bo to była sobota, a w sobotę nie przychodzimy nigdy, bo...”. Gdybyż to można było tak po prostu wiedzieć, że w smutną sobotę daremnie się upierać, że można przebiegać plażę we wszystkich kierunkach, wysiadywać przed cukiernią, udawać, że się je ciastko z kremem, wstępować do handlarza osobliwości, czekać godziny kąpeli, koncertu, przyływu morza, zachodu słońca, nocy, nie ujrawszy upragnionej gromadki. Ale ów nieszczęsny dzień powtarzał się może nie jeden raz w tygodniu. Przypadał może nie koniecznie w sobotę. Może wpływały nań pewne warunki atmosferyczne, może były mu zupełnie obce. Ileż ciepłych, ale nie pogodnych — obserwacji trzeba zebrać co do nieregularnych na pozór ruchów owych nieznanych światów, nim się człowiek zdoła upewnić, że się nie dał omamić przypadkowemu zbiegowi okoliczności, że nasze przewidywania nie będą zawiedzione; nim potrafimy wyodrębnić pewne prawidła tej serdecznej astronomii, nabyte ceną okrutnego doświadczenia. Przypominając sobie, że kiedyś tego dnia w tygodniu nie było ich, powiedziałem sobie, że nie przyjdą, że daremnie jest sterczeć na plaży. I właśnie spotykałem je! W zamian za to pewnego dnia, który — o ile można było wnosić, iż stałe prawa okre-

ślają powrót tych konstelacji — powinien być pomyślny, one nie przychodziły. Ale do owej pierwszej niepewności, czy je ujrzę danego dnia, przybywała inna, poważniejsza, czy je ujrzę w ogóle kiedy; ostatecznie nie wiedziałem, czy mają jechać do Ameryki, czy wracać do Paryża. To wystarczyło, abym je zaczął kochać. Jakaś osoba może się nam podobać. Ale aby rozpuścić ten smutek, to poczucie czegoś nieodwołalnego, ten ucisk serca zwiastujący miłość, trzeba ryzyka niemożliwości. I może raczej to ryzyko niż osoba jest przedmiotem, który miłość stara się trwożliwie ogarnąć. Tak działały już te wpływy, które się powtarzają w ciągu kolejnych miłości, lub bodaj odnawiały się w ciągu moich miłości. Mogą się zdarzyć (wówczas raczej w warunkach wielkiego miasta) dla jakiejś gryzетки, o której nie wiemy, kiedy ma wolny dzień i niepokoimy się, nie ujrawszy jej w bramie magazynu. Może te wzruszenia są nieoddzielne od miłości; może wszystko, co było cechą pierwszego uczucia, towarzyszy następnym siłą wspomnienia, sugestii, nawyku i poprzez kolejne fazy naszego życia daje jego rozmaitym postaciom ogólny charakter.

Chwytałem się wszystkich pozorów, aby chodzić na plażę w godzinach, gdy mam się spodziewać spotkać gromadkę dziewcząt. Spostrzegłszy je raz podczas naszego śniadania, spóźniałem się teraz na śniadanie, czekając bez końca na plaży, czy one się nie zjawią; badając oczami lazur szyb przez ten krótki czas, który pozostawałem w jadalni; wstając na długo przed deserem, aby ich nie chybić, w razie gdyby się przechadzały o innej godzinie, i wściekając się na babkę, bezwiednie złośliwą, kiedy mi kazała zostać z sobą w porze, która mi się zdawała pomyślna. Staralem się przedłużyć horyzont, ustawiając krzesło w poprzek; jeżeli przypadkowo spostrzegłem którąkolwiek z tych dziewcząt — tak jakby one wszystkie miały jakąś wspólną istotność — miałem uczucie takie, jakbym w migotliwej i diabolicznej halucynacji widział na wprost siebie projekcję marzenia, wrogiego, a mimo to namiętnie upragnionego, które przed chwilą jeszcze istniało tylko w moim mózgu, żyjąc w nim zresztą nieustannie.

Nie kochałem żadnej z dziewcząt, kochając wszystkie; mimo to możliwość ich spotkania była w moim życiu jedynym rozkosznym czynnikiem; rodziła we mnie owe nadzieje, w których kruszyłyby się wszystkie przeszkody, nadzieje często wyradzające się we wściekłość, o ilem nie ujrzał tych dziewcząt. W tej chwili przesłaniały mi babkę; wszelka podróż byłaby mi szczęściem, gdyby mnie wiodła do miejsca, gdzie by się one znajdowały. Ich czepiała się rozkosznie moja myśl, kiedy myślałem, że myślę o czym innym lub o niczym. Ale kiedy, nawet nie wiedząc o tym, myślałem o nich, widziałem w nich — jeszcze mniej świadomie — pagórkowate i błękitne falowanie morza, profil pochodu nad morzem. Owo morze spodziewałem się odnaleźć, gdybym pospieszył do jakiegoś miasta, gdzie by one były. Najbardziej wyłączna miłość jakiejś osoby jest zawsze miłością czegoś innego.

Ponieważ teraz interesowałem się mocno golfem i tenisem i marnowałem sposobność patrzenia na pracę Elstira oraz rozmowy z artystą, babka, która zaliczała Elstira do największych, okazywała mi wzgardę, wynikłą, wedle mojego poczucia, z horyzontów nieco ciasnych. Doświadczylem tego niegdyś na Polach Elizejskich i lepiej zrozumiałem to później, że kochając się w kobiecie, nasycamy ją jedynie stanem własnej duszy; tym samym ważna jest nie wartość kobiety, ale głębina tego stanu; a wzruszenia, jakie nam daje przeciętna gąska, mogą wznieść do naszej świadomości cząstki nas samych sekretniejsze, bardziej własne, odleglejsze, bardziej zasadnicze, niżby to uczyniła przyjemność rozmowy z człowiekiem niezwykłym lub nawet pełna podziwu kontemplacja jego dzieł.

Musiałem w końcu usłuchać babki, z tym większą przykrością, że Elstir mieszkał dość daleko od plaży, w jednej z najnowszych dzielnic Balbec. Upał kazał mi wsiąść do tramwaju, który przejeżdżał ulicą de la Plage. Aby sobie wyobrazić, że jestem w starożytnym królestwie Cymerejczyków, w ojczyźnie może króla Marka lub na dawnym miejscu lasu Broceliandy, starałem się nie patrzeć na tandetny przepych domów rozciągających się przede mną, między którymi willa Elstira była może najwspanialej brzydka. Wynajął ją mimo to, bo ze wszystkich, jakie były w Balbec, w niej jednej znalazł obszerną pracownię.

Wciąż nie patrząc, przebyłem ogród, gdzie był w miniaturze trawnik taki, jak u byle burżuazja w okolicy Paryża — na nim statuetka dwornego ogrodniczka, szklane kule, w których można się było przejrzeć, rabaty begonii oraz altanka, gdzie stały ogrodowe fotele koło żelaznego stołu. Ale po wszystkich tych akcesoriach nacechowanych miejską brzydotą, nie zwracałem już uwagi na czekoladowe sztukaterie, kiedy się znalazł

w pracowni; czułem się doskonale szczęśliwy, świadom, iż wszystkie szkice znajdujące się dokoła mnie będą mnie mogły wnieść do poetyckiego i radosnego poznania rozmaitych form, których dotąd nie wyodrębniłem z obrazu wszechrzeczy. I pracownia Elstira wydała mi się niby laboratorium jakiegoś nowego stworzenia świata, gdzie z chaosu, jakim są wszystkie rzeczy, które widzimy, artysta wydobył, malując je na rozmaitych płótnach, rozstawionych we wszystkich kierunkach, tu falę morską miazdzącą z gniewem o piasek swoją fioletową pianę, ówdzie młodego człowieka w białym flanelowym ubraniu, oparteo o pomost. Kurtka młodego człowieka i pienista fala nabrały nowej godności przez fakt że istniały nadal, mimo że pozbawione tego, co uchodziło za ich rację bytu, ile że fala nie mogła już zmoczyć, ani kurtka odziać nikogo.

W chwili gdy wszedł, twórca dawał właśnie pędzlem ostatnie dotknięcia słońcu w momencie zachodu.

Story były zapuszczone prawie ze wszystkich stron, pracownia była dość chłodna i — z wyjątkiem jednego miejsca, gdzie jasny dzień opierał o ścianę swoją lśniącą i lotną dekorację — ciemna; otwarte było jedynie małe, prostokątne, okolone kapryfolium okno, z którego poprzez rabaty kwiatów widać było aleję; tak iż atmosfera pracowni była przeważnie mroczna, przezroczysta i zwarta, ale wilgotna i błyszcząca w miejscach, gdzie wylańało ją światło, niby blok skalnego kryształu, którego jedna powierzchnia, już obrobiona i ogladzona, błyszczy tu i ówdzie jak lustro i mieni się tęczowo. Gdy Elstir na moją prośbę dalej malował, ja krążyłem w tym światłocieniu, zatrzymując się to przed jednym, to przed innym obrazem.

Płótna, które mnie otaczały, przeważnie nie należały do tych dzieł Elstira, które najbardziej byłbym pragnął widzieć, obrazów z jego pierwszej i drugiej manieri, jak mówił angielski miesięcznik artystyczny, wałęsający się na stole w salonie w Grand Hotelu; manieri mitologicznej oraz tej, w której artysta uległ wpływowi Japonii, obu cudownie reprezentowanych — jak powiadano — w zbiorach pani de Guermentes. Oczywiście to, co znajdowało się w jego pracowni, to były prawie wyłącznie pejzaże morskie, malowane tu, w Balbec. Ale mogłem poznać, że urok każdego z nich polegał na przetworzeniu rzeczywistości podobnym temu, co w poezji nazywa się metaforą, i że, o ile Bóg Ojciec stworzył rzeczy, nazywając je, Elstir stwarzał je na nowo, odejmując im nazwę lub dając inną. Nazwy oznaczające rzeczy odpowiadają zawsze jakiemuś pojęciu intelektualnemu, które jest obce naszym prawdziwym wrażeniom i każe nam eliminować z nich wszystko, co się nie łączy z owym pojęciem.

Czasami w moim oknie w hotelu w Balbec — rano, kiedy Franciszka rozsuwała opony skrywające światło, wieczorem, gdy czekał chwili wyjazdu z Robertem — zdarzało mi się, dzięki grze światła, wziąć ciemniejszą partię morza za odległy brzeg lub z radością patrzeć na błękitną i płynną strefę, nie wiedząc, czy jest morzem czy niebem. Rychło intelekt mój przywracał między elementami granicę, zmienioną moim wrażeniem. W ten sposób zdarzało mi się w Paryżu, w swoim pokoju, słyszeć kłótnie, prawie rozruchy, aż zdołałem sprowadzić ów hałas do jego przyczyny — na przykład do powozu, którego turkot się zbliżał. Wykluczałem wówczas ostre i kłótniwe dźwięki, które moje ucho naprawdę słyszało, ale o których moja inteligencja wiedziała, że koła ich nie wydają. Ale dzieło Elstira było stworzone z owych rzadkich chwil, w których widzi się naturę poetycko — taką, jak jest. Jedną z jego najczęstszych metafor w widokach morza, znajdujących się w tej chwili w jego pracowni, była właśnie ta, która, porównując ziemię z morzem, usuwała między nimi wszelki przedział. To właśnie porównanie, milcząco i niestrudzenie powtarzane na tym samym płótnie, dawało mu ową wielopostaciową i potężną jedność, przyczynę — nie zawsze zresztą uświadomioną — entuzjazmu, jaki w pewnych miłośnikach budziło malarstwo Elstira.

W obrazie na przykład przedstawiającym port Carquethuit (obrazie, który skończył przed kilku dniami i któremu się długo przyglądałem), Elstir przygotował do tego rodzaju metafory umysł widza, posługując się dla miasteczka jedynie terminami morskimi, dla morza miejskimi. Czy że domy zasłaniały część portu, basen dla uszczelniania statków, czy morze wciskało się zatoką w ziemię (jak się to zdarza nieustannie w okolicach Balbec) poza wysuniętym cyplem, na którym wznosiło się miasto, ponad dachy wyrastały maszty (tak jakby to były kominy lub dzwonnice) czyniące z okrętów, do których należały, coś miejskiego, zbudowanego na łądzie. Wrażenie to pomnażały inne statki, stojące wzdłuż

grobli, ale w szeregach tak ciasnych, że ludzie rozmawiali tam z pokładu na pokład, tak iż nie można było dojrzec odstępu między statkami ani znajdującej się między nimi wody. W ten sposób ta flotylla rybacka mniej w naszych oczach należała do morza niż na przykład kościoły w Criquebec, które w oddali, otoczone ze wszystkich stron wodą, bo widziane bez miasta, w rozpyleniu słońca i fal, zdawały się wychodzić z wód, wydmuchane z alabastru lub piany i, ujęte pasem pstrej tęczy, tworzyły nierealny i mistyczny obraz. Na pierwszym planie plaży malarz umiał przyzwyczaić nasze oczy do tego, aby nie rozróżniały stałej granicy, bezwzględnego przedziału między ziemią a oceanem. Ludzie spychający statki na morze biegli zarówno w wodzie jak po mokrym piasku, odbijającym już kadłuby statków tak jakby był wodą. Samo morze nie wznosiło się regularnie, ale naginało się do kaprysów wybrzeża, które perspektywa wycinała jeszcze bogaciej, tak iż okręt na pełnym morzu, wpół ukryty przez niedokończoną budowę arsenału, zdawał się żeglować wśród miasta; kobiety łowiące krewetki w skałach robiły wrażenie — ponieważ były otoczone wodą i przez spadek, jaki od okrężnej bariery skał obniżał plażę (z dwóch stron najbliższych ziemi) do poziomu morza — że się znajdują w grocie morskiej sklepionej łodziami i falami, otwartej i chronionej pośród wód rozstępujących się cudem.

Jeżeli cały obraz dawał wrażenie owych portów, gdzie morze wchodzi w ziemię, gdzie ziemia jest już morska, a ludność ziemnowodna, siła morskiego żywiołu buchała wszędzie; koło skał, u wejścia na molo, gdzie morze było wzburzone, z wysiłków majtków i z nachylenia łodzi, kładących się pod ostrym kątem na wprost spokojnej prostopadłości pomostu, kościoła i domów w mieście, dokąd jedni wracali, skąd drudzy jechali na połów, czuło się, że ci majtkowie kłusują ostro po wodzie niby na gorącym i chybkim zwierzęciu, którego skoki zrzuciłyby ich na ziemię, gdyby nie ich zręczność. Gromada letników wyjeżdżała wesoło w barce wstrząsanej niby kariolka; wesoły, ale uważny majtek prowadził ją jakby lejcami, dzierzył chybki żagiel, każdy trzymał się dobrze swego miejsca, aby nie zanadto ciążył z jednej strony i nie wywrócić, i tak biegło się przez rozslonecznione pola w cieniste miejsca, zjeżdżając po pochyłościach. Był to piękny poranek, mimo niedawnej burzy. I nawet czuło się jeszcze potężne kołysanie, neutralizowane piękną równowagą nieruchomych łodzi, cieszących się słońcem i chłodem, w partiach, gdzie morze było tak spokojne, że odbicia miały niemal więcej konsystencji i realności niż rozpylone działaniem słońca kadłuby statków, które perspektywa wypychała na siebie wzajem. Lub raczej nie powiedziałoby się: inne partie morza. Bo między tymi partiami było tyleż różnicy co między jedną z nich a kościołem wylaniającym się z wody i statkami za miastem. Intelkt tworzył potem wspólny żywioł z tego, co było tu czarne od resztek burzy, dalej zupełnie jednakie z niebem i równie lśniące jak ono, ówdzie tak białe od słońca, od mgły i piany, tak zbite, tak ziemne, tak otoczone domami, że przywodziło na myśl jakąś kamienistą drogę lub śniegowe pole gdzie widziało się z przerażeniem okręt wznoszący się stromo lądem, niby powóz, który pluska się, wyjeżdżając z brodu. Ale po chwili, widząc na wysokiej i nierównej powierzchni chwiejące się statki, uświadamiałem sobie, że to jest — toż samo we wszystkich tych różnych postaciach wciąż jeszcze morze.

Mimo iż powiada się słusznie, że w sztuce nie ma postępu ani odkryć (istniejących w nauce) i że każdy artysta rozpoczyna rzecz na własny rachunek, przy czym indywidualnemu wysiłkowi nie mogą pomóc ani przeszkodzić niczyje inne wysiłki, trzeba uznać, iż w miarę jak sztuka wydobywa na jaw pewne prawa, z chwilą gdy przemysł je spospolitował, dawniejsza sztuka traci wstecz nieco swojej oryginalności. Od początków kariery Elstira, poznano, jak się to mówi, „cudowne” fotografie krajobrazów i miast. Jeżeli spróbujemy sprecyzować to, co amatorzy określają w danym wypadku tym epitetem, ujrzymy, że odnosi się on zazwyczaj do jakiegoś szczególnego aspektu rzeczy znanej, różnego od tych, pod jakimi nawykliśmy tę rzecz oglądać; szczególnego, a jednak prawdziwego, i który z tej przyczyny jest podwójnie przejmujący, ponieważ nas zadziwia, wyważa z naszych przyzwyczajzeń, a zarazem każe nam wejść w siebie, przypominając jakies wrażenie. Na przykład jedna z owych „wspaniałych” fotografii objaśni nam prawo perspektywy, ukaże nam jakąś katedrę, którą nawykliśmy oglądać pośród miasta, zdjętą, przeciwnie, ze specjalnego punktu, skąd się wyda trzydzieści razy wyższa od domów, tworząc ostrogę nad rzeką, od której jest w rzeczywistości odległa. Otóż wysiłek Elstira, aby nie pokazywać rzeczy takimi, jak wiedział, że są, ale wedle owych optycznych złudzeń, tworzących naszą pierwotną wizję, doprowadził go właśnie do tego, aby uwydatnić pewne prawa

perspektywy, bardziej uderzające wówczas, bo sztuka odsłoniła je pierwsza. Rzeka przez swoje zakręty, zatoka przez pozorne zbliżenie się raf, robiły wrażenie, jakby żłobiły pośród równiny lub pośród gór jezioro absolutnie zamknięte ze wszystkich stron. W obrazie malowanym w Balbec w skwarny dzień letni, zaulek morza, zamknięty w granitowych różowych murach, zdawał się nie być morzem, zaczynającym się aż dalej. Ciągłość oceanu przypominały jedynie mewy, które wirując nad tym, co się widzowi zdawało kamieniem, wdychały, przeciwnie, wilgoć fali.

Inne prawa wylaniały się z tego samego płótna, jak lilipuci wdzięk białych żagli u stóp olbrzymich skał na błękitnym zwierciadle morza, gdzie były niby uśpione motyle; i pewne kontrasty między głębokością cieni a bladością światła. Te gry cieni, które fotografia również zbanalizowała, zainteresowały Elstira do tego stopnia, że dawniej lubował się w oddawaniu prawdziwych mirażów, gdzie zamek uwieńczony wieżą jawił się niby kolistą budowlą, wydłużająca się w wieżę na szczycie, a w dół w wieżę na wywrót, czy że niezwykła czystość pogody dawała odbijającemu się w wodzie cieniowi twardość i blask kamienia, czy że ranne mgły czyniły kamień równie mglistym jak cień. Tak samo poza morzem, za rzędem drzew, zaczynało się inne morze, zaróżowione zachodem słońca — i to było niebo. Wymyślając jak gdyby nowe ciała stałe, światło, uderzając kadłub statku, popychało go poza drugi w cieniu i układało niby stopnie kryształowych schodów powierzchnię w rzeczywistości płaską, a łamaną oświetleniem porannego morza. Rzeka przepływająca pod mostkami ujęta była z takiego punktu, że wydawała się całkiem zniekształcona; tu rozlana w jezioro, ówdzie zwężona do niteczki, gdzie indziej przerwana zaporą pagórka uwieńczonego lasem, gdzie mieszcuch idzie o zmierzchu odetchnąć wieczornym chłodem. I sam rytm tego zburzonego miasta utrwałała jedynie niezłomna prostopadłość wież, które nie biegły w górę, ale raczej — wedle ołowianki znaczącej kadencję niby w tryumfalnym marszu — zdawały się trzymać pod sobą w zawieszeniu mętniejszą masę domów spiętrzonych we mgle, wzdłuż zmiażdżonej i rozprutej rzeki. A ponieważ pierwsze prace Elstira datowały z epoki „ożywiania” krajobrazów obecnością jakiejś figury, przeto na skale lub w górach droga — owa na wpół ludzka część natury — ulegała jak rzeka lub ocean zaćmieniom perspektywy. I kiedy grzebień gór, mgła wodospadu lub morze nie pozwalały śledzić ciągłości dróżki, widocznej dla spacerującego, ale nie dla nas, mała ludzka osoba w niemodnym ubraniu, zgubiona w tej samotni, zdawała się często przystawać nad przepaścią, bo jej ścieżka tam się kończyła, podczas gdy o trzysta metrów wyżej, w tych świerkowych lasach, z roztkliwionym okiem i z uspokojonym sercem spostrzegaliśmy wąską biel jej piasku przyjaznego krokom wędrowca, gdy pośrednie zakręty skrył nam stok góry, okalając wodospad lub zatokę.

Wysiłek Elstira, aby się w obliczu rzeczywistości wyzucić ze wszystkich pojęć intelektu, był tym godniejszy podziwu przez to, że ów człowiek, który, biorąc pędzel w rękę, zdobywał się na niewiedzę, zapominał wszystkiego przez uczciwość — bo to co się wie, nie jest własne — posiadał właśnie wyjątkowo bogatą inteligencję. Kiedym mu wyznał zawód, jaki mi sprawił kościół w Balbec:

— Jak to — rzekł — zawiódł się pan na tej kruchcie! Ależ to najpiękniejsza Biblia w obrazach, jaką kiedy ludowi dane było czytać. Ta Święta Dziewica i wszystkie płaskorzeźby opowiadające jej życie to najtkliwszy, najbardziej natchniony wyraz owego długiego poematu adoracji i hołdu, jaki wieki średnie rozwinęły na chwałę Marii. I obok najdrobiazgowszej wierności w wykładzie świętych tekstów, gdyby pan wiedział, na jakie cudy delikatności zdobył się ten stary rzeźbiarz, ile głębokich myśli, co za rozkoszna poezja! Pomysł tej wielkiej zasłony, w której aniołowie niosą ciało Dziewicy, zbyt święte, aby się go ośmielili dotknąć wprost... (Powiedziałem Elstirowi, że ten sam temat powtarza się w Saint-André-des-Champs; Elstir widział fotografie kruchty tego kościoła, ale zwrócił mi uwagę, że zapał kmiotków, którzy biegają wszyscy naraz dokoła Marii, jest czymś innym niż powaga dwóch wielkich aniołów prawie włoskich, tak wysmukłych, tak słodkich); anioł, który unosi duszę Marii, aby ją zjednoczyć z jej ciałem; gest Elżbiety w spotkaniu z Marią, gdy dotyka łona Dziewicy, podziwiając jego brzemię; i napięte ramię położnej, wzbraniającej się nie dotknąwszy uwierzyć w Niepokalane Poczęcie, i przepaska rzucona przez Dziewicę świętemu Tomaszowi jako dowód zmartwychwstania; i ta zasłona, zerwana przez Marię z łona, aby nią okryć nagość syna, po którego jednej stronie

Kościół zbiera krew, likwor Eucharystii, gdy z drugiej Synagoga, której królestwo jest skończone, ma zawiązane oczy, trzyma wpół strzaskane berło i wraz z koroną spadającą jej z głowy, upuszcza tablice dawnego Prawa; i mąż który, pomagając w godzinie Sądu Ostatecznego młodej małżonce wyjść z grobu, przykłada jej rękę do własnego serca, aby ją uspokoić i dowieść, że to serce naprawdę bije, czy to nie jest bycze jako pomysł, czy to nie fajnie wymyślone? A anioł, który zabiera słońce i księżyc, już niepotrzebne, skoro powiedziane jest, iż światło krzyża będzie siedem razy mocniejsze od światła gwiazd; i drugi anioł zanurzający rękę w kąpieli Jezusa, aby sprawdzić, czy jest dość ciepła; i ten, co wychodzi z chmur, aby włożyć koronę na czoło Dziewicy; a wszystkie te, które, wychylając się z nieba, poprzez balustradę niebiańskiej Jeruzalem podnoszą ręce z przestrachu lub radości na widok mąk potępionych i szczęścia wybranych! Bo to są wszystkie kręgi nieba, masz pan tam cały gigantyczny poemat teologiczny i symboliczny. To szalone, to boskie, to tysiąc razy wyższe od wszystkiego, co pan zobaczysz we Włoszech, gdzie zresztą ten tympan dosłownie skopiowali o wiele mniejsi rzeźbiarze. Nie było epoki, gdzie by wszyscy byli genialni; wszystko to są błagi, to by była większa heca niż złoty wiek. Facet, który wyrzeźbił tę fasadę, wierz mi pan, był równie tęgi, miał idee równie głębokie jak ci, których pan najbardziej podziwia wśród dzisiejszych artystów. Pokazałbym to panu, gdybyśmy tam poszli razem. Są tam pewne słowa z nabożeństwa na dzień Wniebowstąpienia, przetłumaczone z subtelnością, jakiej żaden Redon nie dorównał.

Kiedy mi Elstir opisywał tę rozległą niebiańską wizję, pojmowałem, że tam jest ów „gigantyczny poemat teologiczny”, ale wówczas gdy moje spragnione oczy otwarły się przed tą fasadą, nie to w niej ujrzałem. Zacząłem Elstirowi mówić o owych wielkich posągach świętych, które, stojąc jak na szczudłach, tworzą rodzaj alei.

— Ta aleja wychodzi z głębi wieków, aby dojść do Chrystusa — rzekł. — To są z jednej strony jego przodkowie wedle ducha, z drugiej królowie Judei, jego przodkowie wedle ciała. Są tam wszystkie wieki. I gdybyś pan lepiej przyjrzał się temu, co pan nazywa szczudłami, mógłbyś wymienić tych, co na nich stoją. Bo pod nogami Mojżesza poznałby pan złotego cielca, pod nogami Abrahama tryka, pod nogami Józefa biesa, doradcę żony Putyfara.

Powiedziałem również Elstirowi, że się spodziewałem znaleźć budowlę *prawie perską* i że to było z pewnością jedną z przyczyn mego zawodu.

— Ale nie — odparł — jest w tym dużo prawdy. Niektóre partie są zupełnie wschodnie; jeden kapitel tak wiernie odtwarza temat perski, że trwałość wschodnich tradycji nie wystarcza, aby to wytłumaczyć. Rzeźbiarz musiał skopiować jakąś skrzynkę przywiezioną przez żeglarzy.

I w istocie, Elstir miał mi później pokazać fotografię kapitelu, gdzie ujrzałem pożerające się smoki, jak gdyby chińskie; ale w Balbec nie zauważyłem tego fragmentu w całości budowli, niepodobnej do tego, co mi przyrzekły słowa: „kościół prawie perski”.

Rozkosze intelektualne, jakich kosztowałem w pracowni Elstira, nie przeszkadzały mi czuć ciepłego werniksu, lśniącego półmroku pokoju i poprzez obrośnięte kapryfolium okienko, na zupełnie wiejskiej ścieżce, twardej suchości ziemi spalonej od słońca, które przesłaniała jedynie przejrzystość oddalenia i cienia drzew. Ale to wszystko otaczało nas jakby bez naszej wiedzy. Nieświadoma błogość, jaką mi sprawiał ten letni dzień, zwiększyła może swoim dopływem radość wywołaną *Portem w Carquethuit*.

Myślałem, że Elstir jest skromny, ale zrozumiałem, że się omylił, widząc, jak jego twarz obleka się smutkiem, kiedy dziękując mu, rzuciłem wyraz: „sława”. Ci, którzy uważają — jak Elstir — swoje dzieła za trwałe, przyzwyczajają się mieścić je w epoce, gdy oni sami będą tylko prochem. W ten sposób pojęcie sławy, zmuszając ich do zastanowienia się nad nicością, zasmuca ich, bo jest nieodłączne od pojęcia śmierci. Odmieniłem rozmowę, aby rozproszyć tę chmurę dumnej melancholii, jaką mimo woli zasnułem jego czoło.

— Radzono mi — rzekłem, myśląc o swojej dawnej rozmowie z panem Legrandin w przedmiocie, o którym rad bym usłyszeć zdanie Elstira — aby nie jechać do Bretanii, bo to jest niezdrowe dla natury już skłonnej do marzenia.

— Ależ nie — odparł — kiedy umysł jest skłonny do marzeń, nie trzeba go od nich odsuwać, ani mu ich dawkować. Jak długo będzie pan odwracał umysł od jego marzeń, tak długo ich nie pozna; będzie pan igraszką tysiąca złud, bo nie zrozumie pan ich przyrody.

Jeżeli trochę marzenia jest niebezpieczne, lekarstwem na to jest nie mniej marzenia, ale więcej marzenia, całe marzenie. Ważne jest dokładnie poznać swoje marzenia, aby już przez nie nie cierpieć; dokonywanie pewnego rozdziału między marzeniem a życiem jest nam tak często zbawienne, że myślę, czy nie powinno by się na wszelki wypadek uprawiać go zapobiegawczo, jak pewni chirurdzy twierdzą, że aby uniknąć możliwości przyszłego zapalenia wyrostka robaczkowego, trzeba by usuwać wyrostek u wszystkich dzieci.

Przeszliśmy z Elstirem w głąb pracowni, ku oknu, przez które za ogrodem widać było wąską poprzeczną drogę, prawie ścieżkę. Podeszliśmy tam, aby odetchnąć chłodniejszym powietrzem zbliżającego się wieczoru. Sądziłem, że jestem bardzo daleko od swojej gromadki dziewcząt: poświęcając na jeden raz nadzieję ich ujrzenia, usłuchałem w końcu prośby babki i wybrałem się do Elstira. Bo człowiek nie wie, gdzie się znajduje to, czego szuka, i często unika długo miejsca, dokąd, dla innych przyczyn, wszyscy nas zapraszają. Nie podejrzewamy, że tam ujrzelibyśmy właśnie istotę, o której myślimy. Patrzałem machinalnie na ścieżkę, która biegła tuż za pracownią, ale nie należała do Elstira. Naraz zjawiła się tam, idąc szybkim krokiem, owa młoda cyklistka w swoim „polo” na czarnych włosach, spuszczone na pulchne policzki, z wesołymi i nieco natarczywymi oczami; i na tej błogosławionej ścieżce, nagle cudownej od słodkich obietnic, ujrzałem ją pod drzewami, zwracającą do Elstira przyjacielski uśmiech, tęczę łączącą dla mnie nasz ziemnowodny świat z regionami, które dotąd uważałem za niedostępne. Podeszła nawet, nie zatrzymując się, aby podać malarzowi rękę, przy czym ujrzałem, że ma pieprzyk na brodzie.

— Pan zna tę panienkę? — rzekłem do Elstira, rozumiejąc, że mógłby mnie jej przedstawić, zaprosić ją do siebie. I ta spokojna pracownia ze swoim sielskim widnokretem wypełniła się rozkosznym naddatkiem, jak zdarza się w jakimś domu, gdzie dziecko już się czuło dobrze i gdzie się dowiaduje, że dzięki hojności, jaką mają piękne rzeczy i szlachetni ludzie w nieograniczonym mnożeniu swoich darów, czeka je co więcej wspaniały podwieczorek.

Elstir powiedział mi, że panienka nazywa się Albertyna Simonet. Nazwał mi także inne jej przyjaciółki, które mu opisałem na tyle dokładnie, że musiał je poznać. Popęniłem co do ich pozycji socjalnej błąd, ale nie w tym sensie jak zwykle w Balbec. Młodych sklepikarzy jeżdżących konno brałem tam łatwo za książąt. Tym razem przeniosłem w dwuznaczny światek panny z bogatego mieszczaństwa, z przemysłu i handlu. Był to świat, który w pierwszej chwili interesował mnie najmniej, nie mając dla mnie tajemniczości ani ludu, ani towarzystwa takiego jak Guermantów. I bez wątpienia, gdyby błyszcząca pustka życia kąpielowego nie dała im wprzód w moich olśnionych oczach uroku, którego już nie mogły stracić, nie zdołałbym może walczyć zwycięsko ze świadomością, że to są córki wielkich kupców. Mogłem tylko podziwiać, jak dalece francuskie mieszczaństwo jest cudowną pracownią najszlachetniejszej i najbardziej urozmaiconej rzeźby. Ile nieprzewidywanych typów, co za inwencja w charakterze twarzy, co za decyzja, świeżość, jasność rysów! Stare Harpagony, z których poczęły się te Diany i nimfy, zdawali mi się największymi rzeźbiarzami. Owe korektury błędu, zmiany pojęć o danej osobie odbywają się z szybkością reakcji chemicznej; tak iż zanim miałem czas zorientować się w przeobrażeniu socjalnym tych dziewcząt, już poza łobuzerskim typem pańienek, które brałem za kochanki szampionów roweru lub boksu, zakwitła myśl, że mogłyby być łatwo spowinowacone z rodziną jakiegoś znajomego rejenta. Nie bardzo wiedział, kim jest Albertyna Simonet. Ona z pewnością nie wiedziała, czym ma być kiedyś dla mnie. Nawet to nazwisko *Simonet*, które już słyszałem na plaży, gdyby mi ktoś kazał napisać, napisałbym je przez dwa „n”, nie domyślając się wagi, jaką ta rodzina przykładła do faktu posiadania tylko jednego „n”. W miarę jak zstępujemy w dół po drabinie socjalnej, snobizm czepia się błahostek, które nie są może błahsze niż cechy arystokracji, ale które, jako bardziej pokątne, prywatne, więcej nas zaskakują. Może byli jacyś Simonnet, którym się powinęła noga w interesach lub gorzej jeszcze. Faktem jest, że Simonetowie czuli się zawsze wzburzeni niby oszczerstwem, kiedy się zdwajało ich „n”. Robili wrażenie, że w to, iż są jedynymi Simonet przez jedno „n” zamiast dwóch, wkładają tyle dumy, ile jacyś Montmorency w swoje najstarsze baroństwo Francji.

Spytałem Elstira, czy te pańienki mieszkają w Balbec; odpowiedział, że niektóre tak. Willa jednej znajdowała się właśnie na samym końcu plaży, tam gdzie się zaczynają skały

Canapville. Ponieważ ta panienka była serdeczną przyjaciółką Albertyny Simonet, tym bardziej mogłem przypuszczać, że to pannę Simonet spotkałem wówczas, idąc z babką. Zapewne jest tyle tych uliczek prostopadłych do plaży, że nie mógłbym ściślej określić, która to była. Chciałoby się mieć dokładne wspomnienie, ale w samym momencie wizja była mętna. Bądź co bądź, to był konkretny pewnik, że Albertyna i owa panienka wchodząca do domu przyjaciółki były jedną i tą samą osobą. A jednak o ile niezliczone obrazy, jakich mi dostarczyła w przyszłości ciemnowłosa amatorka golfa, mimo iż tak różne od siebie, układają się na sobie (bo wiem, że wszystkie należą do niej) i o ile, idąc za nitką wspomnień, mogę, pod osłoną tej tożsamości i niby drogą wewnętrzną komunikacji, przejść wszystkie te obrazy, nie opuszczając tej samej osoby — przeciwnie, jeżeli chcę dojsć aż do młodej dziewczyny, którą minąłem, idąc z babką, trzeba mi wyjść na wolne powietrze. Jestem przekonany, że to Albertynę odnajduję, tożsamą z ową młodą dziewczyną, przystającą często w gronie przyjaciółek, odcinającą się w tej przechadzce na horyzoncie morza; ale wszystkie te obrazy pozostają na zewnątrz tamtego, bo nie mogę mu nadać wstecz identyczności, jakiej nie miał dla mnie w chwili, gdy uderzył moje oczy. Wbrew wszelkim danym rachunku prawdopodobieństwa, tej dziewczyny o pulchnych policzkach, która popatrzyła na mnie tak śmiało na wylocie ulicy i która, sądzę, mogła być mnie pokochać, tej, w ścisłym znaczeniu słowa „odnaleźć”, nigdy nie odnalazłem.

Wahanie moje pomiędzy różnymi dziewczętami z małej gromadki, które wszystkie zachowały nieco zbiorowego czaru, jaki mnie zrazu wzruszył, dołączyło się również do tych przyczyn, zostawiających mi później, nawet w czasie mojej największej — mojej drugiej — miłości do Albertyny, jak gdyby okresową i bardzo krótką swobodę niekochania jej. Miłość moja — przez to że błądziła między wszystkimi przyjaciółkami, nim się skupiła ostatecznie na niej — zachowała czasami między sobą a obrazem Albertyny przestrzeń, pozwalającą jej, niby źle wyregulowanemu oświetleniu, padać na inne dziewczęta, zanim się z powrotem skupi na tamtej; związek między bólem w moim sercu a wspomnieniem Albertyny nie wydawał mi się konieczny; dałoby się go może skojarzyć z obrazem innej osoby. To mi pozwalało, na jedno mgnienie, zgasić realność, nie tylko, jak w miłości do Gilberty, zewnętrzną realność (którą miałem za stan wewnętrzny, w którym czerpałem z samego siebie swoistą właściwość, specjalny charakter osoby kochanej, wszystko, co ją czyniło nieodzowną dla mego szczęścia), ale nawet realność wewnętrzną, czysto subiektywną.

— Nie ma dnia, aby która z nich nie przechodziła koło pracowni i nie wpadła do mnie na chwilę — rzekł Elstir, przywodząc mnie do rozpaczmyśli, że gdybym go odwiedził zaraz wtedy, kiedy mnie babka do tego namawiała, byłbym prawdopodobnie od dawna poznał Albertynę.

Oddaliła się; z pracowni już jej nie było widać. Pomyślałem, że poszła się spotkać z przyjaciółkami na promenadzie. Gdybym mógł się tam znaleźć z Elstirem, zapoznałbym się z nimi. Wymyślałem tysiąc pozorów, aby malarz zechciał się przejść ze mną po plaży. Nie miałem już tego spokoju co przed zjawieniem się młodej dziewczyny w ramie okienka, tak uroczego przedtem w swoich kapryfoliach, a teraz tak pustego. Elstir sprawił mi radość zmieszaną z cierpieniem, mówiąc, że przejdzie się kawalek ze mną, ale że musi wpięrk skończyć to, co właśnie maluje. Były to kwiaty, ale nie te, których portret wolałbym u niego zamówić niż portret jakiejś osoby, aby w objawieniu jego geniuszu poznać to, czego tak długo na próżno szukałem w nich samych: różowe głogi, bławatki, kwiaty jabłoni. Elstir, malując, rozprawiał coś o botanice, ale ja go zaledwie słuchałem; nie istniał dla mnie sam przez siebie, był już tylko nieodzownym pośrednikiem między tymi dziewczętami a mną; urok, jaki jeszcze parę chwil wprzód dawał mu jego talent, miał wartość tylko o tyle, że przydawał trochę uroku mnie samemu w oczach małej gromadki, której artysta mógł mnie przedstawić.

Kręciłem się po pracowni, czekając, aż skończy malować; brałem kolejno i oglądałem studia, przeważnie obrócone do ściany, stłoczone jedno na drugim. W ten sposób wydobyłem na światło akwarelę, która musiała sięgać o wiele dawniejszej epoki Elstira. Wprawiała mnie w owo szczególne zachwycenie, jakie wydzielają dzieła nie tylko rozkosznie wykonane, ale też o temacie tak osobliwym i powabnym, że przypisujemy mu znaczną część ich czaru, tak jakby ten czar, materialnie istniejący już w naturze, malarz potrzebował jedynie odkryć, zaobserwować i odtworzyć. Myśl, że mogą istnieć takie przedmioty,

piękne nawet poza interpretacją malarza, zadowalała w nas wrodzony i zwalczany przez rozum materializm, służąc za przeciwwagę abstrakcjom estetyki.

Akwarela ta, to był portret młodej kobiety, nieładnej, ale ciekawej w typie. Na głowie miała kapelusz dość podobny do melonika, okolony jedwabną, wiśniową wstążką; w jednej ręce — w mitenkach — miała zapalonego papierosa, gdy druga trzymała na wysokości kolana duży, ogrodowy kapelusz, prostą, słomianą zasłonę od słońca. Obok niej, na stole, wazonik pełen róż. Często — i tak było tutaj — osobliwość takich prac wynika zwłaszcza stąd, że artysta wykonał je w specjalnych warunkach, z których zrazu nie zdajemy sobie jasno sprawy, gdy na przykład niezwykła toaleta pozującej stanowi przebranie na bal kostiumowy lub gdy, przeciwnie, czerwony płaszcz starca, robiący wrażenie, że mu go narzucił kaprys malarza, jest profesorską togą lub purpurą kardynała. Dwuznaczny charakter istoty, której portret miałem przed sobą, polegał — czego nie rozumiałem — na tym, że to była młoda aktorka z dawnej epoki, na wpół przebrana. Ale ten melonik, spod którego stroszyły się jej krótkie włosy, aksamitna kurteczka bez klap, odsłaniająca biały plastron, kazały mi się wahać co do daty mody i co do płci modela, tak iż nie wiedziałem dokładnie, com miał przed oczami — o ile nie po prostu pyszną kompozycję malarską. I przyjemność, jaką mi sprawiała, mąciła się jedynie obawą, że Elstir, przeciągając malowanie, sprawi, iż nie spotkamy młodych dziewcząt, bo słońce w okienku było już bardzo nisko.

Nic w tej akwreli nie było po prostu skonstatowanym faktem, nic nie było wymalowane dla użyteczności sytuacyjnej: kostium, bo trzeba było, aby kobieta była ubrana, wazonik jako pomieszczenie dla kwiatów. Szkło wazonika, ukochane samo przez się, robiło wrażenie, że zawiera wodę, w której kąpały się lodygi goździków, w czymś równie przejrzystym, prawie tak płynnym jak ona; strój kobiety opracował ją w sposób mający urok niezależny, bratni i — gdyby wytwory przemysłu mogły rywalizować z cudami przyrody — równie delikatny, równie soczysty w dotknięciu oczami, równie świeżo malowany jak futro kota, płatki goździka, pióra gołębia. Białość plastronu koszuli o delikatności szronu, figlarnie plisowanej w zakładki podobne dzwonom konwalii, gwieździła się jasnymi refleksami pokoju, ostrymi i subtelnie cieniowanymi niby bukiety kwiatów w hafcie bielizny. Lśniący i perłowy aksamit kurteczki miał miejscami coś zmierzwionego, szochranego i kosmatego, przywodzącego na myśl nastrzępione goździków w wazonie. Ale zwłaszcza czuło się, że Elstir, nie dbając o to, co się mogło wydać niemoralne w przebraniu młodej aktorki, dla której talent i rola były z pewnością mniej ważne niż drażniący powab mający pobudzić zużyte i znieprawione zmysły pewnych widzów, przeciwnie, położył nacisk na ten dwuznaczny charakter niby na element estetyczny, wart, aby go uwydatnić. Artysta uczynił też wszystko, aby go podkreślić. Poprzez linie twarzy, pleć aktorki gotowa była wyznać, że należy do dziewczyny będącej po trochu „chłopczycą”; ginęła, później odnajdywała się, budząc raczej ideę młodego chłopca, zniewieściałego, zepsutego i rozmarzonego; potem uciekała znowu, wciąż nieuchwytna. Wyras smutnej zadumy w oczach, przez sam swój kontrast z akcesoriami trącącymi światem hulanki i kulis, był w tym wszystkim nie najmniej niepokojący. Miało się zresztą wrażenie, że musi być sztuczny i że młoda istota, zdająca się kusić do pieszczot swoim wyzywającym kostiumem, szukała zapewne pieprzyka w tym, aby mu przydać romantyczny wyraz tajonego uczucia, niewyznanej zgrzyoty. U dołu portretu widniał napis: *Miss Sacripant*, październik 1872.

Nie mogłem wstrzymać swego podziwu.

— Och, to nic, to knot z czasu młodości, to kostium dla rewii w „Varietes”. Wszystko to jest bardzo dalekie.

— A co się stało z modelem?

Zdziwienie wywołane moimi słowami poprzedziło na twarzy Elstira obojętny i roztrągniony wyraz, jaki zapanował na niej po upływie sekundy.

— Prędko, daj mi pan to płótno — rzekł — słyszę, że żona idzie. Mimo iż młoda osoba w meloniku nie grała, ręczę panu, żadnej roli w moim życiu, nie ma potrzeby, aby się żonie miała napatoczyć przed oczy ta akwarela. Zachowałem to wyłącznie jako zabawny dokument życia teatru z owej epoki.

I zanim ukrył za sobą akwarelę, Elstir, który może jej od dawna nie widział, wlepił w nią baczne spojrzenie.

— Warto zachować samą głowę — mruknął. — Dół jest doprawdy za lichy malowany, ręce to robota uczniaka.

Byłem zrozpaczony przybyciem pani Elstir, które miało nas jeszcze opóźnić. Rama okna stała się niebawem różowa. Spacer był zupełnie stracony. Nie było już żadnej nadziei spotkania dziewcząt, tym samym nie miało znaczenia, czy pani Elstir pożegna nas prędzej czy później. Nie siedziała zresztą zbyt długo. Wydała mi się bardzo nudna; byłaby może piękna, gdyby miała dwadzieścia lat i prowadziła wołu przez *Campagna Romana*; ale jej czarne włosy białły; była pospolita bez prostoty, bo wierzyła, że uroczyste wzięcie oraz majestatyczność gestu niezbędne są dla jej posągowej piękności, której wiek odebrał zresztą wszystkie powaby. Ubrana była z największą prostotą. I wzruszające, ale dziwne było słyszeć, jak Elstir co chwila, z pełną szacunku słodyczą, tak jakby wymawianie tych słów napępniało go czcią i rozczuleniem, mówi: „Moja piękna Gabrielo!”

Później, kiedy poznał mitologiczne malarstwo Elstira, pani Elstir wypiękniała również w moich oczach. Zrozumiałem, że pewnemu idealnemu typowi, streszczonemu w pewnych liniach, w pewnych arabeskach, powtarzających się wciąż w jego dziele, że pewnemu kanonowi przyznał Elstir w istocie charakter niemal boski, skoro cały swój czas, cały wysiłek myśli, do jakiego był zdolny, słowem, całe swoje życie poświęcił trudowi lepszemu odczytywania tych linii, wierniejszego ich oddania. Ideał ów zrodził w Elstirze kult tak poważny, tak wymagający, że nie pozwalał mu nigdy być zadowolonym; to była najistotniejsza część jego samego; toteż nie mógł go sobie zobiektywizować ani czerpać zeń wzruszeń, aż do dnia, gdy go spotkał, urzeczywistniony, zaklęty w ciało kobiety, w ciało tej, która później została panią Elstir i w której mógł — rzecz możliwa jedynie wobec tego, co nie jest nami — odczuć ten ideał jako coś godnego uwielbienia, wzruszającego, boskiego. Co za odpoczynek zresztą, położyć wargi na tym Pięknie, które dotąd trzeba było z takim wysiłkiem dobywać z siebie, a które teraz, tajemniczo wcielone, ofiarowało mu się w paśmie mistycznych komunii.

W owej epoce Elstir nie miał już tej młodości, w której ziszczenia swego ideału oczekuje się jedynie od potęgi myśli. Zbliżał się do wieku, gdy człowiek liczy na satysfakcję ciała dla pobudzenia siły ducha; gdy znużenie tego ducha, skłaniając nas do materializmu — jak zmniejszona energia do możliwości biernie przejmowanych wpływów — zaczynają nam podsuwać myśl, że istnieją może pewne uprzywilejowane ciała, zawody, rytmy, ziszczające tak naturalnie nasz ideał, że nawet bez geniuszu, jedynie kopiując ruch jakiegoś ramienia, napięcie szyi, stworzymy arcydzieło. Jest to wiek, w którym lubimy pieścić spojrzeniem Piękno poza nami, blisko nas, w dywanie, w pięknym szkicu Tycjana znalezionej u antykwarza, w kochance równie pięknej jak szkic Tycjana.

Kiedy to zrozumiał, widok pani Elstir zaczął mi sprawiać przyjemność; ciało jej straciło nieco ociężałości, bom je napępniał ideał, ideał, że to jest istota niematerialna, portret Elstira. Była portretem dla mnie i dla niego z pewnością także. Dane życiowe nie istnieją dla artysty, są dlań jedynie sposobnością ujawnienia swego geniuszu. Widząc obok siebie dziesięć portretów rozmaitych osób malowanych przez Elstira, czuje się, że to są przede wszystkim Elstiry. Ale po tym przyplynie geniuszu zalewającym życie, kiedy mózg się zmęczy, niebawem równowaga mąci się i — niby rzeka, wracająca do łożyska po ustąpieniu wielkiego przyplwy — życie odzyskuje przewagę. Otóż w czasie pierwszego okresu artysta wykrywa stopniowo prawo, formułę swego nieświadomego daru. Wie, jakie sytuacje (o ile jest powieściopisarzem), jakie widoki (o ile jest malarzem) dostarczają mu materiału, obojętnego w sobie, lecz potrzebnego do dociekań niby laboratorium lub pracownia. Wie, że stworzył arcydzieła z efektów złagodzonego światła, z wyrzutów sumienia zmieniających ideę wina, z kobiet siedzących pod drzewami lub na wpół zanurzonych w wodzie niby posągi. Przyjdzie dzień, gdy wskutek zużycia mózgu nie będzie już miał wobec tych materiałów, jakimi posługiwał się jego geniusz, siły zdobycia się na wysiłek intelektualny, niezbędny dla stworzenia dzieła; mimo to będzie dalej poszukiwał tych materiałów, szczęśliwy, gdy się znajdzie obok nich, dla duchowej rozkoszy i podniety do pracy, jakie w nim budzą; otoczy je jakimś zabobonem, tak jakby były czymś wyższym od wszystkiego innego, jak gdyby w nich się mieściła, niejako już gotowa, znaczna część dzieła sztuki. I w tej fazie artysta nie sięgnie dalej niż obcowanie ze swymi modelami, uwielbienie ich. Będzie rozmawiał bez końca z nawróconymi przestępcami, których żal i odrodzenie były tematem jego powieści; kupi domek w okolicy,

gdzie mgła tonuje światło; będzie spędzał długie godziny, patrząc na kąpiące się kobiety, będzie zbierał piękne materie. „Piękno życia” — to słowo poniekąd pozbawione znaczenia, stadium niesięgające cudu sztuki, na którym zatrzymał się niegdyś Swann; i do tego pojęcia, wskutek omdlenia twórczego ducha, miało kiedyś stopniowo ściągnąć Elstira bałwochwalstwo kształtów niegdyś dłań tak płodnych, pragnienie mniejszego wysiłku.

Dał wreszcie ostatnie dotknięcie pędzla swoim kwiatom; straciłem chwilę, przyglądając się im; nie miałem w tym żadnej zasługi, skoro wiedziałem, że dziewcząt nie będzie już na plaży. Ale gdybym nawet myślał, że są tam jeszcze i że tych kilka minut pozbawi mnie ich widoku, i tak byłbym się przyglądał przez świadomość, że Elstir bardziej się interesuje swoimi kwiatami niż tym, czy ja spotkam owe dziewczęta. Natura babki, będąca zupełnym przeciwieństwem mojego całkowitego egoizmu, odbijała się jednak w mojej naturze. W okoliczności, w jakiej ktoś obojętny, dla kogo zawsze tylko udawałem przywiązanie lub szacunek, ryzykował jedynie przykreść, gdy ja się narażałem na niebezpieczeństwo, i tak czułem się w obowiązku ubolewać nad jego przykrością jak nad czymś poważnym, a bagatelizować własne niebezpieczeństwo, dlatego żem sądził, iż w tych właśnie proporcjach rzeczy muszą się przedstawiać jemu. Aby wyrazić istotną prawdę, trzeba by nawet powiedzieć trochę więcej: nie tylko nie bolałem nad niebezpieczeństwem, na jakie sam się narażałem, ale szedłem naprzeciw niego; co się zaś tyczyło innych, starałem się, przeciwnie, oszczędzić im niebezpieczeństwa, choć bym się miał przez to na nie tym bardziej narażać. Wynika to z wielu przyczyn nieprzynoszących mi zaszczytu. Jedną jest to, że dopóki tylko rozumowałem, sądziłem, że mi przede wszystkim zależy na życiu; ale ilekroć w ciągu mojej egzystencji nękały mnie zgryzoty lub tylko niepokoje nerwowe (czasem tak dziecinne, że nie ośmieliłbym się ich przytoczyć), jeżeli zdarzyła się wówczas nieprzewidziana okoliczność, ryzyko, że mogę być zabity, troska ta była wówczas tak lekka w porównaniu z innymi, że przyjmowałem ją z ulgą graniczącą z uczuciem wesela. W ten sposób poznałem, mimo iż będąc człowiekiem najmniej odważnym w świecie, ową rzecz, która, brana rozumowo, zdawała mi się tak obca, tak niepojęta: upojenie niebezpieczeństwem. Ale choćbym nawet w chwili niebezpieczeństwa, bodaj śmiertelnego, znajdował się w okresie całkowitego spokoju i szczęścia, nie mógłbym — o ile jestem z drugą osobą — nie ochronić jej, nie wybrać niebezpiecznego miejsca dla siebie. Kiedy sporo doświadczeń przekonało mnie, że postępuję tak stale i z przyjemnością, odkryłem, z wielkim swoim wstydem, że, na wspak temu, com zawsze myślał i twierdził, jestem bardzo wrażliwy na sądy drugich. Ten rodzaj utajonej miłości własnej nie ma wszelako związku z próżnością lub pychą. To bowiem, co może zadowolić próżność lub pychę, nie sprawiłoby mi żadnej przyjemności i zawszem się tego wystrzeżał. Ale o ile mi się udawało najpilniej ukryć przed ludźmi swoje drobne przewagi, zdolne dać o mnie mniej lichy pojęcie, o tyle nigdy nie mogłem sobie odmówić przyjemności okazania tym samym ludziom, iż więcej mi zależy na tym, aby usunąć śmierć z ich drogi niż z mojej. Ponieważ pobudką tej przyjemności jest wówczas miłość własna, nie zaś cnota, uważam za bardzo naturalne, że we wszelkiej okoliczności inni ludzie postępują odmiennie. Daleki jestem od potępienia ich; uczyniłbym to może, gdyby mną powodowała idea obowiązku, którą uważałbym wówczas za równie obowiązującą dla nich jak dla siebie. Przeciwnie, mam ich za bardzo rozsądnych, że oszczędzają swoje życie, mimo iż nie mogą przeszkodzić samemu sobie w tym, aby stawiać na drugim planie swoje własne; co jest osobliwie niedorzeczne i występne od czasu, jak podejrzewam, iż życie wielu osób, których osłaniam sobą w chwili, gdy wybucha bomba, bardziej pozbawione jest wartości od mojego życia.

Zresztą w dniu owej wizyty u Elstira daleki był jeszcze czas, kiedym miał sobie uświadomić tę różnicę wartości. I nie chodziło tu o żadne niebezpieczeństwo, ale po prostu o znak zapowiedzi zgubnej miłości własnej, o to, aby nie okazać, iż do przyjemności, której tak pragnąłem, przywiązuję więcej wagi niż do przerwanej pracy akwarelisty. Elstir skończył wreszcie. I skorośmy się znaleźli na drodze, spostrzegłem — tak długie były w owej porze dni — że jest mniej późno, niż sądziłem; poszliśmy na plażę. Ileż chytrości rozwinąłem, aby przytrzymać Elstira w stronie, którą, jak przypuszczałem, dziewczęta mogły jeszcze przechodzić. Pokazując malarzowi skały dokoła nas, wyciągałem go na rozmowę o nich, aby mu dać zapomnieć o godzinie i przetrzymać go. Wydało mi się, że mamy więcej szans zdybać małą gromadkę, idącą ku krańcowi plaży.

— Chciałbym z panem zobaczyć z bliska te skały — rzekłem do Elstira, pamiętając, iż jedna z dziewcząt często chodziła w tę stronę. — A tymczasem niech pan mi mówi o Carquethuit. Och! jakże chciałbym wybrać się do Carquethuit! — dodałem, nie uświadamiając sobie, że ten tak nowy charakter objawiający się z taką siłą w Porcie Carquethuit Elstira, wyrósł może bardziej z wizji malarza niż ze specjalnych uroków tej plaży. — Od czasu jak widziałem ten obraz, to jest miejsce, które może najbardziej chciałbym ujrzyć, obok Pointe-du-Raz, co wymagałoby zresztą całej podróży.

— A przy tym, choćby to nawet było bliżej, radziłbym panu może bardziej Carquethuit — odparł Elstir. — Pointe-du-Raz jest wspaniałe, ale ostatecznie to jest wciąż to samo bretońskie lub normandzkie urwisko, które pan zna. Carquethuit to zupełnie coś innego, z tymi skałami na niskiej plaży. Nie znam we Francji nic analogicznego; to mi raczej przypomina widoki Florydy. Bardzo ciekawe i zresztą też niezmiernie dzikie. Leży między Clitourps a Nehomme, a pan wie, jak te okolice są smutne; linia plaży jest cudowna. Tutaj linia plaży jest banalna; ale tam, nie umiem panu powiedzieć, co za wdzięk, co za słodycz.

Wieczór zapadał; trzeba było wracać; odprowadzałem Elstira do jego willi, gdy nagle, na kształt Mefista wyrastającego przed Faustem, zjawilo na końcu alei — niby prosta, nie-realna i diaboliczna obiektywizacja temperamentu przeciwnego mojemu, barbarzyńskiej niemal i okrutnej witalności, z której tak wyzuta była moja niemoc, mój przerost obojętnej wrażliwości i intelektualizmu — kilka plamek esencji niepodobnej do pomieszenia z żadną inną, kilka członów zoofitycznego skupienia młodych dziewcząt. Robiły wrażenie, że mnie nie widzą, ale bez wątpienia w tej samej chwili wydawały o mnie ironiczny sąd. Czując, że nasze spotkanie jest nieuniknione, że mnie Elstir zawoła, obróciłem się plecami niby kąpiący się, gdy czeka uderzenia fali; zatrzymałem się w miejscu i, pozwalając swemu znakomitemu towarzyszowi iść dalej, zostałem z tyłu, pochylając się z nagłym zainteresowaniem ku witrynie antykwarza, koło której przechodziliśmy właśnie. Byłbym dość rad okazać, że mogę myśleć o czym innym niż o tych dziewczętach, i wiedziałem już mglisto, że kiedy mnie Elstir zawoła, aby mnie przedstawić, miałbym ów pytający wzrok, wyrażający nie zdziwienie, ale chęć wyglądania na człowieka zdziwionego — tak dalece każdy jest złym aktorem lub bliźni dobrym fizjonomistą. Czulem, że się posunę wręcz do tego, aby wskazać palcem na swoją pierś, niby z zapytaniem: „Czy mnie pan woła?” i nadbiec szybko z głową zgiętą posłuszeństwem i uległością, z twarzą zimno pokrywającą niezadowolone, że mi przerwano oglądanie starych fajansów po to, by mnie przedstawić osobom, których nie pragnęłam poznać. Tymczasem patrzyłam na wystawę, oczekując chwili, gdy nazwisko moje, wywołane przez Elstira, uderzy mnie niby oczekiwana i niegroźna kula. Pewność, iż będę przedstawiony młodym dziewczętom miała za rezultat nie tylko to, że odgrywałam w stosunku do nich obojętność, ale że ją czułam naprawdę. Przyjemność poznania ich, w tej chwili nieunikniona, skurczyła się, zmalęła, wydała mi się mniejsza niż przyjemność gawędki z Robertem, obiadu z babką, wycieczek, których prawdopodobnie będę musiał poniechać, wszedłszy w stosunki z osobami mało zapewne ciekawymi historycznych pamiątek. Zadowolenie z tej znajomości zmniejszyła zresztą nie tylko bliskość, ale bezładność jej ziszczenia. Prawa równie ściśle jak prawa hydrostatyki utrzymują kolejność obrazów, jakie tworzymy w stałym porządku, zburzonym bliskością wydarzenia. Elstir miał mnie zawołać. Wcale nie w ten sposób wyobrażałam sobie często na plaży lub w swoim pokoju poznanie tych dziewcząt. To, co miało nastąpić, to było inne wydarzenie, na które nie byłem przygotowany. Nie poznawałam ani swojego pragnienia, ani jego przedmiotu; niemal żałowałam, że wyszedł z Elstirem. Ale skurczenie się przyjemności, jakiej się dawniej spodziewałam, wynikało zwłaszcza z pewności, że już mi jej nic nie zdoła wydrzeć. I przyjemność ta odzyskała, niby mocą elastycznej siły, całą swoją wysokość, kiedy przestała czuć ucisk tej pewności; kiedy, zdecydowawszy się odwrócić głowę, ujrzałem Elstira stojącego o kilka kroków dalej z dziewczętami i żegnającego się z nimi. Twarz stojącej najbliżej niego, pulchna i naświetlona spojrzeniem, podobna była do ciastka, w którym zachowano by miejsce dla odrobiny nieba. Oczy jej, nawet nieruchome, dawały wrażenie ruchliwości, jak bywa w dniu wielkiego wiatru, gdy powietrze, mimo iż niewidzialne, pozwala odczuć szybkość, z jaką pędzi na tle lazuru.

Przez chwilę spojrzenia jej skrzyżowały się z moimi, jak owe wędrownie nieba w dni burzy, gdy zbliżają się do mniejszych chmury, ocierają się o nią, dotykają jej, mijają. Ale

nie znają się i odchodzą daleko jedno od drugiego. Tak nasze spojrzenia znalazły się przez chwilę na wprost siebie, przy czym żadne z nas nie miało świadomości, ile obietnic i grózb na przyszłość zawierał znajdujący się przed nim kontynent niebieski. Jedynie w chwili gdy jej spojrzenie przeszło dokładnie pod moim, wówczas, nie zwalniając biegu, zamgliło się lekko. Tak w jasną noc, unoszony wiatrem księżyc kryje się za chmurą i gasi na chwilę swój blask, po czym wyłania się bardzo szybko. Ale już Elstir rozstał się z dziewczętami, nie przywołał mnie. Skręciły w boczną uliczkę, on wrócił do mnie. Wszystko przepadło.

Wspomniałem, że Albertyna wydała mi się tego dnia inna niż poprzednio i że za każdym razem miała mi się wydać inna. Ale uczułem w tej chwili, że pewne zmiany w wyglądzie, ważności, wymiarach danej istoty mogą zależeć również od zmienności pewnych stanów wciskających się między tę istotę a nas. Jednym z elementów grających w tej mierze najważniejszą rolę jest wiara (tego wieczora wiara, potem zburzenie wiary, że mam poznać Albertynę, uczyniła mi ją na przestrzeni kilku sekund prawie obojętną, potem nieskończenie cenną; w kilka lat później, wiara, a potem utrata wiary, że Albertyna jest mi wierna, spowodowały analogiczne zmiany).

Zapewne, widziałem już w Combray, jak ból rozłączenia z matką zmniejsza się lub rośnie zależnie od godzin, zależnie od tego, czym wchodził w jedną lub drugą z dwóch wielkich faz mojej wrażliwości. Ból ten był przez całe popołudnie równie niedostrzegalny jak światło księżyca, dopóki błyszczą słońce, a z zapadnięciem nocy panował sam w mojej strwożonej duszy w miejsce zatartych i świeżych wspomnień. Ale tego dnia, widząc, jak Elstir rozstaje się z dziewczętami, nie zawołał mnie, pojąłem, że różnice wagi, jaką mają w naszych oczach przyjemność lub zmartwienie, mogą zależeć nie tylko od tej kolejności dwóch stanów, ale od przemieszczenia niewidzialnych wierzeń, które na przykład czynią nam bardzo obojętną śmierć, gdyż topią ją w świetle nierzeczywistości i pozwalają nam w ten sposób interesować się jakimś wieczorem muzycznym, który straciłby urok, gdyby, z zapowiedzią, że mamy być gilotynowani, wiara, w której kąpie się ów wieczór, rozproszyła się nagle. Tę rolę wiary — i o tym, co prawda, wiedziało coś we mnie — zna w nas wola; ale zna ją na próżno, o ile inteligencja i wrażliwość nadal jej nie znają; te są szczerze, kiedy wierzą, że my mamy ochotę porzucić kochankę, podczas gdy sama nasza wola wie, że jesteśmy do niej przywiązani. Bo one są zaciemnione wiara, że ją znów ujrzymy za chwilę. Ale niech się ta wiara rozproszy, niech się owa inteligencja i wrażliwość dowiedzą nagle, że kochanka wyjechała na zawsze, wówczas, straciwszy równowagę, stają się jak szalone, najniklejsza przyjemność urasta nieskończenie.

Są to wahania wiary, a również nicość miłości, która, preegzystująca i ruchoma, zatrzymuje się przy obrazie jakiejś kobiety jedynie dlatego, że ta kobieta jest prawie niedosiężna. Z tą chwilą mniej myślimy o kobiecie, z trudem mogąc ją sobie odtworzyć, ile o sposobach jej poznania. Rozwija się cała gradacja niepokojów i wystarcza, aby skupić naszą miłość na niej, przedmiocie tej miłości zaledwie nam znanym. Miłość staje się olbrzymia, nie wiemy, jak mało zajmuje w niej miejsca realna kobieta. I jeżeli nagle — jak w chwili gdy ujrzałem, że Elstir rozmawia z tymi dziewczętami — przestaniemy być niespokojni, przestaniemy odczuwać ucisk serca, wydaje się nam nagle, że miłość zgasa w chwili, gdy trzymamy wreszcie zdobycz, o której wartości nie dosyć myśleliśmy, ponieważ ten właśnie ucisk serca jest całą naszą miłością. Co ja znałem z Albertyny? Jeden czy dwa profile nad morzem, mniej piękne z pewnością niż profile kobiet Veronesa, które powinien bym — gdybym był posłuszny czysto estetycznym racjom — woleć od niej. A jakież mogłem mieć inne racje, skoro po zniknięciu niepokojów mogłem odnaleźć tylko te nieme profile, nie posiadałem nic innego. Od czasu jak ujrzałem Albertynę, robiłem co dnia w związku z nią tysiące refleksji, wiodłem z tym, com nazywał nią, całą wewnętrzną rozmowę, w której kazałem jej pytać, odpowiadać, myśleć, działać. W nieskończonej serii wyrojonych Albertyn następujących we mnie w ciągu godzin, Albertyna realna, ujrzana na plaży, figurowała jedynie na czele, jak „gwiazda” ukazuje się w długiej serii przedstawień teatralnych jedynie przez pierwsze wieczory. Ta Albertyna była zaledwie sylwetką; wszystko w niej ponadto było ze mnie, tak dalece w miłości wkład pochodzący od nas przeważa — biorąc choćby ilościowo — to, co pochodzi od kochanej istoty. I to jest prawda dla miłości najbardziej rzeczywistych. Bywają takie, które mogą nie tylko zrodzić się, ale trwać dokoła lada czego — nawet te, które dostały cielesnej konsekracji. Dawny nauczyciel rysunku mojej babki miał z jakiegoś pokątnego stosunku córkę. Matka

umarła wkrótce po narodzeniu dziecka, a profesor rysunku zgryzł się tym tak, że nie długo miał ją przeżyć. W ostatnich miesiącach jego życia babka i kilka pań z Combray (nigdy wobec profesora nie zrobiwszy nawet aluzji do tej kobiety, z którą zresztą nie żył oficjalnie, mając z nią tylko przelotne stosunki) chciały zabezpieczyć przyszłość dziewczynki w drodze zapewnienia jej dożywotniej renty. Zaproponowała to babka, niektóre przyjaciółki opierały się trochę; czy ta dziewczynka (mówiły) jest naprawdę taka interesująca, czy nawet jest córką swego rzekomego ojca; z tego rodzaju kobietami nigdy nie można wiedzieć... W końcu zdecydowano się. Dziewczynka przyszła podziękować. Była brzydka i tak podobna do nauczyciela rysunków, że podobieństwo to usunęło wszystkie wątpliwości. Ponieważ jedyną rzeczą ładną były jej włosy, jedna z dam rzekła do ojca dziewczynki, który ją przyprowadził: „Jakie ona ma ładne włosy”. I myśląc, że obecnie, gdy występna kobieta umarła, a profesor był już na wpół umarły, aluzja do owej przeszłości, którą zawsze pomijano milczeniem, nie będzie niedyskrecją, babka dodała: „To musi być rodzinne. Czy to jej matka miała takie ładne włosy?”. — „Nie wiem — odparł naiwnie ojciec. — Widziałem ją tylko w kapeluszu”.

Trzeba było dogonić Elstira. Ujrzałem się w lustrze. Na domiar klęski, że mnie nie przedstawiono dziewczętom, spostrzegłem, że krawat miałem całkiem krzywo i że spod kapelusza wymykały mi się długie włosy, z czym mi było bardzo brzydko. Ale i to była szansa, że mnie widziały bodaj tak z Elstirem i że nie mogły mnie już zapomnieć; drugą szansą było to, że na ten dzień, idąc za radą babki, włożyłem ładną kamizelkę (a mało brakowało, abym zamiast niej włożył inną, okropną) i wziąłem najładniejszą laskę. Upragniony wypadek nigdy nie spełnia się tak, jak się spodziewali; w braku korzyści, które zdawały się nam pewne, następują inne, na któreśmy nie liczyli, wszystko się tedy wyrównuje; a tak bardzo obawialiśmy się najgorszego, że w sumie jesteśmy skłonni uważać, iż, biorąc ryczałtem, los był nam raczej pomyślny.

— Tak pragnąłem poznać te dziewczęta — rzekłem, podchodząc do malarza.

— Więc po cóż pan sterczy o miłą?

Te słowa wyrzekł Elstir nie dlatego, że wyrażały jego myśl, bo gdyby w istocie chciał mnie uszczęśliwić, łatwo mógł mnie zawołać; ale może dlatego, że słyszał tego rodzaju powiedzenia, właściwe pospolitym ludziom przyłapanym na błędzie. Nawet wielcy ludzie są w pewnych rzeczach podobni ludziom pospolitym, czerpią zdawkowe wymówki w tym samym repertuarze, jak chleb powszedni biorą u tego samego piekarza. A może takie słowa, które powinny być poniekąd czytane na wywrót, skoro ich litera oznacza rzecz przeciwną prawdzie, są nieodzownym skutkiem, negatywną grafiką odruchu?

— Śpieszyły się.

Pomyślałem, że zwłaszcza nie pozwoliły mu przywołać kogoś, kto im się wydał mało sympatyczny; inaczej Elstir byłby to z pewnością uczynił, po tylu moich dopytywaniach się o te dziewczęta i po moim tak widocznym zainteresowaniu.

— Mówiliśmy o Carquethuit — rzekł Elstir, zanim go pożegnałem u bramy. — Zrobiłem mały szkic, gdzie lepiej widzi się podkowiec plaży. Obraz jest niezły, ale to co innego. Jeżeli pan pozwoli, na pamiątkę naszej przyjaźni ofiaruję panu mój szkic — dodał. (Odmawiając tego, czego pragniemy, ludzie darują nam chętnie co innego!)

— Bardzo bym pragnął, o ile pan ją posiada, mieć fotografię portreciku Miss Sacripant. Ale co to za imię?

— To imię osobistości, którą grał oryginał portretu w idiotycznej operetce.

— Ale, proszę pana, ja zupełnie nie znam tej osoby; pan ma taką minę, jakby pan sądził inaczej.

Elstir zamilkł.

— To przecie nie jest pani Swann przed swoim małżeństwem? — rzekłem w owym nagłym i przypadkowym przeczuciu, na ogół dość rzadkim, ale wystarczającym później, aby dać niejaki uzasadnienie teorii przeczuć, jeśli się zapomni wszystkich omyłek, które by ją mogły osłabić.

Elstir nie odpowiedział. Ale to był portret Odety de Crécy. Nie chciała go mieć u siebie dla wielu przyczyn, po części aż nazbyt oczywistych. Były i inne. Portret był wcześniejszy od epoki, gdy Odeta, zorganizowawszy swoje rysy, uczyniła z własnej twarzy i figury ową kreację, której zasadnicze linie mieli uszanować, w ciągu wielu lat, jej

fryzjerzy, krawcy, ona sama — w sposobie wzięcia, mówienia, uśmiechu, trzymania rąk, spojrzenia, myślenia. Trzeba było deprawacji nasyconego kochanka, a Swann od licznych fotografii Odety *ne varietur*, jaką była jego uroczą żonę, wolał małą fotografię, którą miał w swoim pokoju i na której widziało się, w słomkowym kapeluszu przybranym bratkami, młodą kobietę dość brzydką, z utapiowanymi włosami, o nazbyt ściągłej twarzy.

Zresztą gdyby ten portret był nie wcześniejszy, jak ulubiona fotografia Swanna, od usystematyzowania rysów Odety w nowy, majestatyczny i uroczy typ, ale gdyby był od niego późniejszy, wystarczyłoby wizji Elstira, aby ten typ zburzyć. Geniusz artysty działa na sposób owych bardzo wysokich temperatur, które mają moc rozkładania kombinacji atomów i grupowania ich wedle zupełnie odmiennego porządku, odpowiadającego innemu typowi. Cała ta sztuczna harmonia, jaką kobieta narzuciła swoim rysom i której trwałości co dnia dogląda w lustrze przed wyjściem z domu, zmieniając nachylenie kapelusza, przyczesanie, blask spojrzenia, całą tę harmonię oko wielkiego malarza niweczy w jednej sekundzie, przegrupowując rysy kobiety w sposób czyniący zadość jego własnemu kobiecemu i malarskiemu ideałowi. Zdarza się również, że począwszy od pewnego wieku, oko wielkiego badacza wszędzie znajduje elementy potrzebne do ustalenia stosunków, które go wyłącznie interesują. Jak owi robotnicy lub gracze, którzy nie robią sobie wiele kłopotu i zadowolają się tym, co im popadnie w rękę, taki artysta mógłby powiedzieć o czymkolwiek: „to mi się nada”. I tak kuzynka księżnej de Luxembourg, dumna i wyniosła piękność, zapaliwszy się do nowego w owej epoce kierunku sztuki, poprosiła największego z naturalistycznych malarzy, aby zrobił jej portret. Natychmiast oko artysty znalazło to, czego szukało wszędzie. I w miejsce wielkiej damy znalazła się na płótnie ulicznica, a za nią szeroka, pochyła, fioletowa płaszczyzna, przywodząca na myśl plac Pigalle. Ale nawet nie idąc tak daleko, nie tylko portret kobiecy, robiony przez wielkiego artystę, nie będzie się starał uczynić zadość jakimś wymaganiom kobiety — takim na przykład, które, kiedy kobieta zaczyna się starzeć, każą się jej fotografować w pozach niemal dziewczętkowatych, uwydatniających jej wciąż młodą figurę, i robią z niej jak gdyby siostrę lub nawet córkę jej córki, w potrzebie „przyrządzonej” na tę okoliczność specjalnie staro i posadzonej obok matki — ale, przeciwnie, wydobędzie ujemne cechy, które kobieta pragnie ukryć i które, jak gorączkowa zielonkawa cera, szczególnie go kuszą, ile że mają „charakter”; ale cechy te wystarczają, aby rozczarować przeciętnego widza i rozbijają mu do szczytu ideał, którego zbroję kobieta dźwigała tak dumnie i który mieścił ją w jej jedynej nienaruszalnej formie tak bardzo poza resztą i ponad resztą ludzkości. Obecnie, zdegradowana, wywłaszczona z własnego typu, w jakim królowała nietykalna, jest tylko przeciętną kobietą, w której wyższość przestaliśmy wierzyć. W tym typie tak dalece umieściliśmy nie tylko piękność jakiejś Odety, ale jej osobowość, tożsamość, że wobec portretu, który ją z niego wyzuł, gotowi jesteśmy wykrzyknąć nie tylko: „Jaka zeszpecona!”, ale: „Jaka niepodobna!”. Trudno nam uwierzyć, aby to była ona. Nie poznajemy jej. A jednak jest tam istota, którą — czujemy to — jużśmy widzieli. Ale ta istota to nie Odeta; jej twarz, ciało, wygląd, są nam dobrze znane. Przypominają nam nie tę kobietę, która nigdy się tak nie trzymała, której zwykła poza nie rysuje bynajmniej tego dziwaczного i wyzywającego arabesku, ale inne kobiety, wszystkie te, które malował Elstir i które, choćby najbardziej różne, lubił w ten sposób stawiać na wprost widza, z napiętą stopą wystającą spod spódnicy, z dużym okrągłym kapeluszem w ręce, odpowiadającym ściśle na wysokości kolana, które zasłania, owej drugiej tarczy widzianej *en face* — twarzy. Wreszcie, genialny portret nie tylko zmienia typ kobiety, jaki stworzyła jej zalotność i egoistyczne pojęcie piękna. Jeżeli portret jest dawny, nie poprzestaje na tym, że postarza oryginał na sposób fotografii, ukazując go w niemodnym stroju. Na portrecie nie tylko strój kobiety trąci myszką, ale także malarski styl artysty. Ta maniera, pierwsza maniera Elstira była najbardziej przytłaczającą metryką dla Odety, czyniąc ją nie tylko, jak jej ówczesne fotografie, młodszą siostrą głośnych kokot, ale także robiąc jej portret współczesnym licznych portretów, jakie Manet lub Whistler robili z tyłu zaginionych modeli, należących już do niepamięci lub do historii.

Te myśli, w milczeniu przetrawiane obok Elstira, gdym go odprowadzał do domu, nasunęło mi świeżo uczynione odkrycie tożsamości jego modela. Naraz to pierwsze odkrycie zrodziło we mnie drugie, bardziej jeszcze dla mnie niepokojące, dotyczące tożsamości artysty. Robił portret Odety de Crécy. Byłoby możliwe, aby ten genialny człowiek, ten

mędrzec, ten samotnik, filozof rozprawiający tak wspaniale i panujący nad każdym tematem, był owym śmiesznym bufonem, malarzem protegowanym niegdyś przez państwa Verdurin? Spytałem go, czy ich zna, czy przypadkiem nie nazywali go wówczas „panem mistrzem”. Odpowiedział, że tak, bez zakłopotania, jak gdyby chodziło o zamierzchną już epokę jego życia. Jeżeli Elstir nie domyślał się strasznego zawodu, jaki mi sprawił, spojrzawszy na mnie mógł go odczytać na mojej twarzy. Twarz artysty przybrała wyraz niezadowolenia. Że zaś byliśmy już prawie pod jego domem, człowiek niższy od niego inteligencją i sercem, pożegnałby mnie może po prostu sucho i potem unikałby spotkania. Ale Elstir postąpił inaczej. Był to prawdziwy mistrz; i z punktu widzenia czystej sztuki była to może jego jedyna wada, że był owym *mistrzem*; artysta bowiem, aby być całkowicie w prawdzie życia duchowego, powinien być sam i nie udzielać swego *ja* nawet swoim uczniom. Panujący nad wszelką sytuacją, czy tyczyła jego czy innych, Elstir starał się z niej wydobyć, ku nauce młodych, zawartą w niej cząstkę prawdy. Od słów tedy zdolnych pomścić jego miłość własną, wołał te, które mnie mogły pouczyć.

— Nie ma człowieka, bodaj najmędrszego — rzekł Elstir — aby w pewnej epoce młodości nie mówił rzeczy lub wręcz nie prowadził życia, których wspomnienie musi mu być przykre i które pragnąłby zatrzeć w pamięci. Ale nie powinien żałować absolutnie owej przeszłości, bo nie może być pewien, czy zostałby mędrce — w tej mierze, w jakiej to jest możliwe — gdyby nie przeszedł przez wszystkie śmieszne lub wstrętne fazy, nieodzownie poprzedzające to ostatnie wcielenie. Wiem, że są młodzi ludzie, synowie i wnukowie ludzi dystyngowanych, którym preceptorzy wszczepili od szkolnej ławki szlachetność ducha i wykwił moralny. Ci może nie potrzebują nic usunąć ze swego życia, mogliby ogłosić i podpisać wszystko, co kiedy powiedzieli; ale to są ubogie natury, pogrobownicy doktrynerów, posiadacze mądrości negatywnej i jałowej. Nie dostaje się mądrości w darze, trzeba ją odkryć samemu, po wędrówce, jakiej nikt nie może podjąć za nas ani jej nam oszczędzić, bo ona jest spojrzeniem na świat. Żywoty, które pan podziwiasz, postawy, które ci się wydają szlachetne, nie były przygotowane przez ojca ani przez preceptora; poprzedziły je początki bardzo odmienne, kształtowało je wszystko zło i wszystka banalność panujące dokoła. Wyróżniają walkę i zwycięstwo. Rozumiem, że obraz tego, czym byliśmy w pierwszej fazie, nie jest podobny do nas i jest w każdym razie niemiły. Ale nie trzeba się go zapierać, bo jest świadectwem, żeśmy naprawdę żyli, że wedle praw bytu i praw ducha, z pospolitych składników życia, z życia pracowni, z koterii artystycznych (o ile chodzi o malarza), wydobyliśmy coś, co je przerasta.

Doszedliśmy pod dom Elstira. Czulem zawód, że nie poznał owych dziewcząt z plaży. Ale ostatecznie miałem teraz możliwość odnalezienia ich w życiu; przestały być jedynie obrazem na horyzoncie — obrazem małe dającym nadzieję ponownego ujścia. Dokoła nich nie szumił już ten jak gdyby wielki wir, który nas rozdzielał i który był jedynie wyrazem pragnienia w jego nieustannej energii, ruchliwego, nagłego, karmionego wzruszeniami, jakie budziła we mnie ich niedostępność, ich zniknięcie może na zawsze. Mogłem obecnie swojemu pragnieniu dać wytchnienie, zachować je w zapasie, obok tylu innych, których urzeczywistnienie oddalałem, skorom raz wiedział, że jest możliwe.

Pożegnałem Elstira, znalazłem się sam. Wówczas nagle, mimo swojego zawodu, ujrzałem w duchu wszystkie te przypadki, których możliwości nie byłbym podejrzewał; że właśnie Elstir znał się dobrze z tymi dziewczętami; że te, co jeszcze rano były dla mnie sztafażem obrazu mającego za tło morze, widziały mnie, wiedzą, że jestem znajomym wielkiego malarza, który, świadom teraz mojej chęci poznania ich, dopomoże jej z pewnością. Wszystko to sprawiło mi przyjemność, ale ta przyjemność pozostała mi ukryta; była z rodzaju owych gości, którzy, zanim nam dadzą znać, że są, czekają, aby nas inni pożegnali, abyśmy zostali sami. Wówczas spostrzegamy ich, możemy ich wysłuchać, powiedzieć: „jestem do twoich usług”. Czasami między chwilą, w której te przyjemności wstąpiły w nas, a chwilą, gdy możemy wejść w siebie sami, upłynęło tyle godzin, widzieliśmy wśród tego tyle osób, iż obawiamy się, że one nie czekały. Ale one są cierplive, nie nużą się, i z chwilą gdy wszyscy odeszli, znajdujemy je przed sobą. Czasem my jesteśmy wówczas tak zmęczeni, iż wydaje się nam, że nie będziemy mieli w naszej omdlałej myśli dość siły, aby zachować wspomnienia, wrażenia, dla których nasze kruche *ja* jest jedynym miejscem mieszkalnym, jedynym sposobem urzeczywistnienia. I żałowalibyśmy tego, bo istnienie ma wartość jedynie prawie w dniach, gdy pył rzeczywistości miesza się z magicz-

nym piaskiem, gdy jakieś pospolite wydarzenie staje się romantycznym bodźcem. Cały przylądek niedostępnego świata wylania się wówczas z oświelenia snu i wchodzi w nasze życie — w nasze życie, gdzie niby człowiek zbudzony ze snu widzimy osoby, o których śniliśmy tak żarliwie, żeśmy sądzili, iż nie ujrzemy ich inaczej niż w marzeniu.

Ukojenie przyniesione przez obecną nadzieję poznania tych młodych dziewcząt, kiedy będę miał ochotę, było mi tym cenniejsze, ile że nie mógłbym ich śledzić w następnych dniach zaprzątniętych bliskim wyjazdem Roberta. Babka pragnęła okazać memu przyjacielowi wdzięczność za tyle uprzejmości dla nas. Powiedziałem jej, że Robert uwielbia Proudhona i podsunąłem jej myśl sprowadzenia nabytych przez nią listów tego filozofa w autografie. Saint-Loup przyszedł je obejrzeć w dniu, gdy przybyły; było to w wilię jego wyjazdu. Przeczytał je chciwie, obracając w rękę z szacunkiem każdą ćwiartkę, starając się zapamiętać każde zdanie; potem wstał, tłumaczył się przed babką, że siedział tak długo, na co usłyszał w odpowiedzi:

— Ależ nie, niech je pan weźmie, to dla pana, po to je sprowadziłam, aby je panu ofiarować.

Wówczas ogarnęła go radość, której nie mógł opanować, niby stanu fizycznego objawiającego się bez udziału woli. Zrobił się szkarłatny jak dziecko, które ukarano; wysiłki, jakie czynił (nadaremnie), aby powściągnąć miotającą nim radość, wzruszyły babkę bardziej niż wszystkie możebne podziękowania. Ale on, bojąc się, iż źle wyraził swoją wdzięczność, nazajutrz jeszcze, wychylając się z okna lokalnej kolejki, którą jechał do swego garnizonu, prosił mnie, aby go wytłumaczyć. Garnizon był w istocie bardzo niedaleko. Saint-Loup zamierzał się tam udać powozem, jak zwykł był często, kiedy miał wracać wieczorem i kiedy nie chodziło o wyjazd ostateczny. Ale tym razem musiał wyprowadzić swoje liczne bagaże pociągiem, uważał tedy za prostsze zabrać się z nimi sam, idąc w tym za radą dyrektora hotelu, który, zapytany w tej mierze, odpowiedział, że powóz czy kolejka żelazna „to jest mniej więcej dwuznaczne”. Chciał przez to powiedzieć, że to będzie równoznaczne (w sumie mniej więcej to samo, co by Franciszka określiła słowami, że „to wyjdzie na jedność”).

— Niech będzie — odparł Saint-Loup — pojedę „samowarkiem”.

Byłbym pojechał także, gdybym nie był zmęczony: chciałem odwiedzić Roberta aż do Doncières; przyrzekałem mu bodaj, że go będę odwiedzał parę razy na tydzień. Przyrzekałem mu to przez cały czas, kiedyśmy czekali na stacji w Balbec; to znaczy przez czas, kiedy maszynista czekał na swoich zapóźnionych przyjaciół, bez których nie chciał odjechać, a także orzeźwiał się w bufecie. Ponieważ Bloch — ku wielkiemu niezadowoleniu Roberta — przyszedł również na dworzec, ów, widząc, że nasz kolega słyszy, jak on mnie prosi, abym przyjeżdżał na śniadanie, na obiad, na pobyt do Doncières, powiedział mu w końcu nader zimno, tonem mającym skorygować wymuszoną uprzejmość zaproszenia i nie pozwolić, aby je Bloch wziął serio: „Jeżeli pan będzie kiedy przejeżdżał przez Doncières, a ja byłbym po południu wolny, może pan spytać o mnie w koszarach, ale nie jestem wolny prawie nigdy”. Może też Saint-Loup bał się, że sam bym nie przyjechał i myśląc, że jestem bliżej z Blochem, niż się do tego przyznaję, otwierał mi w ten sposób możliwość zabrania z sobą towarzysza podróży, „trenera”.

Bałem się, że ten ton, sposób zapraszania kogoś z równoczesną radą, aby nie przyjeżdżał, może urazić Blocha; uważałem, że Saint-Loup lepiej by uczynił, nie mówiąc nic. Ale pomyliłem się, bo po odejściu pociągu, gdyśmy szli razem do skrzyżowania alej, gdzie trzeba się było rozstać (jedna droga wiodła do hotelu, druga do willi Blochów), Bloch nie przestał mnie wypytywać, kiedy się wybieramy do Doncières, bo (powiadał) po „wszystkich uprzejmościach Roberta” byłoby „chamstwem” nie skorzystać z jego zaprosin. Byłem rad, że Bloch nie zauważył (lub też był na tyle mało urażony, aby mieć ochotę udawać, że nie zauważył) w jakim tonie, wcale nie nalegającym, ledwie że grzecznym, wyrażono zaproszenie. Byłbym wszelako pragnął oszczędzić Blochowi śmieszności pospieszenia zaraz do Doncières. Ale nie śmiałem mu udzielić rady, która musiałaby mu sprawić przykrość, uświadamiając, że Saint-Loup był nie tyle uprzejmy, ile on skwapliwy. Był nim w istocie o wiele zanadto i mimo że wszystkie tego rodzaju wady Blocha wyrównywały się znacznymi przymiotami, jakich nie mieliby znów inni, delikatniejsi, posuwał on niedelikatność aż do punktu, w którym stawała się drażniąca. Wedle niego nie powinniśmy byli czekać ani tygodnia z wyprawą do Doncières (powiadał „my”, bo sądzę, że

liczył trochę na moją obecność, jako usprawiedliwienie swojej). Przez całą drogę, przed „pałacem sportowym” ukrytym w drzewach, przed kortem tenisowym, przed domem, przed straganem z muszlami, zatrzymywał mnie, błagając, aby ustalić dzień; a kiedy tego nie uczynił, pożegnał mnie zagniewany, mówiąc: „Jak wola Waszej Miłości. Ale ja w każdym razie muszę jechać, skoro mnie Robert zaprosił”.

Saint-Loup tak się bał, że nie dość podziękował babce, iż jeszcze raz polecił mi wyrazić jej swoją wdzięczność w liście, który otrzymałem od niego na trzeci dzień z garnizonu. Na kopercie, gdzie poczta wycisnęła nazwę miasta, zdawało się ono przybiegać do mnie z oznajmieniem, że w jego murach, w koszarach kawaleryjskich Louis XVI, Robert myśli o mnie. Papier listowy miał herb Marsantes; był w nim lew, a nad nim korona parów Francji.

„Po drodze — pisał Saint-Loup — która odbyła się dobrze dzięki książce kupionej na dworcu, pióra Arvéde’a Barine (autor jest podobno Rosjaninem; wydała mi się tego napisana jak na cudzoziemca, ale prześlij mi swoją opinię, ty musisz to znać, ty studnio wiedzy, któryś czytał wszystko), oto jestem z powrotem w koszarach, w tym pospolitym życiu, gdzie niestety czuję się bardzo na wygnaniu, nie mając tego, com zostawił w Balbec; w tym życiu, gdzie nie odnajduję żadnych wspomnień przyjaźni, żadnych czarów intelektu; w życiu, którego atmosferą z pewnością pogardzasz, a które mimo to nie jest bez uroku. Wszystko mi się tu wydaje zmienione od czasu, jak stąd wyjechałem, bo tymczasem rozpoczęła się jedna z najważniejszych epok mego życia, era naszej przyjaźni. Mam nadzieję, że się nie skończy nigdy. Mówiłem o tej przyjaźni, o tobie, tylko jednej istocie, tylko mojej kochance, która zrobiła mi niespodziankę, przyjeżdżając spędzić ze mną parę godzin. Bardzo byłaby rada poznać cię i sądzę, że byście się sobie nadali, bo ona także uwielbia literaturę. Co do mnie, wciąż wracam myślą do naszych gawęd, przeżywam znów owe godziny, których nie zapomnę nigdy; aby ich kosztować pełniej, odsunąłem się od kolegów, wybornych chłopców, ale całkowicie niezdolnych tego zrozumieć. Byłbym prawie wolał pierwszego dnia wywołać te wspomnienia chwil spędzonych z tobą tylko dla siebie samego, nie pisząc do ciebie. Ale bałem się, abyś ty, umysł subtelny i serce arcywrażliwe, nie wbił sobie jakiegoś ćwieka w głowę, nie otrzymując listu, o ile w ogóle raczyłeś zniżyć swoją myśl ku prostakowi kawalerzyście, z którym będziesz miał wiele kłopotu, aby go okrzesać i uczynić subtelniejszym i godniejszym ciebie”.

W gruncie ten list bardzo przypominał swoją czułością te, których oczekiwałem od Roberta, kiedy go nie znałem jeszcze; w owych marzeniach, z których wyrwał mnie chłód pierwszego spotkania, stawiając mnie wobec lodowatej rzeczywistości, niemającej być ostateczną. Odkąd dostałem pierwszy list, za każdym razem, kiedy w porze śniadania przynoszono pocztę, poznawałem natychmiast list od niego, bo miał zawsze ową drugą twarz, jaką ukazuje dana istota, kiedy jest nieobecna. I nie ma powodu nie wierzyć, że w jej rysach (charakter pisma) chwytam duszę indywidualną równie dobrze jak w linii nosa lub barwie głosu.

Siedziałem teraz chętnie przy stole, podczas gdy sprzątano, i — o ile to nie był moment, w którym mogła przechodzić gromadka moich dziewcząt — już nie patrzyłem wyłącznie w stronę morza. Starąłem się odnaleźć w rzeczywistości to, co widziałem na akwarelach Elstira, lubiłem to jak coś poetycznego; niedbały gest porzuconych nożów, wyducie zmiętej serwety, w którą słońce wszywa kawałek żółtego aksamitu, niedopity kieliszek, lepiej ukazujący w ten sposób szlachetną falistość swoich kształtów, a na dnie jego witrażu, przejrzystego i podobnego do zagęszczenia dnia, resztkę wina ciemnego, ale migocącego światłem. Zajmowało mnie przekształcanie się brył, przeobrażenie płynów pod wpływem oświetlenia, skażenie śliwek przechodzących z zielonego w niebieskie i z niebieskiego w złote w na wpół już wypróżnionym kloszu; wędrówkę starych krzesłek, dwa razy dziennie zajmujących miejsce dokoła obrusa zasłanego na stole niby na ołtarzu, gdzie się święci święto łakomstwa i gdzie w skorupach ostróg parę kropel oczyszczającej wody pozostało niby w kamiennych kropielnicach. Starąłem się znaleźć piękno tam, gdzie nigdy sobie nie wyobrażałem jego obecności, w rzeczach najbardziej użytkowych, w głębokim życiu „martwej natury”.

Kiedy w kilka dni po wyjeździe Roberta, zdołałem uzyskać to, by Elstir wyprawił mały podwieczorek, gdzie bym mógł spotkać Albertynę, żalowałem wdzięku i wytworności — bardzo nietrwałych — jakie podziwiano we mnie w chwili, gdy opuszczał Grand-Hotel

(a zawdzięczałem je dłuższemu spoczynkowi oraz specjalnym staraniom toaletowym); żalowałem, że nie mogę ich zachować (jak również względów Elstira) na podbój innej jakiej osoby, bardziej interesującej; żalowałem, że zużywam to wszystko na prostą przyjemność poznania Albertyny. Od czasu jak ta przyjemność była pewna, intelekt mój szacował ją bardzo nisko. Ale wola nie podzielała we mnie ani na chwilę tego złudzenia; wola, będąca wytrwałym i niezmiennym sługą naszych kolejnych osobowości; ukryta w cieniu, pogardzana, niestrudzenie wierna, wciąż starająca się — bez troski o odmiany naszego *ja* — aby mu nigdy nie brakło tego, co niezbędne. I tak w chwili, gdy ma się ziszczyć upragniona podróż, podczas gdy inteligencja i wrażliwość zaczynają się pytać, czy w istocie ta podróż warta jest naszego trudu, wola, świadoma, iż gdyby się ta podróż okazała niemożliwą, owi gnuśni panowie natychmiast zaczęliby widzieć w niej wszystkie uroki — wola pozwala im rozprawić przed dworcem i piętrzyć wątpliwości, ale zajmuje się kupnem biletów i wsadza nas do wagonu we właściwej chwili. Jest równie niezmienna, jak inteligencja i wrażliwość są zmienne; że jednak jest milcząca i nie przytacza swoich argumentów, wydaje się prawie nieistniejąca; inne części naszego *ja* posłuszne są stanowczej decyzji owej woli, ale nie dostrzegając jej, podczas gdy rozróżniają wyraźnie własne niepewności. Moja wrażliwość i inteligencja urządziły tedy dyskusję nad wartością rozkoszy, jaką byłoby poznanie Albertyny, podczas gdy oglądałem w lustrze *czcze* i *kruche* powaby, które one byłyby chciały zachować na inną sposobność. Ale wola nie pozwoliła przegapić godziny, gdy trzeba było jechać; ona to dała woźnicy adres Elstira. Skoro kości były już rzucone, inteligencja i wrażliwość miały wszelką swobodę uważać, że szkoda fatygi. Gdyby moja wola podała inny adres, ładnie byłyby wpadły!

Kiedy z małym opóźnieniem przybyłem do Elstira, zdawało mi się zrazu, że panny Simonet nie ma w pracowni. Siedziała tam wprawdzie młoda dziewczyna w jedwabnej sukni, z gołą głową, ale nie znałem ani jej wspaniałych włosów, ani nosa, ani tej cery i nie odnajdywałem w niej istności, jaką wydobyłem z młodej cyklistki przechadzającej się nad morzem w polo na głowie. A jednak była to Albertyna. Ale nawet kiedy już wiedział o tym, nie zajmowałem się nią. Wchodząc na wszelką zabawę, młody człowiek umiera dla samego siebie, staje się innym człowiekiem, każdy bowiem salon jest nowym światem, gdzie, podlegając prawom innej perspektywy duchowej, skupiamy swoją uwagę — tak jakby to wszystko miało być ważne na wieki — na osobach, na tańcach, na partiach kart, o których zapomnimy nazajutrz. Aby dotrzeć do rozmowy z Albertyną, trzeba mi było iść bynajmniej nie przeze mnie wytyczoną drogą, zatrzymującą się najpierw przy Elstirze, wiodącą przez inne grupy gości, którym mnie przedstawiano, potem koło bufetu, gdzie mnie częstowano i gdzie jadł ciastka z truskawkami; potem przystanąłem, aby posłuchać jakiejś muzyki i przyznawałem wszystkim tym epizodom tę samą ważność, co aktowi mojej prezentacji pannie Simonet. Była już tylko epizodem jednym z wielu; całkowicie zapomniałem, że kilka minut wprzód była jedynym celem mego przybycia.

Czyż nie jest tak zresztą w życiu z naszym prawdziwym szczęściem, z wielkimi nieszczęściami? Będąc w towarzystwie, otrzymujemy od przedmiotu naszej miłości przychylną lub zabójczą odpowiedź, której oczekiwaliśmy od roku. Ale trzeba dalej rozmawiać, myśli gromadzą się, tworząc powierzchnię, spod której ledwie od czasu do czasu wylania się głucho o ileż głębsze, lecz bardzo ciasne wspomnienie tego, że spadło na nas nieszczęście. Jeżeli zamiast nieszczęścia przyjdzie szczęście, może się zdarzyć, że aż w wiele lat później przypominamy sobie, iż największe wydarzenie naszego sercowego życia — przy czym nie mieliśmy czasu użyczyć mu długiej uwagi, niemal uświadomić go sobie — zdarzyło się na przykład na zebraniu towarzyskim, dokąd udaliśmy się jedynie w oczekiwaniu tego wydarzenia.

W chwili gdy mnie Elstir zawołał, aby mnie przedstawić Albertynie, siedzącej opodal, skończyłem najpierw jeść ciastko z kremem i poprosiłem z zainteresowaniem starszego pana (dopiero co poznałem go i ofiarowałem mu różę, którą podziwiał w mojej butonierce), aby mi udzielił szczegółów co do jarmarków normandzkich. To nie znaczy, aby prezentacja nie sprawiła mi przyjemności i nie przybrała w moich oczach niejakiej powagi. Co się tyczy przyjemności, poznałem ją oczywiście aż później, kiedy, wróciwszy do hotelu, zostawszy sam, stałem się z powrotem sobą. Przyjemności są jak fotografie. To, co zdejmujemy w obecności ukochanej istoty, to jest negatyw; wywołujemy go później,

Obyczaje, Zabawa,
Spotkanie

znalazłszy się u siebie, kiedy mamy do dyspozycji ową wewnętrzną *camerę obscurę*, do której wejście jest „wzbronione”, dopóki jesteśmy wśród ludzi.

Jeżeli poznanie przyjemności opóźniło się w ten sposób dla mnie o kilka godzin, w zamian za to powagę tej prezentacji odczułem natychmiast. W chwili prezentacji czujemy się nagle obdarowani, czujemy się okazicielami „bonu” na przyszłe przyjemności, za którym to bonem upędzaliśmy się od tygodni; z drugiej strony rozumiemy, że jego uzyskanie kładzie dla nas koniec nie tylko uciążliwej gonitwie, co mogłoby jedynie przejąć nas radością — ale także bytowi pewnej istoty, zniekształconej przez naszą wyobraźnię, powiększonej przez nasz trwożliwy lęk, że ona nigdy nas nie pozna. W chwili gdy nasze nazwisko zabrzmiało w ustach przedstawiającego, zwłaszcza jeżeli ów dopełni go (jak w tym wypadku Elstir) pochwalnym komentarzem, chwili sakramentalnej — analogicznej do tej, gdy w feerii wróżka nakazuje jakiejś osobie, aby się stała inną — istota, do której pragnęliśmy się zbliżyć, ginie. I jakimż cudem pozostałaby podobną samej sobie! Siłą uwagi, jakiej nieznajoma musi użyć naszemu nazwisku i okazać naszej osobie, w oczach jej, wczoraj pomieszczonych w nieskończoności — oczach, o których myśleliśmy, że nasze błędne, niepewne, zrozpaczone, rozbieżne oczy nigdy nie zdołają ich spotkać — własny nasz obraz, odmalowany niby w uśmiechającym się zwierciadle, cudownie i całkiem po prostu zastąpił świadome spojrzenie, niepoznawalną myśl, której szukaliśmy. Jeżeli wcielenie nas samych w to, co nam się zdawało najbardziej od nas różne, najwięcej modyfikuje osobę właśnie poznaną, kształt tej osoby pozostaje jeszcze dosyć mglisty; i możemy sobie zadawać pytanie, czy ona będzie bogiem, stołem czy miednicą. Ale nieliczne słowa, jakie nam rzuci nieznajoma, równie zwinne jak i owi artyści, którzy lepią w naszych oczach biust z wosku w ciągu pięciu minut, określa tę formę i dadzą jej coś ostatecznego, co wykluczy wszystkie hipotezy, na jakie się wczoraj puszczały nasze pragnienia i nasza wyobraźnia.

Bez wątpienia, zanim nawet przyszedłem na ten podwieczorek, Albertyna nie była już dla mnie całkowicie owym jedynym widmem, godnym nawiedzać nasze życie, jakim zostaje mijająca nas osoba, o której nie wiemy nic, którą zaledwieśmy rozróżnili. Jej pokrewieństwo z panią Bontemps już ograniczyło te cudowne hipotezy, zamykając jedną z dróg, przez które mogły się rozprzestrzenić. W miarę jak się zbliżałem do młodej dziewczyny i jak ją poznawałem lepiej, znajomość ta dokonywała się przez odejmowanie, przy czym każdą cząstkę wyobraźni i pragnienia zastępowało pojęcie warte nieskończenie mniej, pojęcie pomnożone co prawda rodzajem ekwiwalentu, podobnego (w dziedzinie życia) temu, co towarzystwa finansowe wydają po spłaceniu akcji pierwotnej i co nazywają akcją użytkową. Nazwisko i parantele Albertyny były pierwszą granicą postawioną moim domysłem. Jej uprzejmość (podczas gdy rozmawiając z nią, odnajdywałem jej pieprzyk na policzku pod okiem) była drugą granicą; zdziwiłem się wreszcie, słysząc, jak posługuje się przysłówkiem „absolutnie” zamiast „zupełnie”. Mówiąc o dwóch osobach, powiadała o jednej, że „jest absolutnie wariatka, ale i tak bardzo miła”, a o drugiej, że „to jest człowiek absolutnie pospolity i absolutnie nudny”. Jakkolwiek ten wybór słowa „absolutnie” zamiast „zupełnie” nie jest zbyt szczęśliwy, świadczy on o stopniu cywilizacji i kultury, o który bym nie posądził cyklistowskiej bachantki, orgiastycznej muzyki golfa. Co nie przeszkadza zresztą, że po tej pierwszej metamorfozie Albertyna miała się jeszcze zmienić dla mnie wiele razy. Przymioty i wady, jakie dana osoba ukazuje na pierwszym planie swojej twarzy, układają się wedle zupełnie innych proporcji, o ile do niej przystąpimy z innej strony — tak jak w jakimś mieście budowle rozrzucone w jednym szeregu, z innej perspektywy biegną w głąb i zmieniają swoje względne wymiary. Na początek stwierdziłem u Albertyny minę dość onieśmieloną w miejsce nieubłaganej; zdawała mi się raczej poprawna niż źle wychowana, jeżeli o tym sądzić z epitetów: „ona jest w złym tonie, ona ma dziwną manierę”, stosowanych do wszystkich pańien, o których jej mówiłem. Centralny punkt jej twarzy stanowiła skroń zaogniona i dość niemiła do patrzenia, w zamian zaś nie miała już owego szczególnego spojrzenia, które utkwilo mi w pamięci. Ale to była jedynie druga perspektywa, a były z pewnością inne, przez które miałem przejść kolejno. Toteż poznawszy po omacku początkowe błędy optyki, można by dojść do dokładnego poznania jakiejś istoty, o ile to poznanie jest możliwe. Ale nie jest możliwe; bo podczas gdy korygujemy naszą wizję tej osoby, ona sama, nie będąc martwym obiektem, zmienia się znowuż; chcemy ją pochwycić, ona zmienia miejsce, i myśląc, że ją widzimy nareszcie

jaśniej, pochwyciliśmy jedynie jej dawne obrazy, które zdołaliśmy oświetlić, ale które jej już nie przedstawiają.

Jednakowoż, jakie bądź nieuniknione zawody ma przynieść ów krok ku temu, cośmy jedynie na chwilę ujrzeni, cośmy mieli możność sobie wyroić, krok ten jest jedyny zdrowy dla zmysłów, podsycający ich apetyt. Jakąż tępą nudą nacechowane jest życie ludzi, co przez lenistwo lub trwożliwość udają się wprost powozem do przyjaciół, których poznali, nie marząc wprzód o nich, nie śmiejąc nigdy w drodze zatrzymać się przy tym, czego pragną.

Wróciłem, myśląc o tym podwieczorku, widząc ciastko z kremem, które skończyłem jeść, zanim się zdecydowałem podejść z Elstirem do Albertyny, różę ofiarowaną starszemu panu, wszystkie szczegóły wybrane bez naszej wiedzy przez okoliczności i składające dla nas, w specjalnej i przypadkowej kompozycji, obraz pierwszego spotkania. Ale miałem wrażenie, że oglądam ten obraz z innego punktu widzenia, z bardzo daleka od samego siebie, zrozumiałem, że on istniał nie tylko dla mnie, kiedy w kilka miesięcy później, ku memu zdumieniu, gdym mówił Albertynie o pierwszym dniu, w którym ją poznałem, ona przypominała mi ciastko, ofiarowany kwiat, wszystko... Myślałem, iż to wszystko było, nie mogę powiedzieć, ważne tylko dla mnie, ale spostrzeżone tylko przeze mnie; otóż odnajdywałem to — w wersji, której istnienia nie podejrzewałem — w myśli Albertyny. Od tego pierwszego dnia, kiedy, wróciwszy do domu, mogłem oglądać wspomnienie, jakie wyniosłem, zrozumiałem, co za kuglarską sztuczkę świetnie wykonano i w jaki sposób rozmawiałem przez chwilę z osobą, która, dzięki zręczności prestidigitatora, nie mając nic wspólnego z ową tak długo ściganą nad morzem, została zamiast niej podstawiona. Mogłem to zresztą zgadnąć z góry, skoro dziewczynę z plaży stworzyłem ja sam. Mimo to, ponieważ w rozmowach z Elstirem utożsamiałem ją z Albertyną, czułem wobec prawdziwej Albertyny moralny obowiązek dotrzymania przyrzeczeń miłości danych Albertynie urojonej. Człowiek się zaręcza przez prokurację i czuje się w obowiązku zaślubić potem osobę podsuniętą. Zresztą o ile znikł, prowizorycznie bodaj, z mojego życia ucisk serca, do którego ukojenia wystarczyłyby pamięć poprawnych manier, zwrotu: „absolutnie pospolita” oraz błyszczącej skroni Albertyny, wspomnienie to budziło we mnie inny rodzaj pragnienia. Pragnienie to, mimo iż słodkie i wcale nie bolesne, podobne do uczucia braterskiego, mogło się z czasem stać równie niebezpieczne, rodząc we mnie ciągłą chęć ucałowania tej nowej osoby, której dobre manieri i nieśmiałość — i nieoczekiwana rozporządzalność wstrzymywały zbyt szybki pęd mojej wyobraźni, dając początek tkliwej wdzięczności. Zresztą ponieważ pamięć zaczyna od razu zdejmować klisze niezależne od siebie wzajem, usuwając wszelki związek, wszelką progresję między obrazami, ostatnia klisza nie niszczy poprzednich z kolekcji. W obliczu wzruszającej i banalnej Albertyny, z którą rozmawiałem, widziałem tajemniczą Albertynę znad morza. Były to już wspomnienia, to znaczy obrazy, z których jeden nie wydawał mi się prawdziwszy niż drugi.

Ale dokończmy tych wspomnień, to znaczy obrazów pierwszego dnia prezentacji. Starając się wywołać w pamięci mały pieprzyk pod okiem, przypominałem sobie, że raz z okna Elstira, kiedy Albertyna odchodziła, widziałem u niej ten pieprzyk na brodzie. W rezultacie, kiedy ją widział, zauważyłem, że ma pieprzyk, ale moja wędrowną pamięć wodziła go potem po twarzy Albertyny i mieściła go tu, to tam.

Czułem się dosyć rozczarowany, znajdując w pannie Simonet panienkę zbyt mało różną od tych, które znałem. Mimo to, jak mój zawód przed kościołem w Balbec nie przeszkadzał mi pragnąć ujżenia Quimperlé, Pontaven i Wenecji, tak powiadałem sobie, że o ile sama Albertyna nie jest tym, czegom się spodziewał, będę mógł przynajmniej poznać przez nią jej przyjaciółki, całą gromadkę.

Myślałem zrazu, że mi się to nie uda. Ponieważ i ja, i Albertyna mieliśmy zostać jeszcze długo w Balbec, uważałem, że lepiej będzie nie starać się zbyt jej zobaczyć, czekając sposobności, która mi ją pozwoli spotkać. Ale choćby się to zdarzało co dzień, można się było bardzo obawiać, że ona poprzestanie na oddaniu mi z dala mego ukłonu, który w takim razie, choćby powtarzany codziennie przez cały sezon, nie doprowadziłby do niczego.

Niedługo potem, pewnego rana, kiedy deszcz padał i kiedy było prawie zimno, zaczęła mnie na promenadzie młoda dziewczyna w toczku i z mufką, tak odmienna od tej, którą widziałem u Elstira, że poznać w niej tę samą osobę zdawało się niemożliwą ope-

racją intelektualną; umysł mój dokonał tej operacji, ale po sekundzie zdziwienia, które, zdaje mi się, nie uszło uwagi Albertyny. Z drugiej strony, przypominając sobie jej „dobre maniere”, które mnie uderzyły, zdziwiłem się, przeciwnie, jej szorstkim tonem i stylem „bandy”. Zresztą skroń przestała być optycznym i uspokajającym centrum jej twarzy, bądź że stałem z innej strony, bądź że zasłonił ją toczek, bądź też że ten stan zapalny nie był czymś trwałym.

— Co za czas — rzekła do mnie — w gruncie rzeczy, to wieczne lato w Balbec, to ostra bujda. Pan nic nie robi tutaj? Nigdy się pana nie widzi na golfie, na balu w kasynie, konno pan też nie jeździ? Musi się pan nudzić jak mops. Nie uważa pan, że człowiek kretynieje, tkwiąc tak cały czas na plaży? A, pan lubi robić jaszczurkę na piasku. Ma pan zresztą czas. Widzę, że pan nie jest jak ja, ja uwielbiam wszystkie sporty! Nie był pan na wyścigach w Sogne? Myśmy tam pojechały tramwajem; rozumiem, że pana nie bawi dosiadać takiego żółwia! Tryndałyśmy się dwie godziny! Byłabym tam zajechała i wróciła trzy razy na bicyklu.

Ja, który podziwiałem Roberta, kiedy lokalną kolejkę żelazną nazywał całkiem naturalnie „samowarek” z powodu jej lokomotywy, czułem się onieśmielony łatwością, z jaką Albertyna mówiła „tramwajans” i „tryndać się”. Czułem jej mistrzostwo w gwarze, bojąc się równocześnie, aby nie stwierdziła ze wzgardą mojej w tym niższości. A jeszcze nie znałem wówczas całego bogactwa synonimów, jakie posiadała „banda” na określenie tej kolejki żelaznej. Mówiąc, Albertyna trzymała głowę nieruchomo, ściskając nozdrza, poruszała jedynie końcem warg. Wynikał z tego dźwięk przeciągły i nosowy, w którego skład wchodziły może dziedziczności prowincjonalne, młodzieńcza afektacja angielskiej flegmy, lekcje nauczycielki-cudzoziemki i przerost błony śluzowej nosa, połączony z obrzękiem. Ta emisja głosu, która ustępowała zresztą prędko, kiedy Albertyna знаła kogoś bliżej i stawała się naturalnie dziecinna, mogłaby uchodzić za nieprzyjemną. Ale była niezwykła, zachwycała mnie. Za każdym razem, kiedy przez kilka dni nie spotkał Albertyny, podniecałem się, powtarzając sobie: „Nie widzi się pana nigdy na golfie”, nosowym tonem, jakim ona to wyrzekła, wyprostowana, nie ruszając głową. I myślałem wówczas, że nie ma w świecie osoby bardziej upragnionej.

Tworzyliśmy tego rana jedną z owych par, które urozmaicają tu i ówdzie promenadę swoimi spotkaniami, przystawaniem, ot tyle, aby wymienić kilka słów, zanim się rozłączą, podejmując każde oddzielnie swoją przechadzkę. Skorzystałem z tej nieruchomości, aby odkryć i stwierdzić ostatecznie, gdzie się znajduje pieprzyk. Otóż, jak fraza Vinteuila, która mnie oczarowała w jego sonacie i której pamięć moja pozwalała błędzić od andante do finału, aż do dnia, gdy mając partycję w ręce, mogłem ją odnaleźć i unieruchomić we wspomnieniu na właściwym miejscu, w scherzo, tak samo pieprzyk, który sobie przypominałem to na policzku, to na brodzie, zatrzymał się na zawsze na górnej wardze pod nosem. W taki sam sposób odnajdujemy ze zdumieniem wiersze, które umiemy na pamięć, w utworze, gdzie nie podejrzewaliśmy ich istnienia.

W tej chwili, jak gdyby po to, aby cały bogaty dekoratywny zespół, piękny orszak dziewic, złocistych wraz i różowych, spalonych słońcem i wiatrem, rozwinął się swobodnie na tle morza, w różnaitości swoich form, przyjaciółki Albertyny, pięknonogie, gibkie, ale tak różne od siebie, zjawily się całą gromadką, posuwając się ku nam po linii równoległej do morza. Poprosiłem Albertynę, abym jej mógł towarzyszyć przez kilka chwil. Na nieszczęście, zadowolila się pozdrowieniem towarzyszek ręką.

— Ale pani przyjaciółki będą się czuły pokrzywdzone, jeśli je pani opuści — rzekłem w nadziei, że pospacerujemy razem.

Młody człowiek o regularnych rysach, niosący rakiety, zbliżył się do nas. Był to gracz w bakarata, którego szaleństwa tak oburzały żonę prezydenta. Z chłodną i obojętną miną, w której zapewne widział szczyt dystynkcji, przywitał się z Albertyną.

— Wracasz z golfa, Oktawie? — spytała. — Czy dobrze poszło, jesteś w dobrej formie?

— Och, obrzydliwie, naprali mnie — odparł.

— Czy Anna była?

— Tak, zrobiła siedemdziesiąt siedem.

— Och, ależ to rekord!

— Ja zrobiłem osiemdziesiąt dwa wczoraj.

Był to syn bardzo bogatego przemysłowca, mającego odgrywać dość ważną rolę w organizacji najbliższej Wystawy Powszechnej. Uderzyło mnie, do jakiego stopnia u tego młodego człowieka i u innych nielicznych męskich przyjaciół tych młodych dziewcząt znajomość wszystkiego, co się tyczyło stroju, mód, cygar, angielskich napoi, koni — znajomość, którą ów Oktaw posiadał w najdrobniejszych szczegółach z dumną nieomylnością, sięgającą cichej skromności uczonego — rozwinęła się samoistnie, bez wkładu najmniejszej kultury intelektualnej. Nie miał żadnych wahań co do odpowiedności smokinga lub pidżamy, ale nie znał właściwego użytku jakiegoś słowa, nie znał nawet najprostszych reguł języka. Ta sama rozbieżność dwóch kultur musiała istnieć u jego ojca, prezesa syndykatu właścicieli realności w Balbec, gdyż w liście otwartym do wyborców, który kazał właśnie rozlepić na wszystkich murach, oświadczył: „Udałem się do mera, aby go poinformować, nie chciałem wysłuchać moich słusznych zarzutów”. Oktaw zdobywał w kasynie nagrody na wszystkich konkursach bostona, tanga etc., co mogło mu przynieść korzystne małżeństwo w tym środowisku „kąpielowym”, gdzie nie w przenośni, ale dosłownie młode panny wychodzą za swoich „danserów”. Zapalił cygaro, mówiąc do Albertyny: „Pozwoli pani”, tak jak się, rozmawiając, prosi o pozwolenie dokończenia pilnej roboty. Bo nie mógł nigdy zostać ani chwili „nic nie robiąc”, mimo zresztą że nigdy nie robił nic. Że zaś całkowita beczynność — równie dobrze w dziedzinie ducha jak w życiu ciała i mięśni — ma w końcu te same skutki co przesadna praca, stała nicosć intelektualna mieszkająca pod myślącym czołem Oktawa zaszczerpiła mu w końcu, mimo jego spokojnego wyrazu twarzy, jałową świerzbiczkę myślenia, która w nocy nie dawała mu spać, tak jak to mogłoby się zdarzyć przepracowanemu filozofowi.

Myśląc, iż gdybym znał ich przyjaciół, miałbym więcej sposobności widywania tych dziewcząt, miałem już prosić Albertyny, aby mnie przedstawiła Oktawowi. Powiedziałem jej to, skoro odszedł, powtarzając: „naprali mnie”. Chciałem jej podsunąć tę myśl na następny raz.

— Cóż znowu — wykrzyknęła — nie mogę pana przedstawiać żigolakowi. Tutaj roi się od żigolaków. Ależ oni nie mieliby o czym rozmawiać z panem. Ten gra bardzo dobrze w golfa, punktum, kropka. Znam się na tym, to nie byłby zupełnie pana rodzaj.

— Pani przyjaciółki będą się czuły pokrzywdzone, jeżeli je pani tak zostawi — rzekłem w nadziei, że mi zaproponuje, abysmy do nich podeszli.

— Ale nie, one wcale mnie nie potrzebują.

Minęliśmy Blocha, który obrzucił mnie sprytnym i znaczącym uśmiechem, po czym, zakłopotany widokiem Albertyny, której nie znał lub przynajmniej znał „ot tak”, wsunął głowę w kołnierz sztywnym i niechętnym ruchem.

— Jak się nazywa ten Arab? — spytała Albertyna. — Nie wiem, czemu on mi się kłania, kiedy mnie nie zna. Toteż mu się nie odkloniłam.

Nie miałem czasu odpowiedzieć, bo Bloch podeszedł prosto do nas i rzekł:

— Daruj mi, że ci przerywam, ale chciałem cię uprzedzić, że jutro jadę do Doncières. Nie mogę dłużej zwlekać bez niegrzeczności; doprawdy sam nie wiem, co Saint-Loup-en-Bray musi o mnie myśleć. Uprzedzam cię, że jadę pociągiem o drugiej. Zrób, jak zechcesz.

Ale ja już myślałem tylko o tym, aby znów spotkać Albertynę i poznać jej przyjaciółki. Doncières wydawało mi się na końcu świata; one tam nie jechały, ja zaś, wróciwszy stamtąd, nie zastałbym ich już na plaży. Powiedziałem Blochowi, że niepodobna mi jechać.

— Więc dobrze, jadę sam. Wedle dwóch pociesznych aleksandrynow imć pana Arouet de Voltaire, powiem margrabiemu de Saint-Loup, aby pogłaskać jego klerikalizm: „Wiedz, że moja powinność idzie swoją drogą, mnie jej chybić nie wolno, chociaż inni mogą”.

— Uznaję, że jest dość ładny chłopiec — rzekła Albertyna — ale jak on mnie brzydzi!

Nigdy nie pomyślałem, aby Bloch mógł być ładnym chłopcem; był nim w istocie. Z głową nieco zbyt wydatną, z nosem bardzo garbatym, z miną nadzwyczaj sprytną i przeświadczoną o swoim sprycie, twarz miał przyjemną. Ale nie mógł się podobać Albertynie. Wynikało to może zresztą z jej złych stron, z twardości, z nieczułości małej gromadki, z jej brutalności wobec wszystkiego poza nią. Później zresztą, kiedy ich zapoznałem z sobą, antypatia Albertyny nie zmniejszyła się. Bloch należał do kół, gdzie między bufonadą

uprawianą w salonach a dostatecznym mimo to szacunkiem dla dobrych manier, obowiązujących człowieka mającego „czyste ręce”, uczyniono rodzaj specjalnego kompromisu różniącego się od manier „świata”, a będącego mimo to osobliwie antypatycznym rodzajem światowości. Kiedy go komuś przedstawiano, Bloch kłaniał się ze sceptycznym uśmiechem, a równocześnie z przesadnym szacunkiem; jeżeli to był mężczyzna, mówił: „Bardzo mi przyjemnie” głosem, który drwił sobie z wypowiedzianych słów, ale z poczuciem, że wychodzi z ust człowieka pełnego dystynkcji. Oddawszy tę pierwszą chwilę zwyczajowi, którego przestrzegał i z którego drwił sobie równocześnie (tak jak mówił na Nowy Rok: „Życzę panu szczęścia i pomyślności”), Bloch przybierał sprytną minę i „wygłaszał rzeczy subtelne”, często pełne prawdy, ale „dające na nerwy” Albertynie. Kiedy jej powiedział pierwszego dnia, że on się nazywa Bloch, wykrzyknęła: „Byłabym się założyła, że to Żyd. Tacy wciskają się wszędzie, jak pluskwy”. Zresztą w przyszłości Bloch miał drażnić Albertynę na inny sposób. Jak wielu intelektualistów, nie umiał mówić po prostu rzeczy prostych. Na wszystko znajdował pretensjonalne określenie, przy czym uogólniał. To nudziło Albertynę, nie bardzo lubiącą, aby się zajmowano tym, co ona robi. Gdy raz skręciła nogę i skazana była na nieruchomość, Bloch powiedział: „Spoczywa na leżaku, ale mocą swojej wszechobecności nie przestaje równocześnie błądzić po mglistych golfach i zagadkowych tenisach”. To była tylko „literatura”, ale z powodu kłopotów, jakich mogła narobić Albertynie z osobami, od których zaproszeń się wymówiła, powiadając, że się nie może ruszać, wystarczyło to, aby zniecierpiała fizys i głos osobnika mówiącego te rzeczy.

Rozstaliśmy się z Albertyną, przyrzekając sobie kiedyś pójść gdzie razem. Rozmawiałem z nią, tak samo nie wiedząc, gdzie padają moje słowa i co się z nimi dzieje, co gdybym rzucał kamyczek w otchłań bez dna. Że na ogół osoba, do której je zwracamy, wypełnia je sensem, dobytym z własnej jej istoty, bardzo różnym od sensu włożonego przez nas w te same słowa, to fakt, potwierdzany wciąż przez życie. Ale jeżeli, co więcej, znajdziemy się wobec osoby, której wychowanie (jak dla mnie wychowanie Albertyny) jest nieodgadnione, której skłonności, lektury, zasady są nam nieznane, nie wiemy, czy nasze słowa wywołują w niej coś mającego z nimi związek, bardziej niż u zwierzęcia, któremu można by przecież dać zrozumieć pewne rzeczy. Tak iż próba zbliżenia się z Albertyną wydawała mi się zetknięciem jeśli nie z Niemożliwym, to z Nieznanym; ćwiczeniem równie trudnym jak tresować konia, równie odprężającym jak hodować pszczoły lub róże.

Kilka godzin przedtem myślałem, że Albertyna odpowie na mój ukłon jedynie z daleka. Rozstaliśmy się, robiąc projekty wspólnej wycieczki. Przyrzekłem sobie być śmielszy, kiedy znów spotkam Albertynę; obmyśliłem plan wszystkiego, co jej powiem, a nawet (teraz, kiedy zyskał przeświadczenie, że ona musi być łatwa) wszystkich słodyczy, jakich od niej zażądam. Ale duch ulega wpływom, jak roślina, jak komórka, jak składniki chemiczne, a środowiskiem, które go zmienia, gdy go w nie zanurzymy, są okoliczności, nowa rama. Kiedy się znalazł z Albertyną, wówczas, stawszy się innym przez fakt jej obecności, mówiłem jej całkiem co innego niż zamierzyłem. Potem, przypominając sobie zaognioną skroń, zastanawiałem się, czy Albertyna nie więcej ceni uprzejmość, o której by wiedziała, że jest bezinteresowna. A wreszcie czułem się zakłopotany wobec niektórych jej spojrzeń, uśmiechów. Mogły oznaczać łatwość, lecz także dziecinne rozbawienie młodej dziewczyny, żywej, ale o uczciwym gruncie. Ten sam wyraz w fizjonomii czy mowie może mieć różne znaczenia; wahałem się niby uczeń wobec trudności greckiego tekstu.

Tym razem spotkaliśmy prawie zaraz ową „dużą”, Annę — tę, co skoczyła przez prezydenta sądu. Albertyna musiała mnie przedstawić. Przyjaciółka jej miała oczy bardzo jasne, niby w mrocznym mieszkaniu otwarte drzwi pokoju, do którego wchodzi słońce i zielonkawy odbłask promiennego morza.

Minęło nas pięciu panów, których znałem bardzo dobrze z widzenia, odkąd byłem w Balbec. Często zastanawiałem się, kto by to mógł być.

— To nie są ludzie zbyt eleganccy — rzekła Albertyna podśmiewając się wzgardliwie. — Ten mały stary, w żółtych rękawiczkach, ładny kwiatek, he? niech go drzwi ścisną, to dentysta z Balbec, zacne *homo*; ten gruby to mer; nie ten najmniejszy grubas, którego pan już musiał widzieć, to nauczyciel tańców; także dobry patalch, nie może nas znosić, że za wiele robimy hałasu w kasynie, że niszczy mu krzesła, że chcemy tańczyć bez dywanu, toteż nigdy nie dał nam nagrody, mimo że my jedne tam umiemy tańczyć. Dentysta to dobre człeczysko; byłabym mu się ukloniła, żeby wściec nauczyciela tańca, ale nie mogłam,

bo był z nimi pan de Sainte-Croix, generalny radca, człowiek z bardzo dobrej rodziny, który przeszedł do republikanów za pieniądze, nikt przyzwoity mu się nie kłania. Zna mojego wuja, niby „z powodu rząd”, ale reszta mojej rodziny wypięła się na niego. Ten chudy w nieprzemakalnym płaszczu to kapelmistrz. Jak to, nie zna go pan! Bosko gra. Nie był pan posłuchać *Cavalleria rusticana*? Och, mnie się to wydaje szczyt. Daje koncert dziś wieczór, ale nie możemy iść, bo to się odbywa w merostwie. W kasynie to obleci, ale w sali merostwa, skąd usunięto krzyż, matkę Anny trafilyby szlag, gdybyśmy tam poszły. Powie mi pan, że mąż mojej ciotki jest w rządzie. Cóż pan chce! Ciotka to ciotka. I nie za to ją kocham! Miała zawsze tylko jedno pragnienie: pozbyć się mnie. Osoba, która naprawdę zastąpiła mi matkę i która ma podwójną zasługę, bo nie jest mi niczym, to pewna przyjaciółka, którą kocham zresztą jak matkę. Pokażę panu jej fotos.

Na chwilę podszedł do nas szampion golfa i bakarata, Oktaw. Sądziłem, że odkrył jakiś punkt styczności między nami, bo dowiedziałem się w rozmowie, że on jest trochę krewny Verdurinów i że go nawet dosyć lubią. Ale on mówił z lekceważeniem o sławnych *środach* i dodał, że pan Verdurin nie zna użytku smokingu, co czyni dosyć kłopotliwym spotkanie go w pewnych music-hallach, gdzie wolałoby się nie słyszeć okrzyków: „jak się masz, smarkaty” wydawanych przez pana w marynarce i w czarnym krawacie z miną prowincjonalnego rejenta. Potem Oktaw pożegnał nas, z kolei pożegnała się Anna, która doszła do willi, gdzie mieszkała, nie odezwawszy się do mnie w ciągu całej przechadzki ani słowa. Zwróciłem uwagę Albertyny, jaka jej przyjaciółka była ze mną chłodna. Wyrażną niechęć Albertyny do tego, aby mnie zapoznać z przyjaciółkami, zestawiałem w myśli z wrogością, na jaką musiał się natknąć pierwszego dnia Elstir, kiedy chciał ziszczyć moje pragnienie.

Załowałem tym bardziej odejścia Anny, gdyż w tej samej chwili minęły nas młode panny, którym się ukloniłem, panny d'Ambresac; Albertyna pozdrowiła je również. Myślałem, że to poprawi moją sytuację wobec Albertyny. To były córki krewniaczki pani de Villeparisis, znające również panią de Luxembourg. Państwo d'Ambresac, mający willę w Balbec, nadzwyczaj bogaci, prowadzili życie bardzo skromne; mąż zawsze w jednej i tej samej marynarce, żona w ciemnej sukni. Oboje składali mojej babce głębokie ukłony, nieprowadzące do niczego. Córki, bardzo ładne, ubierały się z większą elegancją, ale elegancją miejską, nie kąpielową. W swoich długich sukniach i wielkich kapeluszach zdawały się należeć do innej ludzkości niż Albertyna. Ona wiedziała bardzo dobrze, kto to jest.

— A, pan zna młode d'Ambresac? Nie ma co, zna pan ludzi bardzo szykownych. Zresztą oni są bardzo prości — dodała, tak jakby to były rzeczy sprzeczne z sobą. — One są milutkie, ale tak dobrze wychowane, że rodzice nie puszczają ich do kasyna, zwłaszcza z powodu nas, niby że my jesteśmy zanadto skandaliczne. Podobają się panu? Ba, to zależy. Istne białe gąski, to może ma swój wdzięk. Jeżeli pan lubi białe gąski... Zdaje się, że mogą się podobać, skoro jedna już jest zaręczona z margrabią de Saint-Loup. To bardzo martwi młodszą, która się kochała w tymże. Mnie denerwuje sam ich sposób mówienia z zamkniętymi ustami. Przy tym ubierają się śmiesznie. Grają w golfa w jedwabnych sukniach! W swoim wieku ubierają się pretensjonalniej niż starsze kobiety, kiedy się umieją ubrać. Ot, pani Elstir, oto kobieta elegancka.

Odpowiedziałem, że mi się zdaje, iż pani Elstir ubiera się bardzo skromnie. Albertyna zaczęła się śmiać.

— Ubiera się bardzo skromnie, to prawda, ale ubiera się cudownie i aby osiągnąć to, co pan nazywa „skromnie”, wydaje szalone pieniądze.

Suknie pani Elstir uchodziły uwagi kogoś, kto nie miał niezawodnego i dyskretnego smaku w sprawach toalety. Brakowało mi tego zmysłu. Elstir miał go w najwyższym stopniu, zdaniem Albertyny. Nie byłbym się domyślił ani tego, iż rzeczy wytworne lecz proste, wypełniające jego pracownię, to były cudy od dawna upragnione przez niego, tropił je po licytacjach, znał całą ich historię, aż do dnia, gdy zarobił dość pieniędzy, aby je móc posiadać. Ale na tym punkcie Albertyna była równie ciemna jak ja, nie mogła mnie oświecić. Natomiast co do toalet, oświecona instynktem kokietki i może żalem ubogiej dziewczyny, bezinteresowniej i subtelniej smakującej u bogaczy to, w co nie będzie mogła się wystroić sama, umiała mówić bardzo ciekawie o wyrafinowaniu Elstira. Był tak wybredny, że każda kobieta wydawała mu się źle ubrana; mieszcząc całe światy

w proporcjach, w odcieniach, kazał robić dla swojej żony za szalone pieniądze umbrelki, kapelusze, płaszcze, zarazem uczył Albertynę rozumieć ich piękno, którego człowiek bez smaku nie zauważyłby tak samo jak ja. Poza tym Albertyna, która malowała trochę, nie mając zresztą, jak sama przyznawała, żadnego „daru”, bardzo podziwiała Elstira i dzięki temu, co on jej mówił i pokazywał, znała się na obrazach w sposób wielce odbijający od jej entuzjazmu dla *Cavalleria rusticana*. W istocie bowiem, mimo iż tego prawie jeszcze nie było znać, była bardzo inteligentna, a w tym, co mówiła, głupota była własnością nie jej, lecz raczej jej sfery i wieku. Elstir miał na nią wpływ szczęśliwy, ale cząstkowy. Nie wszystkie formy inteligencji osiągnęły w Albertynie jednaki stopień rozwoju. Jej gust w malarstwie prawie dogonił smak w toalecie i wszystkich formach elegancji, ale nie pociągnął za sobą gustu w muzyce, który pozostał bardzo w tyle.

Daremnie Albertyna wiedziała, kto są państwo Ambresac; mimo legitymacji z wysokich stosunków zawartej w moim ukłonie oddanym tym pannom, nie widziałem, aby była skłonniejsza zapoznać mnie z przyjaciółkami.

— Za wiele pan sobie z nich robi, doprawdy. Niech pan na nie nie zwraca uwagi, to jest wielkie nic. Co takie smarkule mogą znaczyć dla człowieka pańskiej wartości. Anna jest przynajmniej wybitnie inteligentna. To dobra dziewczyna, chociaż jest absolutna wariatka, ale tamte są doprawdy bardzo głupie.

Rozstawszy się z Albertyną, odczułem nagle żywą przykrość z powodu tego, że Saint-Loup zataił mi swoje zareczyny i że robi rzecz tak nieładną, żeniąc się, nie zerwawszy wprzód z kochanką. W kilka dni potem przedstawiono mnie Annie i rozmawialiśmy z sobą dość długo; skorzystałem z tego, aby powiedzieć, że bardzo bym pragnął ujrzeć ją nazajutrz; odpowiedziała, że to niemożliwe, bo matka jej ma się niezbyt dobrze i nie chciałaby jej zostawiać samej. W dwa dni potem, kiedy zaszedł do Elstira, powiedział mi, że Anna ma dla mnie wiele sympatii, na co odrzekłem:

— Ależ to ja mam dla niej wiele sympatii od pierwszego dnia; chciałem ją zobaczyć zaraz nazajutrz, ale nie mogła.

— Tak, wiem, mówiła mi — rzekł Elstir — dosyć tego żałowała, ale obiecała się na piknik o parę mil stąd, miała tam jechać breakiem i nie mogła zrobić zawodu.

Mimo że to kłamstwo było, wobec naszej nikłej znajomości, bardzo niewinne, nie powinienem był utrzymywać dalszych stosunków z osobą do niego zdolną. Bo co ktoś raz zrobił, będzie to powtarzał w nieskończoność. I jeżeli się wybierzemy co roku, aby się spotkać z przyjacielem, który za pierwszym razem nie mógł przyjść na schadzkę lub był zakatarzony, trafimy na jego nowy katar, zrobi nam zawód przy nowym spotkaniu, na które znów nie przyjdzie, dla tej samej i ciągłej przyczyny, w której miejsce znajdzie rozmaite powody dostrojone do okoliczności.

Wkrótce po owym dniu, kiedy Anna powiedziała mi, że musi zostać z matką, spacerowałem trochę z Albertyną; spostrzegłem ją podzucającą na sznurku dziwaczny przedmiot, który czynił ją podobną do *Batwochwalstwa* Giotta: nazywa się „diabolo” i tak dalece uległ zapomnieniu, że przed portretem młodej dziewczyny trzymającej ten instrument przyszli komentatorowie będą mogli rozprawiać jak przed jakąś alegoryczną figurą z Santa Maria dell’Arena, zastanawiając się, co ona ma w ręce. Po chwili przyjaciółka ich, o wyglądzie ubogim i twardym, ta, co pierwszego dnia śmiała się tak złośliwie: „Żal mi tego starego”, mówiąc o starszym panu muśniętym lekkimi stopami Anny, podeszła do Albertyny: „Dzień dobry, przeszkadzam państwu?”. Zdjęła kapelusz, który jej zawadzał, i włosy jej niby jakaś uroczą i nieznaną roślinność pokrywały jej czoło w drobiazgowej subtelności swego ulistnienia. Albertyna, może podrażniona tym obnażeniem głowy, nie odpowiedziała nic, zachowała lodowate milczenie, mimo którego tamta została. Ale Albertyna trzymała ją na odległość ode mnie, to idąc z nią sama, to znów zbliżając się do mnie, a zostawiając przyjaciółkę w tyle. Aby uzyskać to, żeby mnie przedstawiła, musiałem wręcz poprosić Albertyny wobec tamtej. Wówczas w chwili, gdy wymieniła moje nazwisko, na twarzy i w niebieskich oczach owej dziewczyny, która mi się wydała tak okrutna, gdy mówiła: „Biedny stary, żal mi go”, ujrzałem przebłysk serdecznego i przyjaznego uśmiechu, z jakim wyciągnęła do mnie rękę. Włosy miała złociste i nie tylko włosy; bo jeżeli policzki jej były różowe, a oczy niebieskie, robiło to wrażenie nieba jeszcze zaróżowionego porankiem, gdzie wszędzie przebija i błyszczą złoto.

Zapalając się natychmiast, powiedziałem sobie, że to jest dziecko nieśmiałe, gdy kocha, i że to dla mnie, przez miłość dla mnie, została z nami mimo opryskliwości Albertyny. Musiała się czuć szczęśliwa, mogąc mi wyznać wreszcie tym pocziwym i uśmiechniętym spojrzeniem, że byłaby równie słodka dla mnie jak groźna dla innych. Z pewnością zauważyła mnie na plaży, kiedy jej jeszcze nie znałem i myślała od tego czasu o mnie; może to dlatego, aby obudzić mój podziw, drwiła sobie ze starego pana i może dlatego, że się jej nie udało mnie poznać, miała przez następne dni tak smutną minę. Z hotelu widziałem ją często, przechadzającą się wieczorem po plaży. Prawdopodobnie czyniła to w nadziei ujrzenia mnie. A teraz, skępowana obecnością Albertyny, tak samo jak byłaby skępowana obecnością całej gromadki, czepiała się nas oczywiście, mimo coraz chłodniejszej postawy przyjaciółki, jedynie w nadziei przeczekania jej, umówienia się na chwilę, kiedy się zdoła wymknąć bez wiedzy rodziny i towarzyszek i spotkać się ze mną w bezpiecznym miejscu przed mszą lub po golfie. Tym trudniej było ją zobaczyć, gdyż Anna była z nią źle i nie cierpiała jej.

— Długo znosiłam jej straszliwy fałsz — mówiła do mnie — jej podłość, niezliczone świństwa, które mi robiła. Wszystko znosiłam przez wzgląd na inne. Ale ostatni jej kawał przepełnił miarę.

I opowiedziała mi plotkę, jaką zrobiła ta dziewczyna i która w istocie mogła zaszkodzić Annie.

Ale owych słów przyrzeczonych mi spojrzeniem na chwilę, gdy Albertyna zostawi nas razem, Gizela nie miała możliwości powiedzieć, ponieważ Albertyna tkwiła uparcie między nami, odpowiadając coraz krócej, a potem przestawszy w ogóle odpowiadać na zagadywania przyjaciółki. Wreszcie Gizela dała za wygraną. Wyrzucałem Albertynie, że była taka nieuprzejma.

— To ją nauczy być delikatniejszą. To nie jest zła dziewczyna, ale strasznie piłowata. Musi wtykać nos wszędzie. Czemu się lepi do nas nieproszona. O mały włos, a byłabym ją posłała w diabły. Zresztą nie cierpię, że ona nosi włosy w ten sposób, to bardzo w złym guście.

Patrzałem na policzki Albertyny, gdy mówiła do mnie i myślałem, jaki zapach, jaki smak mogą mieć. Tego dnia była nie tyle świeża, ile gładka, różowo-fioletowo-śmietankowa, jak pewne róże mające połysk wosku. Byłem zapalony do nich, jak można się czasami zapalić do gatunku kwiatów.

— Nie zauważyłem tego — odparłem.

— A przecież dosyć się pan jej przyglądał; można by myśleć, że pan zamierza robić jej portret — rzekła Albertyna, nieulagodzona faktem, że w tej chwili przyglądałem się tak jej samej. — Nie sądzę zresztą, aby się ona panu podobała. Ona wcale nie jest flirciara. Pan musi lubić flirciary. W każdym razie nie będzie już miała sposobności lepić się ani dopraszać się o to, aby się ją splawiło, bo już jedzie do Paryża.

— I inne pani przyjaciółki również?

— Nie, tylko ona i miss, bo ona ma zdawać egzaminy, będzie musiała obkuwać, biedna smarkata. To nie jest wesołe, ręczę panu. Może się zdarzyć, że się trafi na dobry temat. To rzecz przypadku. Na przykład jedna z koleżanek miała: „Opowiedz wypadek, którego byłaś świadkiem”. To jest klawe. Ale znam dziewczynę, która miała opracować (i to jeszcze na piśmie): „Kogo wolałbyś mieć za przyjaciela, Alcesta czy Filinta?”. Pociłabym się nad tym! Najpierw, pomijając wszystko inne, to nie jest pytanie właściwe dla młodych panien. Dziewczęta przyjaźnią się z innymi dziewczętami i nie uznaje się w zasadzie, aby miały sobie dobierać przyjaciół wśród panów. — (Zdanie to, wykazując mi nikłość moich szans, abym się dostał do „bandy”, przejęło mnie drżeniem.) — Ale w każdym razie, nawet gdyby ten problem postawiono młodym ludziom, co pan chce, żeby można wymyślić na ten temat? Wielu rodziców napisało do „Gaulois”, skarżąc się na trudność podobnych pytań. Paradne jest, że w zbiorze najlepszych zadań laureatów potraktowano dwa razy ten przedmiot w sposób absolutnie sprzeczny. Wszystko zależy od egzaminatora. Jeden chciał, żeby powiedzieć, iż Filint jest pochlebca i kret, drugi, że nie można odmówić podziwu Alcestowi, ale jest zbyt zgryźliwy i że na przyjaciela wolałoby się Filinta. Jak żądać, aby nieszczęsne uczennice się w tym wyznały, skoro profesorowie nie mogą się zgodzić? I to jeszcze nic, z każdym rokiem robi się trudniej. Gizela mogłaby się z tego wykręcić chyba fuksem.

Wróciłem do hotelu, babki nie było, czekałem długo, w końcu kiedy wróciła, błagałem ją, aby mi pozwoliła zrobić w nieoczekiwanych warunkach wycieczkę, która potrwa może dwie doby. Zjadłem śniadanie z babką, zamówiłem powóz i kazałem się zawieźć na dworzec. Gizela nie zdziwi się (tak myślałem) moim widokiem; skoro przesiądziemy się w Doncières, w paryskim pociągu jest wagon z korytarzem; gdy miss się zdrzemnie, będę mógł zaciągnąć Gizelę w ciemny kąt, umówić się z nią na Paryż po moim powrocie, który będę się starał możliwie przyspieszyć. Odwiózłbym ją do Caen lub do Évreux, jak zechce, i wróciłbym najbliższym pociągiem. Bądź co bądź, co by ona pomyślała, gdyby wiedziała, że ja się długo wahałem między nią a jej przyjaciółkami, że tak samo jak w niej, chciałem się kochać w Albertynie, w dziewczynie z jasnymi oczami, w Rozamondzie! Czulem wyrzuty teraz, kiedy wzajemna miłość miała mnie połączyć z Gizelą. Byłbym mógł zresztą upewnić ją bardzo szczerze, że Albertyna już mi się nie podoba. Widziałem ją dziś rano odchodzącą, obróconą do mnie niemal plecami, kiedy rozmawiała z Gizelą. Na jej głowie pochylonej jakby z dąsem, włosy związane z tyłu, jakieś inne i jeszcze ciemniejsze, błyszczały tak, jakby wyszła z wody. Pomyślałem o zmokłej kurze i te włosy tchnęły w Albertynę duszę inną, niż to uczyniła dotąd fioletowa twarz i tajemnicze spojrzenie. Te lśniące włosy na karku, to było wszystko, co z niej mogłem dostrzec przez chwilę, i to tylko widziałem nadal. Nasza pamięć podobna jest do sklepów, gdzie w oknie wystawia się raz tę, raz inną fotografię danej osoby. I zazwyczaj najświeższa zostaje przez jakiś czas sama jedna na wystawie.

Podczas gdy woźnica popędzał konia, słuchałem pełnych wdzięczności i czułych słów, jakie Gizela mi mówi, słów zrodzonych wyłącznie z jej przyjaznego uśmiechu i wyciągniętej dłoni; bo w okresach życia, kiedy nie byłem zakochany, a chciałem nim być, nosiłem w sobie nie tylko fizyczny ideał ujranej piękności, którą poznawałem z daleka w każdej spotkanej kobiecie na tyle odległej, aby jej zatarte rysy nie sprzeciwiały się tej identyfikacji, ale i idealne widmo — wciąż gotowe do wcielenia — kobiety, która miała mnie pokochać, miała być moją partnerką w komedii miłosnej, napisanej całkowicie w mojej głowie od czasu dzieciństwa. Wierzyłem, że każda sympatyczna młoda dziewczyna ma ochotę grać ją ze mną, byleby miała po trosze i fizyczne warunki roli. I jakakolwiek była nowa „gwiazda” powołana do kreowania lub powtórzenia roli, scenariusz, perypetie, nawet tekst, zachowywały formę *ne varietur*.

W kilka dni później, mimo biernego oporu Albertyny w zapoznaniu nas, znalazłem całą gromadkę pozostałą w komplecie w Balbec (z wyjątkiem Gizeli, której, wskutek długiego czekania przed szlabanem na dworcu oraz zmiany w rozkładzie jazdy, nie mogłem dopaść, pociąg odjechał na pięć minut przed moim przybyciem; zresztą nie myślałem już o Gizeli), co więcej parę ich przyjaciółek, z którymi zapoznały mnie na moją prośbę. W ten sposób, skoro nadzieja przyjemności przeczuwanych w nowo poznanej pochodziła od innej, przez którą poznałem tamtą, ostatnia była wówczas jak gdyby odmianą róży, uzyskaną dzięki róży innego gatunku. I posuwając się od korony do korony w tym łańcuchu kwiatów, przyjemność poznania odmiennego kwiatu kazała mi wracać do tego, któremu je byłem winien, z wdzięcznością zabarwioną pragnieniem w tym samym stopniu co moja świeża nadzieja. Niebawem spędzałem całe dni z tymi dziewczętami.

Niestety! w najświeższym kwiecie można dojrzeć niedostrzegalne punkty, znaczące dla świadomej myśli już to, co — przez wysychanie lub owocowanie tkanek dziś będących w kwiecie — stanie się niezmienną i już predestynowaną formą ziarna. Śledzimy z rozkoszą nosek podobny lekkiej fali, gdy rozkosznie wzdyma ranną wodę, prawie nieruchoma, o wyraźnym konturze, bo morze jest tak spokojne, że nie czujemy przypływu. Twarze ludzkie nie zmieniają się w chwili, gdy się na nie patrzy, bo przeobrażenie, jakiemu ulegają, jest zbyt powolne, tym samym niedostrzegalne. Ale wystarczyło widzieć obok tych młodych dziewcząt ich matkę lub ciotkę, aby zmierzyć odległość, jaką pod wewnętrznym naciskiem typu, przeważnie okropnego, rysy te przebędą w niespełna trzydzieści lat, aż do pory zblaknięcia spojrzeń, aż do godziny, gdy twarz, całkowicie zaszedłszy za horyzont, nie otrzymuje już światła. Wiedziałem, że pod różowym kwiatostanem Albertyny, Rozamondy, Anny, nieznanym im samym, trzymany jakby w zapasie na okazję, równie głęboki, równie nieuchronny jak patriotyzm żydowski lub atawizm chrześcijański u ludzi najbardziej zdawałoby się wyzwolonych ze swojej rasy, mieszka gruby nos, mieszkają wystające

usta, tusza prawie niepojęta, ale istniejąca w rzeczywistości za kulisami, gotowa wejść na scenę, całkiem tak samo jak jakiś dreyfusizm, jakiś klerykalizm, nagły, nieprzewidywany, konieczny, jak jakiś nacjonalistyczny i feudalny heroizm, wyrosłe na apel okoliczności z natury dawniejszej od samego indywiduum, przez którą ono myśli, żyje, rozwija się, krzepi się lub umiera, niezdolne jej odróżnić od poszczególnych pobudek, które bierze za nią. Nawet umysłowo o wiele bardziej, niż nam się zdaje, zależy od naturalnych praw; umysł nasz posiada, niby jakiś gatunek skrytopłciowy, niby jakieś trawy, pewne wrodzone właściwości, gdy nam się zdaje, że je wybieramy. Ale my ogarniamy jedynie wtórne idee, nie spostrzegając pierwotnej przyczyny (rasy żydowskiej, rodziny francuskiej etc.), która je nieodzownie zrodziła, a które my objawiamy w danym momencie. I może, jak *motylkowate* otrzymują kształt swego nasienia, tak my otrzymujemy od naszej rodziny zarówno idee, jakimi żyjemy, chorobę, od której umrzemy, mimo iż idee zdają się nam wynikiem rozwagi, a choroba skutkiem braku higieny.

Jak na łące, gdzie kwiaty dojrzewają w rozmaitych porach, widziałem w starszych damach, na tej plaży w Balbec, owe twarde ziarna, owe miękkie bulwy, jakimi moje przyjaciółki staną się pewnego dnia. Ale cóż to znaczyło? W tej chwili była pora kwiatów. Toteż kiedy pani de Villeparisis zapraszała mnie na przejażdżkę, szukałem wymówki, wykręcałem się. Odwiedzałem Elstira jedynie o tyle, o ile towarzyszyły mi moje nowe przyjaciółki. Nie mogłem nawet znaleźć popołudnia, aby się wybrać do Doncières do Roberta, jak mu to przyrzekłem. Zebrania towarzyskie, poważne rozmowy, nawet przyjacielska gawęda, o ile by trzeba dla nich poświęcić widzenie się z tymi dziewczętami, byłyby dla mnie tym samym, co gdyby w porze śniadania kazano komu nie jeść, ale oglądać album. Mężczyźni, młodzi ludzie, stare lub dojrzałe kobiety, których towarzystwo niby to lubimy, istnieją dla nas jedynie na płaskiej i niestałej powierzchni, bo wszystko to przyjmujemy do świadomości percepcją jedynie i wyłącznie wzrokową; ale do młodych dziewcząt zwraca się ona niby delegatka innych zmysłów; zmysły nasze szukają bezładnie rozmaitych pachnących, dotykalnych, smakowitych przymiotów, których kosztują nawet bez pomocy rąk i ust; zdolne, dzięki sztukom transpozycji, dzięki geniuszowi syntezy, w której celuje pragnienie, odtworzyć — poprzez kolor lic lub piersi — dotknięcie, smak, niedozwolone dotyki, zmysły nasze dają tym dziewczętom tę samą miodowo-słodką konsystencję, jak kiedy buszują w klombie róż lub w winnicy, gdzie zjadają grona oczami.

Kiedy deszcz padał, mimo iż niepogoda nie przerażała Albertyny, którą widziało się często w gumowym płaszczu pomykającą na rowerze w ulewę, spędzaliśmy czas w kasynie, dokąd nie iść wydawało mi się w owe dni niepodobieństwem. Czulem bezgraniczną wzdargę dla pańien d'Ambresac, które nigdy nie przestąpiły progu kasyna. I chętnie pomagałem swoim przyjaciółkom płatać psie figle nauczycielowi tańców. Spadały na nas zazwyczaj upomnienia gospodarza lub urzędników uzurpujących sobie dyktatorską władzę, bo moje przyjaciółki (nawet Anna, którą z tej przyczyny wziąłem pierwszego dnia za istotę tak dionizyjską, a która była, przeciwnie, wątłą intelektualistką i tego roku była bardzo cierpiącą, powodując się mimo to nie tyle swoim stanem zdrowia, ile duchem owego wieku, zwyciężającego wszystko i łączącego w wesołości chorych i zdrowych) nie mogły wejść do hallu, do sali zabaw, aby nie biegać, nie skakać przez wszystkie krzesła, nie ślizgać się przez całą długość sali, zachowując równowagę wdzięcznym ruchem ramion, śpiewając, łącząc w tej pierwszej młodości wszystkie sztuki, na sposób owych poetów z dawnych wieków, dla których rodzaje jeszcze nie uległy rozgraniczeniu i którzy w epicznym poemacie mieszają przepisy rolnicze z teologią.

Ta Anna, która mi się wydawała pierwszego dnia raczej chłodna, była nieskończenie delikatniejsza, serdeczniejsza, subtelniejsza niż Albertyna, którą otaczała pieśczośliwą i słodką czułością starszej siostry. Siadała w kasynie obok mnie i umiała — w przeciwieństwie do Albertyny — odmówić tury walca lub nawet, jeżeli byłem zmęczony, wyrzec się pójścia do kasyna, po to aby zająć do mnie do hotelu. W objawach swojej przyjaźni dla mnie, dla Albertyny, miała odcienie dowodzące uroczej inteligencji serca, płynącej po części może z jej chorobliwego stanu. Umiała zawsze wesołym uśmiechem usprawiedliwić dzieciństwo Albertyny, z naiwną gwałtownością dające wyraz nieodpartej pokusie, jaką dla niej przedstawiały rozrywki, ponad które nie umiała, jak Anna, wręcz przełożyć rozmowy ze mną... Kiedy się zbliżała godzina jakiegoś podwieczorku na golfie, jeżeli by-

Młodość, Poezja

liśmy wszyscy razem w tej chwili, Albertyna zbierała się, po czym, zbliżając się do Anny, mówiła:

— Anno, na cóż ty czekasz, wiesz, że mamy być na golfie.

— Nie, ja zostanę z nim — odpowiadała Anna, wskazując na mnie.

— Ale wiesz, że pani Durieux zaprosiła cię — wołała Albertyna, jak gdyby zamiar Anny zostania ze mną dał się wytłumaczyć jedynie nieświadomością faktu, że jest zaproszona.

— Słuchaj, dziecko, nie bądź idiotką — odpowiadała Anna.

Albertyna nie należała z obawy, aby jej nie wypadło zostać także. Potrząsała głową:

— Rób, jak chcesz — odpowiadała, tak jak się mówi choremu, który dla przyjemności zabija się dobrowolnie powolną śmiercią — ja więcej, bo zdaje mi się, że twój zegarek się spóźnia — i brała nogi za pas.

— Ona jest urocza, ale niesłuchana — mówiła Anna, obejmując przyjaciółkę uśmiechem, który ją pieścił i sądził równocześnie. Jeżeli w tej namiętności rozrywek Albertyna miała coś z Gilberty z pierwszego okresu, to dlatego że przy równoczesnej ewolucji istnieje pewne podobieństwo między kobietami, jakie kolejno kochamy. Podobieństwo to wynika z trwałości naszej natury, ona to bowiem wybiera owe kobiety, wyłączając wszystkie te, które by nie były dla nas równocześnie kontrastowe i dopełniające, czyli zdolne zadowolić nasze zmysły i udręczyć nasze serce. Te kobiety są produktem naszego temperamentu, obrazem, odwróconą projekcją, „negatywem” naszej wrażliwości. Tak iż powieściopisarz mógłby w ciągu życia swego bohatera odmalować jego kolejne miłości, niemal identyczne, i przez to dać wrażenie nie naśladowania samego siebie, lecz tworzenia, mniej bowiem jest siły w sztucznej różnitości niż w powtórzeniu mającym wywołać nową prawdę. A także w charakterze kochanka powinien by podkreślić wskaźnik odmiany zaznaczającej się, w miarę jak wchodzimy w nowe regiony, w inne strefy życia. I może wyraziłby jedną prawdę więcej, gdyby, malując charaktery innych osób, poniechał w ogóle dania charakteru kochanej kobiecie. Znamy charakter ludzi obojętnych, ale jak moglibyśmy ująć charakter istoty, która się stapia z naszym życiem, której niebawem nie zdołamy odłączyć od siebie samych, co do której pobudek nie przestajemy tworzyć trwożliwych i wciąż odmiennych hipotez? Tryskając spoza sfery inteligencji, nasza ciekawość kobiety, którą kochamy, wybiega poza charakter tej kobiety; choćbyśmy się mogli przy nim zatrzymać, nie chcielibyśmy z pewnością. Przedmiot naszego niespokojnego poszukiwania bardziej jest zasadniczy niż te właściwości charakteru, podobne do owych małych rombów naskórka, których przeróżne kombinacje tworzą kwitnącą oryginalność ciała. Nasze intuicyjne promieniowanie przechodzi przez nie, a obrazy, jakie nam ono przynosi, nie są obrazami poszczególnej twarzy, ale mają posępną i bolesną uniwersalność szkieletu.

Ponieważ Anna była bardzo bogata, Albertyna zaś uboga i sierota, Anna bardzo wspaniałomyślnie pozwalała jej korzystać ze swego zbytku. Co się tyczy uczuć Anny dla Gizeli, nie były one zupełnie takie, jak przypuszczałem. Nadeszły bowiem rychło nowiny od tej uczennicy; kiedy Albertyna pokazała list od Gizeli, mający całej gromadce udzielić nowin o jej podróży i przybyciu, tłumaczący lenistwem to, że jeszcze nie napisała do innych, zdziwiłem się, iż Anna, śmiertelnie — jak sądziłem — pokłócona z Gizelą, rzekła:

— Napiszę do niej jutro, bo gdybym czekała jej listu, mogłabym czekać długo, ona jest taka niedbała. — I obracając się do mnie, dodała: — Panu się ona zapewne nie wydałaby niezwykła, ale to taka dzielna dziewczyna, doprawdy mam dla niej wiele przywiązania.

Wywnioskowałem stąd, że urazy Anny nie trwają długo.

Z wyjątkiem tych deszczowych dni, kiedyśmy się wybierali na rowerach na wybrzeże lub na wieś, na godzinę przedtem starałem się upięknąć i biadałem, jeżeli Franciszka nie przygotowała moich rzeczy. Otóż nawet w Paryżu, kiedy się złapało Franciszkę na jakimś błędzie, prostowała z dumą i z wściekłością postawę, którą wiek zaczynał już przygarbiać; ona, tak pokorna, skromna i urocza, kiedy jej miłość własna była zadowolona! Ponieważ ta miłość własna była główną sprężyną jej życia, zadowolenie i humor Franciszki były w prostym stosunku do trudności rzeczy, jakich się od niej żądało. To, co miała do roboty w Balbec, było tak łatwe, że okazywała prawie ciągle niezadowolenie, zestokrotnione nagłe i podkreślone ironicznym wyrazem dumy, kiedy w chwili, gdym spieszył do młodych przyjaciółek, załilem się, iż kapelusze jest nieoczyszczony lub krawaty w nieładzie. Ona,

zdolna zadać sobie tyle trudu bez poczucia własnej pracy, na prostą uwagę, że marynarka była nie na swoim miejscu, nie tylko chwaliła troskliwość, z jaką „wolała ją schować, niż żeby dała się jej kurzyć”, ale wygłaszając formalną apologię swoich prac, ubolewała, że właściwie Balbec to nie są żadne wakacje, że nie znalazłoby się drugiej, która by się zgodziła na takie życie. „Nie do pojęcia, jak można tak rozwłóczyć swoje rzeczy; nich pan spróbuje, czy by inna co znalazła w takim bigosie. Sam diabeł by się tu nie odnalazł”. Albo przybierała twarz królowej, rzucając mi płomienne spojrzenia i zachowując milczenie, przerywane natychmiast, skoro tylko zamknęła drzwi za sobą; wówczas korytarz rozbrzmiewał wykrzyknikami, które musiały być obelżywe, ale były równie niewyraźne jak słowa aktorów wygłaszających pierwsze wyrazy za drzwiami, nim wejdą na scenę.

Zresztą, kiedy się gotowałem wyjść z moimi przyjaciółkami, nawet jeżeli nic nie brakowało, a Franciszka była w dobrym humorze, i tak bywała nieznośna. Wspomagając się bowiem conceptami, które, w swojej potrzebie mówienia o tych dziewczętach, robiłem wobec Franciszki, niby to odsłaniała mi rzeczy, które ja byłbym wiedział lepiej od niej, gdyby były ściśle, ale które nie były ściśle, bo po prostu źle coś zrozumiała. Miała, jak wszyscy, swój charakter; człowiek nie jest podobny do prostej drogi, ale zadziwia nas osobliwymi i nieuniknionymi zakrętami, których inni nie spostrzegają i które ciężko nam jest przebywać. Za każdym razem, kiedy dochodził do punktu: „kapelusz nie na swoim miejscu”, do imion Anny i Albertyny, Franciszka zmuszała mnie, abym się zapuszczał w kręte i absurdalne ścieżki, które mnie bardzo opóźniały. Tak samo było, kiedy kazał przygotować sandwicze z serem i z sałatą i kupić ciastek, które miałem jeść na skałach w godzinie podwieczorku z dziewczętami. „Mogłyby i one przynieść czasem jakąś przekąskę, gdyby nie były takie żyły” — oświadczała Franciszka, której przychodził wówczas z pomocą cały atawizm prowincjonalnej chciwości i pospolitości. Można by rzec, że rozszczępiona dusza nieboszczki Eulalii wcieliła się dla Franciszki w uroczę ciała moich przyjaciółek z większym wdziękiem niż w świętego Eligiusza. Słuchałem tych oskarżeń z uczuciem wściekłości, że trafiam na jeden z owych punktów, od których począwszy wiejska i powszednia droga charakteru Franciszki stawała się nie do przebycia — nie na długo na szczęście. Następnie, skoro się marynarka znalazła, a sandwicze były gotowe, spieszyłem do Albertyny, Anny, Rozamondy — jeszcze innych czasem — i pieszo lub na rowerach puszczaliśmy się w drogę.

Niegdyś byłbym wolał, aby taki spacer wypadł w niepogodę. Wówczas sililem się odnaleźć w Balbec, „kraj Cymeryjczyków”; pogodne dni były rzeczą, która nie powinna tam istnieć, inwazją pospolitego lata letników w tę starożytną dziedzinę przesłonioną mgłami. Ale teraz wszystko, czym wprzód wzgardziłem, com usuwał ze swego pola widzenia, nie tylko efekty słońca, ale nawet regaty, wyścigi konne, wszystko to stało mi się upragnione z tej samej przyczyny, dla której byłbym pragnął dawniej jedynie burzliwego morza; mianowicie dlatego, że te rzeczy kojarzyły się, jak niegdyś tamte, z ideą estetyczną. Bo z moimi przyjaciółkami odwiedzaliśmy czasami Elstira; otóż w dniu, kiedy były u niego te dziewczęta, najchętniej pokazywał nam rysunki ładnych *yachtswomen* lub jakiś szkic hipodromu w sąsiedztwie Balbec.

Wyznałem nieśmiało Elstirowi, że unikał reunionów, jakie tam dawano.

— Źle pan robił — rzekł — to takie ładne i takie ciekawe. Po pierwsze, ta szczególna istota, dżokej, na którym skupia się tyle spojrzeń i który przed startem, posępny, szary w swojej lśniącej kurtce, tworzy jedno z harcującym koniem, tak nad nim panując! Jakże by to było interesujące podchwycić jego zawodowe ruchy, pokazać błyszczącą plamę, jaką tworzy i jaka tworzy też czaprak koński na polu wyścigowym. Co za przeobrażenie wszystkich rzeczy w tym promiennym ogromie pola wyścigowego, gdzie nas zaskakuje tyle cieni, blasków, istniejących tylko tam! A kobiety — jakież mogą tam być ładne! Pierwszy reunion zwłaszcza był uroczy, były tam kobiety niesłychanie eleganckie, w jakimś wilgotnym, holenderskim świetle, gdzie się czuło w samym słońcu przenikliwy chłód wody. Nigdy nie widziałem kobiet przyjeżdżających powozem lub z lornetką przy oczach w podobnym świetle, wynikłym z morskiej wilgoci. Och! Jakże bym pragnął oddać tę wilgoć: wróciłem z tych wyścigów jak oszalały, z taką żądzą malowania!

Potem Elstir zachwycał się partiami jachtingu, jeszcze bardziej niż wyścigami. Zrozumiałem, że regaty, że meetingi sportowe, gdzie dobrze ubrane kobiety kąpią się w sele-

dynowym świetle morskiego hipodromu, mogą być dla nowoczesnego artysty motywem równie interesującym jak festyny, które tak lubili opowiadać jakiś Veronese lub Carpaccio.

— Pańskie porównanie jest tym ściślejsze — rzekł Elstir — że w mieście gdzie oni malowali, fety te były w znacznej części wodne. Tylko że piękność ówczesnych statków spoczywała najczęściej w ich ciężkości, w ich komplikacji. Były turnieje na wodzie, jak tutaj, wydawane przeważnie na cześć jakiejś ambasady, jak ten, który Carpaccio przedstawił w *Legendzie o świętej Urszuli*. Okręty były masywne, zbudowane jak gmachy, podobne do jakichś ziemnowodnych płazów, niby mniejsze Wenecje pośród tamtej prawdziwej, kiedy, przycumowane za pomocą ruchomych mostków, pokryte szkarłatnym ałasem i perskimi dywanami, dźwigały kobiety obleczone w wiśniowy brokat lub zielony adamaszek, w pobliżu balkonów inkrustowanych barwnym marmurem, skąd inne kobiety wychylały się, przyglądały, w sukniach o czarnych rękawiczkach z białymi rozporami, oszytymi perłami lub strojnymi koronką. Nie wiedziało się już, gdzie się kończy ziemia, gdzie się zaczyna woda, co jest jeszcze pałacem, a już okrętem, karawelą, galeasą, Bucentaurem.

Albertyna z namiętną uwagą słuchała szczegółów toaletowych, obrazów zbytku, jakie nam malował Elstir.

— Och, chciałabym widzieć te koronki, o których pan mówi, to takie ładne, *point de Venise* — wykrzyknęła — zresztą tak bym chciała pojechać do Wenecji.

— Będzie pani mogła niedługo — rzekł Elstir — oglądać cudowne materie, jakie tam noszono. Widywało się je już tylko na obrazach weneckich malarzy lub bardzo rzadko w skarbcach kościelnych; czasem nawet zjawiało się coś takiego na publicznej sprzedaży. Ale powiadają, że artysta wenecki, Fortuny, odnalazł sekret ich wyrobu i że nie upłynęło kilka lat, a kobiety będą się przechadzały, a zwłaszcza siedziały w domu, w brokatakach równie wspaniałych jak te, które zdobyła Wenecja wschodnimi deseniami dla swoich patrycjuszek. Ale nie wiem, czy by mi się to podobało, czy to nie będzie kostium zbyt anachroniczny dla dzisiejszych kobiet, nawet paradujących na regatach; bo, aby wrócić do naszych nowoczesnych statków luksusowych, to jest coś zupełnie przeciwnego niż za czasów Wenecji, *królowej Adriatyku*. Największy urok jachtu, urządzenia jachtu, toalet jachtingu, to ich prostota, właściwa rzeczom morskim, a ja tak lubię morze. Wyznaję, że wolę dzisiejsze mody od mód z czasu Veronese'a, a nawet Carpaccia. Ładne w naszych jachtach jest — średnich jachtach zwłaszcza, bo nie lubię tych ogromnych, zbyt okrętowatych; to tak jak z kapeluszami, trzeba zachować pewną miarę — owo coś gładkiego, prostego, jasnego, szarego, co w zamglone sinawe dnie ma coś z miękkości piany. Trzeba, żeby pokój, w którym się siedzi, miał coś z kawiarenki. Toż samo toalety kobiet na jachcie: owe tak pełne wdzięku suknie, lekkie, białe i gładkie, z płótna, z batystu, z pekinu, z drelichu, które w słońcu i w błękicie morza tworzą białość równie olśniewającą jak biały żagiel. Bardzo jest zresztą mało kobiet umiających się ubrać, ale niektóre są bajeczne. Na wyścigach panna Lea miała biały kapelusik i białą umbrelkę: coś czarującego! Nie wiem, co bym dał, żeby mieć tę białą umbrelkę.

Szalenie byłbym ciekaw, czym ta umbrelka różniła się od innych; z przyczyn mieszczących się w sferze kokieterii kobiecej Albertyna była ciekawa tego jeszcze bardziej. Ale jak Franciszka mówiła o sufflecie: „Trzeba mieć dotyk”, tak tu różnica była w kroju.

— To było — powiedział Elstir — całkiem małe, okrągłe, jak chiński parasol.

Przytoczyłem umbrelki niektórych kobiet, ale to nie było to. Elstir uznał wszystkie te umbrelki za „ohydne”. Ten człowiek o wybrednym i wykwinnym smaku mieścił w odcieniu — który był wszystkim — różnicę między tym, co nosiła większość kobiet i co go przejmowało wstrętem, a ładną rzeczą, która go czarowała i która (gdy ja, przeciwnie, odczuwałem wszelki zbytek jako coś wyjąławiającego) podniecała jego żądzę malowania, „aby się starać zrobić coś równie ładnego”.

— Patrz pan, ta mała już zrozumiała, jaki był ten kapelusz i ta umbrelka — rzekł Elstir, wskazując Albertynę, której oczy błyszczały pożądliwością.

— Jakże ja chciałabym być bogata, aby mieć jacht — rzekła do malarza. — Poprosiłabym pana o radę, jak go urządzić. Co za piękne podróże bym robiła! I jakie by to było ładne pojechać na regaty do Cowes. A auto! Czy pan uważa, że to ładne, mody kobiecie do auta?

— Nie — odparł Elstir — ale to przyjdzie z czasem. Po pierwsze, mało jest krawców damskich; jeden albo dwóch; Callot, mimo że zanadto kocha się w koronkach, Doucet, Cheruit, czasami Paquin. Reszta to ohyda.

— Ależ w takim razie jest ogromna różnica między toaletą od Callot a od przeciętnego krawca? — spytał Albertyna.

— Ależ olbrzymia, głuptasku — odparła. — Och, przepraszam. Tylko, niestety, to, co gdzie indziej kosztuje trzysta franków, u nich kosztuje dwa tysiące. Ale to nie jest podobne do siebie; wydaje się jednakie tylko ludziom niemającym pojęcia.

— Najzupełniej — odparł Elstir — nie posuwając się wszelako do twierdzenia, że różnica jest równie głęboka jak między posągami z katedry w Reims a z kościoła św. Augustyna. A, *à propos* katedr — rzekł, zwracając się specjalnie do mnie, ponieważ się to odnosiło do rozmowy, w której dziewczęta nie brały udziału i która by ich zresztą nie interesowała — mówiłem panu kiedyś o kościele w Balbec niby o wielkiej skale nadbrzeżnej, o pospolitym ruszeniu okolicznych kamieni; ale na odwrót — rzekł, pokazując mi akwarele — popatrz pan na to wybrzeże (to szkic robiony całkiem blisko stąd, w Creuniers), popatrz pan, jak te potężnie i delikatnie wycięte skały przywodzą na myśl katedrę.

W istocie można by rzec: olbrzymie różowe arkady. Ale malowane w skwarny dzień, wydawały się starte na pył, ulotnione gorącem, które na wpeł wypilo wodę, na całej rozciągłości płótna doprowadzoną niemal do stanu pary. W tym dniu, kiedy światło jak gdyby zniszczyło rzeczywistość, skupiła się ona w mrocznych i przezroczystych istotach, które przez kontrast dawały wrażenie życia bardziej przejmujące, bliższe: w cieniach. Większość ich, spragniona chłodu, opuszczając rozpaloną płaszczyznę, zbiegła się u stóp skał chroniących je od słońca; inne, pływając z wolna po wodzie niby delfiny, czepiały się spacerujących łodzi, których kadłub poszerzały na bladej wodzie swoim lśniącym i błękitnym ciałem. Może to przejęta od nich żądza chłodu najbardziej dawała wrażenie upału tego dnia, co mi kazało wykrzyknąć, jak bardzo żałuję, że nie znam Creuniers. Albertyna i Anna upewniły mnie, że musiałem tam być sto razy. W takim razie byłem tam bez swojej wiedzy, nie podejrzewając, że któregoś dnia widok owych Creuniers mógłby we mnie wzbudzić taką żądzę piękności, niekoniernie naturalnej, jak ta, której szukałem dotąd na wybrzeżach Balbec, ale raczej architektonicznej. Wyjechawszy po to, aby oglądać królestwo burz, w spacerach naszych z panią de Villeparisis, gdzie często widzieliśmy morze tylko z daleka, wymalowane w przestrzeni między drzewami, nie znajdowałem nigdy oceanu dość realnym, dość płynnym, dość żyjącym, dającym wrażenie przewalającej się masy wód; jeżeli bym go rad widzieć nieruchomym, to jedynie pod zimowym całunem mgieł; i zaledwie byłbym uwierzył, że będę teraz marzył o morzu będącym już tylko białawą parą, bez konsystencji i barwy. Ale Elstir, jak ci, co marzyli w tych barkach odrętwionych upałem, zakosztował czaru tego morza aż do takiej głębi, że umiał oddać, utrwalić na płótnie niedostrzegalny odpływ wód, pulsowanie szczęsnej minuty; i nagle, widząc ten czarodziejski portret, widz czuł się tak rozkochany, że myślał już tylko o tym, aby biec przez świat po to, by odnaleźć zbiegły dzień w jego ulotnym i sennym wdzięku.

Przed tymi wizytami u Elstira, nim ujrzałem jego pejzaże morskie — gdzie młoda kobieta w bareżowej lub batystowej sukni, na jachcie z amerykańską flagą, pomieściła duchową kopię białej batystowej sukni i flagi w mojej wyobraźni, która natychmiast wylęgła nienasyconą żądzę widzenia białych batystowych sukien i flag w sąsiedztwie morza, tak jakby mi się to dotąd nigdy nie zdarzyło — siłem się zawsze w obliczu morza wygnąć z mojego pola widzenia zarówno kąpiących się na pierwszym planie, jak jachty o żaglach zbyt białych niby kostium plażowy. Oddalałem od siebie wszystko, co mi przeszkadzało wmówić w siebie, iż patrzę na odwieczną falę, roztaczającą własne tajemnicze życie już przed zjawieniem się rodzaju ludzkiego; nawet promienne dni, które przybierając dla mnie banalny wygląd uniwersalnego lata na tym wybrzeżu mgieł i burz, znaczyły na nim po prostu pauzę, równoważnik tego, co się nazywa w muzyce pustym taktem. Otóż teraz znowuż niepogoda zdawała mi się jakimś złowrogim wypadkiem, niezdolnym już sobie znaleźć miejsca w świecie piękności. Żywo pragnąłem odnaleźć w rzeczywistości to, co mnie tak zachwycało i spodziewałem się, że czas będzie dość pomyślny, aby ujrzeć z wysokości skał te same błękitne cienie, co na obrazie Elstira.

Po drodze nie przysłałem już sobie zresztą oczu rękami, jak w owych dniach, kiedy szukałem w naturze życia wcześniejszego od zjawienia się człowieka; kiedy na złość wszystkim uprzykrzonym zdobyciom przemysłu, które kazały mi dotąd ziewać z nudów na Wystawach Powszechnych lub u modystek, próbowałem widzieć tylko ten wycinek morza, gdzie nie było parowego statku, tak aby sobie uprzytomnić owo morze odwieczne, jeszcze współczesne epoce, gdy odłączyło się od ziemi, co najmniej współczesne pierwszym wiekom Grecji, co mi pozwalało powtarzać sobie z całym przejęciem wiersze „ojca Leconte” drogie Blochowi:

Pomknęły króle na skrzydlatych nawach,
Wiodąc przez morze, burzliwe, niestety,
Kosmate woje rycerskiej Hellady...

Nie mogłem już gardzić modystkami, skoro Elstir powiedział mi, że delikatny gest, jakim one dają ostatnie dotknięcie, subtelną pieśczętą kokardom lub piórom ukończonego kapelusza, byłby dlań równie interesujący do oddania, co gest dżokejów (co wprawilo w zachwyt Albertynie). Ale trzeba było — co się tyczy modystek — czekać powrotu do Paryża, a co się tyczyły wyścigów i regat — do Balbec, gdzie już ich nie miało być przed następnym sezonem. Nawet jachtu unoszącego kobiety w białym batyście niepodobna było znaleźć.

Często spotykaliśmy siostry Blocha, którym musiałem się kłaniać od czasu, jak byłem na obiedzie u ich ojca. Moje przyjaciółki nie znały ich. „Nie pozwalają mi się bawić z Israelitkami” — mówiła Albertyna. Sposób, w jaki wymawiała *Israelitka* zamiast „Israelitka”, wystarczałby za dowód, nawet gdyby się nie słyszało początku zdania, że tych młodych mieszczanek nie ożywiały uczucia sympatii wobec ludu wybranego: pochodząc z nabożnych rodzin, łatwo mogły wierzyć, że żydzi mordują dzieci chrześcijańskie. „Zresztą pańskie przyjaciółki mają fatalny ton” — mówiła Anna z uśmiechem, który znaczył, iż wie dobrze, że to nie są moje przyjaciółki. „Jak wszystko, co trąci plemieniem Izraela” — odpowiadała Albertyna sentencjonalnym tonem doświadczonej osoby. Prawdę mówiąc, siostry Blocha, zarazem zbyt strojne i na wpół nagie, z miną omdlewającą, czelną, zamożną i szmatławą, nie robiły najlepszego wrażenia. A jedna z ich kuzynek, mająca dopiero piętnaście lat, gorszyła kasyno podziwem, jaki manifestowała dla panny Lei, której aktorski talent starszy pan Bloch bardzo cenił, ale której gusty, jak mówiono, nie zawsze kierowały się w stronę mężczyzn.

Bywały dni, że jedliśmy podwieczorek w którejś z ferm w sąsiedztwie. Fermy te nosiły nazwy „Écorres”, „Marie-Thérèse”, „Croix d’Herland”, „Bagatela”, „Kalifornia”, „Marie-Antoinette”. Tę zwłaszcza upodobała sobie „banda”.

Ale czasami zamiast się udać do fermy wspinaliśmy się na sam szczyt skał i rozsiadaliśmy się na trawie, rozpakowywaliśmy sandwicze i ciastka. Dziewczęta wołały sandwicze i dziwiły się, że ja jem tylko czekoladowe ciastko, gotycko ilustrowane cukrem, lub placuszek z morelami. Bo z sandwiczami z chesterem i z sałatą, potrawą ciemną i nową, nie miałem o czym mówić. Natomiast ciastka były świadome, placuszki rozmowne. W ciastkach była mdłość kremu, a w placuszkach świeżość owocu, które tyle wiedziały o Combray, o Gilbertcie, nie tylko o Gilbertcie z Combray, ale i o tej z Paryża, gdzie odnalazłem je na podwieczorkach u niej. Przypominały mi owe talerzyki deserowe z *Tysiącem i jedną nocą*, tak bawiące swoimi historiami ciotkę Leonie, kiedy Franciszka przynosiła jej jednego dnia *Aladyna*, czyli *Cudowną Lampę*, drugiego *Ali-Babę* albo *Sindbada żeglarza*, jadącego z *Bassory ze wszystkimi swymi skarbami*. Byłbym bardzo rad ujrzeć te talerzyki, ale babka nie wiedziała, co się z nimi stało; uważała zresztą, że to są pospolite talerze, kupione na miejscu. To nic, że talerze i ich winietki lśniły wielobarwnie w owym szarym — jak cała Szampania — Combray, jak w czarnym kościele witraże o mieniących się drogich kamieniach, jak w mroku mojego pokoju projekcje latarni magicznej, jak przed dworcem departamentalnej kolei żelaznej indyjskie jaskry i perskie bzy, jak chińska kolekcja ciotki w jej posępnym mieszkanku prowincjonalnej starej damy.

Wyciągnięty nad urwiskiem widziałem przed sobą jedynie łąki, a ponad nimi nie siedem nieb chrześcijańskiej fizyki, ale spiętrzenie tylko dwóch: jednego ciemniejszego — morza — a wyżej drugiego, bledszego. Jedliśmy podwieczorek, a jeżeli przyniosłem

Antysemityzm

i jakąś małą pamiątkę, zdolną spodobać się którejś z dziewcząt, radość napelniała tak nagle i tak gwałtownie ich przezroczyste twarze, w jednej chwili poczerwieniała, że ich usta nie miały siły powstrzymać tej radości i aby jej dać upust, wybuchały śmiechem. Siedziały w krąg dokoła mnie; i między twarzami niezbyt oddalonymi od siebie powietrze, które je dzieliło, kreśliło lazuruowe ścieżki, jakby wytyczone przez ogrodnika, pragnącego zrobić trochę luzu, aby móc swobodnie krążyć w klombie róż.

Wyczerpawszy zapasy, graliśmy w gry, które wprzód wydawałyby mi się nudne, czasem równie dziecinne jak „łapki” lub „kto się pierwszy rozśmieje”, ale których teraz nie wyrzekłbym się bodaj za królestwo. Jutrzenka młodości, różowiąca jeszcze twarze tych dziewcząt, którą ja, w swoich latach, miałem już poza sobą, rozpromieniała w nich wszystko i niby płynny pędzel niektórych prymitywów rzeźbiła najblahsze wydarzenia ich życia na złotym tle. Przeważnie nawet twarze tych dziewcząt spływały się w owej mglistej różowości jutrzzenki, skąd prawdziwe rysy jeszcze się nie wyłoniły. Widziało się jedynie uroczą barwę, pod którą to, czym miał się stać za kilka lat profil, było jeszcze nie do rozpoznania. Dzisiejszy ich profil nie miał nic ostatecznego i mógł być jedynie chwilowym podobieństwem z jakimś zmarłym członkiem rodziny, którego natura uczciła tym grzecznościowym wspomnieniem. Tak szybko przychodzi chwila, gdy już nie mamy czego oczekiwać, gdy ciało stężeje w martwocie niewrózającej już niespodzianek, gdy się traci wszelką nadzieję, widząc — niby na drzewach w pełni lata martwe już liście — dokoła młodych jeszcze twarze wypadające lub bielejące włosy; tak krótki jest ów promienny poranek, że dochodzi się do tego, iż kocha się tylko bardzo młode dziewczęta, te, u których ciało, niby szacowne ciasto, rośnie jeszcze. Są one jedynie falą materii, ciągną, wciąż ugniataną władającym nimi przemijającym wrażeniem. Można by rzec, że każda jest kolejno małą statuetką wesela, młodzieńczej powagi, przymilności, zdziwienia — modelowaną szczerym, pełnym, lecz ulotnym wyrazem. Ta plastyczność daje wiele różnorodności i wdzięku milusim względom, jakimi darzy nas młoda dziewczyna. Zapewne, są one nieodzowne i u kobiety, a ta, której się nie podobamy albo która nam nie okazuje, że się jej podobamy, przybiera w naszych oczach coś nudno jednostajnego. Ale same te przymilności, począwszy od pewnego wieku, nie dają już owych miękkich falistości twarzy, którą walki życia stwardniły, dając jej na zawsze coś wojującego lub ekstatycznego. Jedna twarz — siłą ciągłego posłuszeństwa, poddającego żonę władzy męża — wydaje się raczej twarzą żołnierza niż kobiety; inna, wyrzeźbiona każdodziennym poświęceniem matki dla dzieci, jest twarzą apostoła. Inna jeszcze, po latach walk i burz, zmienia twarz kobiety — o której płci świadczy jedynie strój — w twarz starego wilka morskiego. I niewątpliwie, względem, jakie ma dla nas kobieta, mogą jeszcze, kiedy ją kochamy, usiąć nowymi urokami pędzone przy niej godziny. Ale ona nie jest dla nas kolejno różnorodną kobietą. Wesołość jej pozostaje czymś na zewnątrz jej niezmiennej twarzy. Natomiast młodość wcześniejsza jest od całkowitego stężenia; stąd pochodzi, że w towarzystwie młodych dziewcząt odczuwamy ową świeżość, czerpaną w widoku kształtów wciąż zmiennych, igrających w nieustannych przeciwieństwach, każących myśleć o owym ustawicznym odradzaniu się przyrody, jakie oglądamy w obliczu morza.

I nie tylko jakieś przyjęcie lub spacer z panią de Villeparisis byłbym poświęcił dla „pytki” albo „szarad” z moimi przyjaciółkami. Kilka razy Saint-Loup kazał mi oznajmić, że skoro ja nie przyjeżdżam do Doncières, on poprosi o dwudziestoczerogodzinny urlop, aby spędzić ten czas w Balbec. Za każdym razem wstrzymywałem go od tego, tłumacząc się, że właśnie tego dnia muszę dopełnić z babką jakichś rodzinnych obowiązków w sąsiedztwie. Bez wątplenia musiał źle o mnie sądzić, dowiadując się przez panią de Villeparisis, na czym polegają te obowiązki rodzinne i kto w tym wypadku pełni rolę mojej babki. A jednak nie robiłem może źle, poświęcając nie tylko uciechy światowe, lecz i rozkosze przyjaźni dla przyjemności spędzania całego dnia w tym ogrodzie. Istoty zdolne żyć dla siebie samych — prawda, że to są artyści, a ja byłem od dawna przekonany, że nie będę artystą nigdy — mają zarazem obowiązek to czynić; otóż przyjaźń jest dla nich zwolnieniem z tego obowiązku, wyrzeczeniem się samych siebie. Nawet rozmowa, będąca sposobem wyrażenia przyjaźni, jest powierzchowną dywagacją, nie przynoszącą nam nic. Możemy rozmawiać całe życie, powtarzając jedynie w nieskończoność pustkę jakiejś minuty, podczas gdy krok myśli w samotnej pracy artystycznego tworzenia idzie w głąb w tym jednym kierunku, który nam nie jest zamknięty, gdzie możemy posuwać

się — z większym trudem co prawda — ku zdobyciu prawdy. I przyjaźń jest nie tylko pozbawiona wartości jako rozmowa; jest, co więcej, zgubna. Bo ci z nas, których prawo rozwoju jest czysto wewnętrzne, nie mogą nie odczuwać wrażenia nieodzownej nudy w towarzystwie przyjaciela — wrażenia, że się zostaje na powierzchni samego siebie, zamiast wieść swoją odkrywczą podróż w głąb. Przyjaźń każe nam prostować owo wrażenie nudy, kiedy się znajdziemy sami; każe nam przypominać sobie ze wzruszeniem słowa przyjaciela, każe je nam uważać za cenny materiał, podczas gdy my nie jesteśmy jak budynki, którym można przydać kamieni z zewnątrz, ale jak drzewa, czerpiące z własnego soku następny węzeł swojej łodygi, wyższy szczebel swego rozwoju. Kłamałem samemu sobie, przerywałem wzrost w kierunku, w którym mogłem w istocie naprawdę urósć i być szczęśliwym, wówczas gdy sobie chwaliłem, że mnie kocha i podziwia istota tak dobra, tak inteligentna, tak pożądana jak Saint-Loup; kiedy dociągałem swoją inteligencję nie do własnych mętnych wrażeń, które przeniknąć było moim obowiązkiem, ale do słów przyjaciela. Powtarzając sobie te słowa — każąc je sobie powtarzać owemu drugiemu *ja*, które żyje w nas i na które zawsze jesteśmy tak radzi zwalić ciężar myślenia — siliłem się znaleźć w nich piękno, bardzo różne od tego, które ściagałem w milczeniu, kiedy byłem naprawdę sam, ale takie, które dałoby więcej wartości Robertowi, mnie samemu, memu życiu. W egzystencji, jaką mi stwarzał taki przyjaciel, czułem się pieczołowicie chroniony od samotności, szlachetnie żądny poświęcić dlań samego siebie — w sumie niezdolny do ziszczenia samego siebie. Przy dziewczętach natomiast, jeżeli przyjemność, jakiej kosztowałem, była samolubna, to przynajmniej nie wspierała się na kłamstwie, które stara się w nas wmówić, iż nie jesteśmy nieuleczalnie samotni, i które, kiedy z kimś rozmawiamy, nie pozwala nam wyznać sobie, że to już nie my mówimy, że się kształtujemy wówczas na podobieństwo istoty obcej, nie zaś naszego własnego *ja*, różnego od niej. Słowa, jakie wymienialiśmy z tymi dziewczętami, były mało interesujące, rzadkie zresztą, przerywane z mojej strony długim milczeniem. To mi nie przeszkadzało znajdować w słuchaniu ich, kiedy mówiły do mnie, tyleż przyjemności, co w patrzeniu na nie, co w odkrywaniu w głosie każdej z nich barwnego obrazu. Z rozkoszą słuchałem ich ćwierkania. Lubienie czegoś pomaga nam rozpoznawać, różniczkować. Miłośnik ptaków rozróżnia natychmiast w lesie owe właściwe każdemu ptakowi szczebioty, które zwykli ludzie mieszają. Miłośnik młodych dziewcząt wie, że głosy ludzkie są jeszcze rozmaitsze. Każdy głos posiada więcej nut niż najbogatszy instrument. I kombinacje, w jakich je grupuje, są równie niewyczerpane jak nieskończona różnorodność osobowości. Kiedym rozmawiał z którąś z moich przyjaciółek, spostrzegłem, że modulacje tak jej głosu, jak i twarzy genialnie rysowały mi oryginalny i jedyny w swojej indywidualności obraz, narzucając mi go despotycznie; że to są dwa widowiska, tłumaczące, każde na swojej płaszczyźnie, tę samą poszczególną rzeczywistość. Bez wątplenia linie głosu, jak linie twarzy, nie były jeszcze ustalone: głos miał jeszcze zmutować, tak jak twarz miała się zmienić. Jak dzieci posiadają gruczoł, którego sok pomaga im trawić mleko, a który nie istnieje już u dorosłych, tak w świecie tych dziewcząt były nuty, jakich kobiety już nie mają. I na tym bogatszym instrumencie grały wargami, z gorliwością, z zapalem muzykujących aniołków Belliniego, stanowiącymi wyłączny przywilej młodości. Później dziewczęta te tracą ów akcent entuzjastycznego przekonania, dający wdzięk najprostszym rzeczom, czy to gdy Albertyna z poczuciem swego autorytetu produkowała kalambury, których młodsze słuchały z podziwem, aż je ogarnął szalony śmiech, nieodparty i gwałtowny jak kichnięcie; czy kiedy Anna zaczynała mówić o pracach szkolnych, dziecinniejszych jeszcze niż ich zabawy, z powagą nie mniej dziecinną; i słowa ich detonowały, podobne owym strofom z dawnych czasów, kiedy poezję, jeszcze niewyzwoloną z muzyki, deklamowało się, niemal śpiewając. Mimo wszystko głos owych dziewcząt jasno już określał pojęcie każdej z tych osóbek o życiu, pojęcie tak indywidualne, że zbyt ogólnikowym byłoby powiedzieć o jednej: „wszystko bierze na żart”, o drugiej: „wszystko rozstrzyga apodyktycznie”, o trzeciej: „trwa w wyczekującym wahaniu”. Rysy naszej twarzy to niemal tylko gesty ustalone przyzwyczajeniem. Natura, jak katastrofa Pompei, jak metamorfoza nimfy, utrwaliła nas w nawykowym geście. Toż samo nasze intonacje zawierają naszą filozofię życia, to, co człowiek powiada sobie w każdej chwili o rzeczach.

Bez wątplenia, rysy te nie były wyłączną własnością dziewcząt. Należały do ich rodziców. Indywidualizm zanurzone jest w czymś ogólniejszym od niego. W tym sensie rodzice

przekazują nie tylko ów powtarzający się gest, jakim są rysy twarzy i głosu, ale także pewne sposoby mówienia, pewne uświęcone zwroty, które, prawie równie bezwiedne jak intonacja, prawie równie głębokie, zdradzają jak ona pewne spojrzenie na życie. Prawda, iż gdy chodzi o dziewczęta, są wyrażenia, jakich rodzice nie udzielają im przed pewnym wiekiem; zwykle nie wprzód, aż się staną kobietami. Chowa się je w zapasie. I tak kiedy była mowa o obrazach któregoś z przyjaciół Elstira, Anna nosząca jeszcze warkocze, nie mogła osobiście użyć wyrażenia, jakim posługiwały się jej matka i zamężna siostra: „Zdaje się, że jako *mężczyzna* jest czarujący”. Ale przyszłoby to później wraz z pozwoleniem na farsę w Palais-Royal. A już od pierwszej komunii Albertyna mówiła, jak przyjaciółka jej ciotki: „To by mi się zdawało dosyć okropne”. Dano jej też w prezencie zwyczaj żądania, aby ktoś powtórzył to, co mówił; w ten sposób okazywała zainteresowanie i starała się wytworzyć sobie własną opinię. Jeżeli się mówiło, że obrazy jakiegoś malarza są dobre lub jego domek ładny: „A, dobre są te obrazy? A, ładny jest ten domek?”. Jeszcze ogólniejsza wreszcie niż spadek rodzinny była soczysta materia narzucona przez prowincję, z której dziewczęta czerpały swój głos, a którą trąciły nawet ich intonacje. Kiedy Anna dawała słowu silniejszy akcent, mimo woli perygordzka struna jej krtani wydawała śpiewny ton, harmonizujący zresztą z południową czystością jej rysów; pustotom zaś Rozamondy, co bądź by czyniła, linie twarzy i głosu odpowiadały akcentem północnych stron. Słyszałem jak gdyby pełen wdzięku dialog między tą prowincją a naturą dziewczęcia, dyktującą jej tonację. Dialog, nie dysonans. Żaden dysonans nie zdołałby rozdzielić młodej dziewczyny z jej ziemią rodzinną. Sama jest jeszcze tą ziemią. Zresztą to oddziaływanie lokalnych czynników na ducha, który je spożytkowuje i któremu one przydają świeżości, nie uszczupla indywidualności dzieła — czy to będzie twór architekta, snycerza czy muzyka — nie zaciera najsubtelniejszych rysów osobowości artysty przez to, że ów musiał pracować w kamieniu z okolic Senlis lub w czerwonym kamieniu strasburskim, przez to, że uszanował słoje jesionu, że w swojej kompozycji liczył się z granicami, dźwiękami i możliwościami fletu lub altówki.

Zdawałem sobie z tego sprawę, a przecież rozmawialiśmy tak mało. Z panią de Villeparisis lub z Robertem okazywałem słowami o wiele więcej przyjemności niż jej odczuwałem w istocie, gdyż rozstawałem się z nimi zmęczony. Tu, przeciwnie, kiedy leżałem między tymi dziewczętami, pełnia moich doznań przewyższała nieskończenie ubóstwo i skąpość naszych słów, przelewając się z mojej nieruchomości i z mego milczenia falami szczęścia, których plusk zamierał u stóp tych młodych róż.

Dla rekonwalescenta, odpoczywającego cały dzień w ogrodzie kwiatowym lub w sadzie, tysiąc drobiazgów, z których składa się jego *far niente*, nasiąka zapachem kwiatów i owoców; tym samym był dla mnie ów kolor, ów aromat, których spojrzenia moje szukały u tych dziewcząt i których słodycz zespalała się w końcu ze mną. Tak winogrona nabierają słodyczy w słońcu. I przez swoją powolną ciągłość te tak proste zabawy powodowały też we mnie odprężenie, błogi uśmiech, mętne olśnienie, udzielające się nawet oczom, jak u tych, co nie czynią nic innego, tylko, wyciągnięci nad brzegiem morza, wdychają sól, opalają się.

Czasem przymilność którejś z dziewcząt budziła we mnie żywsze vibracje, oddalające na jakiś czas skłonność do innych. I tak jednego dnia Albertyna powiedziała:

— Kto ma ołówek?

Anna dostarczyła ołówka, Rozamonda papieru, Albertyna zaś oświadczyła:

— Moje kobietki, zabraniam wam zaglądać, co ja piszę. — Dołożywszy starań, aby porządnie wypisać każdą literę na ćwiartce wspartej na kolanach, podała mi ją, mówiąc: — Niech uważa, żeby nikt nie widział.

Rozwinąłem i wyczytałem te słowa: „Bardzo kogoś... lubię”.

— Ale zamiast pisać głupstwa — krzyknęła, obracając się z miną nagle popędliwą i poważną do Anny i Rozamondy — muszę pokazać list, który dostałam od Gizeli dziś rano. Oszalałam, mam go w kieszeni; i pomyśleć, że to się nam może tak przydać!

Gizela czuła się w obowiązku przesłać przyjaciółce — a przez nią wszystkim innym — wypracowanie, które zrobiła na egzamin pisemny. Obawę Albertyny co do trudności zadań pisemnych przewyższyły jeszcze dwa tematy, między którymi Gizela musiała wybierać. Jeden był: „Sofokles pisze z Hadesu do Racine’a, aby go pocieszyć po niepowodzeniu *Atalii*”; drugi: „Przypuść, że po pierwszym przedstawieniu *Estery* pani de

Sévigné pisze do pani La Fayette, aby jej wyrazić, jak bardzo żałowała jej nieobecności”. Otóż Gizela przez nadmiar gorliwości, która musiała wzruszyć egzaminatorów, wybrała pierwszy, trudniejszy, i potraktowała go tak niepospolicie, że uzyskała czternaście punktów i powinszowanie jury. Byłaby dostała klasę „bardzo dobrze”, gdyby się nie obcięła z hiszpańskiego. Albertyna odczytała nam z miejsca wypracowanie, którego kopię przesłała jej Gizela, sama bowiem mając przed sobą ten egzamin, bardzo pragnęła usłyszeć zdanie Anny, o wiele tęższej od innych i mogącej jej dać cenne wskazówki.

— Ta ma szczęście — rzekła Albertyna. — Toż to właśnie temat, nad którym jej tu kazała ślęczyć nauczycielka francuskiego.

List Sofoklesa do Racine’a, zredagowany przez Gizelę, zaczynał się tak:

„Drogi przyjacielu, daruj mi, że piszę do ciebie, nie mając zaszczytu być ci osobiście znanym, ale twoja nowa tragedia o Atalii czyż nie wskazuje, żeś doskonale przestudiował moje skromne dzieła? Włożyłeś rymy nie tylko w usta protagonistów, czyli głównych osób dramatu, ale stworzyłeś wiersze, i to urocze — pozwól sobie powiedzieć bez pochlebstwa — dla chórów, które podobno były ozdobą tragedii greckiej, ale które są we Francji prawdziwą nowością. Co więcej, twój talent, tak zwinny, wykwinny, tak uroczy, subtelny, delikatny, osiągnął siłę, której ci wieszczę. Atalia, Joad — oto osobistości, których twój rywal, Corneille, nie zdołałby lepiej postawić. Charaktery są męskie, intryga prosta i mocna. Nareszcie tragedia, której sprężyną nie jest miłość, co może budzić jedynie najszczerze uznanie. Najśłynniejsze przepisy nie zawsze są najprawdziwsze. Zacytuję ci jako przykład: „Tej czulej namiętności malowidło świeże, do serc słuchaczy drogę najprostszą obierze”.

Okazałeś, iż uczucie religijne, które tryska z twoich chórów, nie mniej jest zdolne wzruszyć. Szeroka publiczność mogła być zaskoczona, ale prawdziwi znawcy oddają ci sprawiedliwość. Czulem potrzebę przesłania ci swoich powinszowań, do których łączę, drogi kolego, wyraz najoddańszych uczuć”.

Oczy Albertyny błyszczały przez cały czas, gdy czytała.

— Można by przysiąc, że ona to skądś przepisała — wykrzyknęła, dobiegłszy końca. — Nigdy nie byłabym posądziła Gizeli, że potrafi wysmażyć taki kawałek. I te wiersze, które cytuje, skąd ona to mogła ściągnąć?

Podziw Albertyny, zmieniający co prawda przedmiot, ale jeszcze wzmożony, kazał jej, w połączeniu z wytężoną uwagą, „wybałuszać oczy” przez cały czas, kiedy Anna, której zdania czekano jako najstarszej i najbardziej obkutej, najpierw zaczęła mówić o zadaniu Gizeli z pewną ironią, po czym lekkim tonikiem, zbyt przejrzyście kryjącym intencję serio, odtworzyła na swój sposób ten sam list:

— To wcale niezłe — rzekła do Albertyny — ale gdybym była tobą i gdyby mi dano ten sam temat, co może się zdarzyć, bo go dają bardzo często, wzięłabym się do tego inaczej. Oto, jak bym go potraktowała. Najpierw, gdybym była Gizelą, nie pojechałabym na ośle, ale na początek naznaczyłabym sobie na oddzielnej kartce plan. W pierwszym rzędzie postawienie kwestii i ekspozycja przedmiotu; potem idee ogólne, jakie bym zamierzała rozwinąć. Wreszcie ocena, styl, konkluzja. W ten sposób, mając wytyczne punkty, wie się, dokąd się idzie. Od samej ekspozycji tematu lub — jeżeli wolisz, Titinko, skoro to jest list — od wprowadzenia w przedmiot, Gizela sfuserowała. Pisząc do człowieka z XVII wieku, Sofokles nie powinien był pisać: *drogi przyjacielu*.

— Powinna była w istocie dać mu napisać: *mój drogi Racine* — wykrzyknęła z zapalem Albertyna. — To byłoby o wiele lepiej.

— Nie — odparła Anna tonem lekko drwiącym — powinna była napisać: „Monsieur”. Toż samo kończąc, powinna była znaleźć coś w rodzaju: „Pozwól, panie (lub, co najwyżej, drogi panie), bym wyraził uczucia szacunku, z jakimi mam zaszczyt pozostawać twoim sługą”. Z drugiej strony, Gizela powiada, że chóry w *Atalii* są nowością. Zapomina o *Esterze* oraz o dwóch tragediach mało znanych, ale które właśnie tego roku rozbiierał profesor, tak iż jedynie cytując je (bo to jest jego konik), byłaby pewna, że przejdzie. Jedna to *Żydówki* Roberta Garnier, druga *Aman* Montchrestiena.

Przytaczając oba tytuły, Anna nie mogła pokryć uczucia życzliwej wyższości, która wyraziła się w jej uśmiechu, zresztą dość miłym. Albertyna nie mogła ochłonąć:

— Anda, ty jesteś oszalamiająca — wykrzyknęła. — Musisz mi zapisać te dwa tytuły. Pomyśl, co za szansa, gdyby to na mnie padło, choćby przy ustnym, zaraz bym je wywaliła i zrobiłabym byczy efekt.

Ale później, ilekroć Albertyna prosiła Anny o podyktowanie jej tytułów tych dwóch sztuk, uczona przyjaciółka twierdziła, że zapomniała, i nie przypomniła ich już sobie nigdy.

— Następnie — (ciągnęła Anna tonem niedostrzegalnej pogardy dla dziecinnych koleżanek, ale szczęśliwa, że może budzić podziw i przywiązując do sposobu, w jaki wywiązałyby się z zadania, więcej wagi, niż chciała okazać) — Sofokles w Hadesie powinien być dobrze poinformowany. Musi tedy wiedzieć, że nie wobec szerokiej publiczności, ale przed Królem-Słońce i garstką wybranych dworaków wystawiono *Atalię*. To, co Gizela mówi z tej racji o uznaniu znawców, jest wcale niezłe, ale można by to rozwinąć. Sofokles, stawszy się nieśmiertelnym, może bardzo łatwo mieć dar proroczy i oznajmić, że wedle Woltera *Atalia* będzie nie tylko „arcydziełem Racine’a, ale arcydziełem ducha ludzkiego”.

Albertyna piła te słowa. Źrenice jej płonęły. I z najgłębszym oburzeniem odparła propozycję Rozamondy, aby zagrać w szarady.

— Wreszcie — rzekła Anna tym samym niedbałym, obojętnym, nieco drwiącym i dość apodyktycznym tonem — gdyby Gizela porządnie wynotowała sobie na początku ogólne myśli, jakie zamierzała rozwinąć, wpadłaby może na to, co ja byłabym zrobiła: mianowicie wykazać, czym się różni natchnienie religijne chórów Sofoklesa a chórów Racine’a. Zrobiłabym ustami Sofoklesa uwagę, że o ile chóry Racine’a nacechowane są uczuciem religijnym jak chóry tragedii greckiej, nie chodzi przecież o tych samych bogów. Bóg Joadą nie ma nic wspólnego z bogiem Sofoklesa. I to wiedzie nas całkiem naturalnie, z końcem rozbioru, do konkluzji: „I cóż stąd, że wierzenia są różne?”. Sofokles nie pozwoliłby sobie nastawać na ten punkt. Bałby się urazić przekonania Racine’a; toteż, natrącając z tej okazji parę słów o jego mistrzach z Port-Royal, woli wieszować swemu rywalowi górności poetyckiego lotu.

Podziw i uwaga rozgrzały Albertynę tak, że pocila się wielkimi kroplami. Anna zachowała uśmiechniętą flegmę żeńskiego dandysa.

— Niezłe byłoby również zacytować parę sądów sławnych krytyków — rzekła, zanim wrócono do gier.

— Tak — odrzekła Albertyna — mówiono mi to. Najbardziej godne uwagi, nieprawdaż, to sądy Sainte-Beuve’a i Merleta?

— Niezupełnie jesteś daleka od prawdy — odparła Anna, która zresztą, mimo błagań Albertyny, nie chciała jej wypisać dwóch innych nazwisk. — Merlet i Sainte-Beuve to niezłe robi, ale zwłaszcza trzeba zacytować Deltoura i Gascq-Desfossés.

Przez ten czas myślałem o kartce z notatnika, którą mi wsunęła Albertyna: „Bardzo kogoś... lubię”, i w godzinę później, schodząc drogami wiodącymi nas z powrotem, zbyt stromo na mój gust, do Balbec, powiadałem sobie, że to z nią przeżyję swój romans.

Stan określony zespołem znaków, z których poznajemy zazwyczaj, iż jesteśmy zakochani — na przykład rozkazy, jakie dawałem w hotelu, aby mnie nie budzono dla nikogo, z wyjątkiem którejś z tych dziewcząt, bicie serca w oczekiwaniu ich (bez względu na to której) i wściekłość moja w te dni, jeśli nie mogłem znaleźć fryzjera, żeby mnie ogolił i miałem się ukazać nie dość piękny oczom Albertyny, Rozamondy lub Anny, — bez wątplenia, ten stan, odradzający się na przemian dla tej lub innej, był równie odmienny od tego, co nazywamy miłością, jak od życia ludzkiego różni się życie zwierzokrzewów, w którym istnienie, indywidualność, jeżeli można tak powiedzieć, rozmieszczone są między rozmaite organizmy. Ale historia naturalna uczy, że taki organizm zwierzęcy da się obserwować i że własne nasze życie, o ile jest już trochę rozwinięte, również zawiera dowody realności dawniej przez nas niepodejrzewanych stanów, przez które mamy przejść, choćbyśmy je potem mieli porzucić. Takim był dla mnie ten stan miłosny, podzielony równocześnie między kilka dziewcząt. Podzielony lub raczej niepodzielony; najczęściej bowiem tym, co mi było rozkoszne, odmienne od reszty świata, tym, co zaczynało mi się stawać drogą tak, iż nadzieja odnalezienia tego nazajutrz była największą radością mego

Miłość

życia, była raczej cała gromadka dziewcząt, wzięta w całości tych popołudni na wybrzeżu, w czasie tych wietrznych godzin, na tym skrawku trawy, gdzie spoczywały owe tak podniecające moją wyobraźnię twarze Albertyny, Rozamondy, Anny. I niepodobna mi było określić, która z nich czyniła mi te miejsca czymś tak szacownym, którą najbardziej miałem ochotę kochać. Z początkiem miłości, jak z jej końcem, nie jesteśmy wyłącznie przywiązani do przedmiotu tej miłości. To raczej chęć kochania, z której wyniknie miłość (a później wspomnienie pozostawione przez miłość) — błądzi rozkosznie w strefie uroków zamiennych — często po prostu uroków natury, łakomstwa, mieszkania — na tyle harmonizujących z sobą, aby się ta chęć nie czuła przy żadnym z nich nie na miejscu. Zresztą, ponieważ w stosunku do tych dziewcząt nie byłem jeszcze zblazowany nawykiem, miałem zdolność widzenia ich, tym samym doznawania głębokiego zdumienia za każdym razem, kiedy się znalazł w ich towarzystwie. Bez wątpienia, zdumienie owo wynika po części stąd, że dana istota ukazuje nam wówczas nowe oblicze samej siebie; ale dowodzi też ono jej bogactwa, bogactwa linii twarzy i ciała, linii, z których tak mało się odnajduje w samowolnym uproszczeniu naszej pamięci, skoro już nie jesteśmy z tą osobą. Ponieważ pamięć wybrała sobie jakąś uderzającą nas właściwość, wyosobniła ją, przesadziła, czyniąc z kobiety, która nam się wydawała duża — szkic przesadzający jej wzrost lub z kobiety, która nam się wydawała różową blondynką — „harmonię różowo-złotą”, przeto z chwilą gdy na nowo znajdziemy się wobec tej kobiety, wszystkie inne zapomniane właściwości, stanowiące przeciwwagę tamtych, oblegają nas w swojej mętnej złożoności, zmniejszając wzrost, topiąc różowość i pod oczekiwane przez nas kształty podstawiając inne właściwości, które — pamiętamy to — zauważyliśmy, widząc ją pierwszy raz, przy czym nie pojmujemy, żeśmy się ich mogli nie spodziewać. Pamiętaliśmy pawia, zbliżamy się do niego i znajdujemy gila. I to nieuniknione zdziwienie nie jest jedyne; obok niego jest drugie, zrodzone z różnicy już nie między stylizacjami wspomnienia i rzeczywistości, ale między istotą widzianą ostatni raz a tą, która nam się dziś jawi pod innym kątem, w innej postaci. Twarz ludzka jest jak twarz Boga wschodniej teogonii; całe grono twarzy sąsiadujących na rozmaitych planach i niewidocznych równocześnie.

Pamięć, Wzrok

Ale w znacznej części zdziwienie nasze pochodzi zwłaszcza stąd, że jakaś istota ukazuje nam również tę samą fizjonomię. Trzeba by tak wielkiego wysiłku, aby odtworzyć wszystko, czego nam dostarczyło coś spoza nas — bodaj smak owocu — że zaledwie odebrawszy wrażenie, osuwamy się nieznacznie po pochyłości wspomnienia i nie zdając sobie z tego sprawy, w krótkim czasie jesteśmy bardzo daleko od tego, cośmy czuli. Tak iż każde nowe ujście jest rodzajem sprostowania, sprowadzającego nas do tego, cośmy widzieli. Nie pamiętaliśmy już, tak dalece to, co się zowie przypominaniem sobie jakiejś istoty, jest w rzeczywistości zapominaniem jej. Ale jak długo jeszcze umiemy widzieć w chwili, gdy się nam zjawia zapomniany rys, poznajemy go, musimy naprostować skrzywioną linię. W ten sposób ustawiczna i płodna niespodzianka, czyniąca mi owe codzienne spotkania z ładnymi dziewczętami na plaży czymś tak zbawczym i uelastyczniającym, składała się tyleż z przypomnień co z odkryć. Skoro dodać podniecenie obudzone tym, czym one były dla mnie (nigdy całkowicie tym, co byłbym przypuszczał: tym samym nadzieją następnego spotkania nie była już podobna do poprzedniej nadziei, ale do drgającego jeszcze wspomnienia ostatniej rozmowy), łatwo pojąć, iż każda przechadzka dawała gwałtowne pchnięcie moim myślom, i wcale nie w tym kierunku, jaki bym mógł wykreślić w samotności mego pokoju i na zimno. Ten kierunek był zapomniany, pogrzebany, kiedy wracałem drgający jak ul od słów, które mnie poruszyły i które długo rozbrzmiewały we mnie. Każda istota jest zniweczona, kiedy przestajemy ją widzieć; następne jej zjawienie się jest nowym tworzeniem, różnym od tego, które je bezpośrednio poprzedziło, o ile nie od wszystkich. Bo minimum różnaitości, mogącej istnieć w tych aktach tworzenia, to liczba dwóch. Jeżeli pamiętamy energiczny wzrok, zuchowatą minę, nieuchronnie za następnym widzeniem zadziwi nas, to znaczy prawie wyłącznie uderzy, profil niemal omdlewający, wyraz marzącej słodczy, — rzeczy zaniedbane przez nas w poprzednim wspomnieniu. W konfrontacji naszego wspomnienia z nową rzeczywistością to właśnie spowoduje nasz zawód lub zdziwienie; uderzy nas jak retusz rzeczywistości, ostrzegając, żeśmy sobie źle przypominali. Charakter twarzy, ostatnim razem przeoczony i z tego powodu najbardziej tym razem uderzający, najrealniejszy, najbardziej korygujący, stanie się z kolei treścią marzenia, wspomnień. Pragniemy ujrzeć jeszcze tęskny i płynny pro-

fil, słodki i marzący wyraz. I wówczas, następnym razem, znowuż samowola bystrych oczu, ostrego noska, zaciśniętych warg skoryguje rozdźwięk między naszym pragnieniem a rzekomym ich przedmiotem. Oczywiście ta wierność pierwszym i czysto fizycznym wrażeniom, odnajdywanym raz po raz u dziewcząt, nie tyczyła jedynie ich rysów. Wspominałem, że byłem równie wrażliwy na ich głos, bardziej może wzruszający (bo nie tylko wywiera to samo swoiste i zmysłowe działanie co twarz, ale należy do niedostępnej otchłani, rodzącej zawrót beznadziejnych pocałunków), na ich głos podobny do jedyne go dźwięku instrumentu, w który każda z nich wkładała siebie całą i który miała tylko ona. Wyczuwalna w każdym akcencie, tajemna linia każdego z tych głosów dziwiła mnie, kiedy ją poznawał, zapomniawszy jej wprzód. Tak że poprawki, jakie za każdym nowym spotkaniem musiałem czynić, aby odzyskać idealną ścisłość, były równie dobrze pracą stroiciela lub nauczyciela śpiewu, jak rysownika.

Co się tyczy harmonijnej spójności, w której od jakiegoś czasu neutralizowały się (przez opór, jaki każda stawiała przewadze innych) rozmaite uczuciowe fale wzbudzone we mnie przez te dziewczęta, spójność ta przerwała się na korzyść Albertyny jednego popołudnia, kiedyśmy się bawili „w lisa”. Było to w gaiku na skalnym wybrzeżu. Mając miejsce między dwiema panienkami nienależącymi do „bandy” i zaproszonymi dlatego, żeśmy mieli być tego dnia w liczniejszym gronie, patrzyłem z zazdrością na młodego człowieka, sąsiada Albertyny, powiadając sobie, że gdybym był na jego miejscu, mógłbym dotykać dłoni dziewczęcia, podczas tych niespodzianych minut, które nie wrócą może nigdy, a które mogłyby mnie zaprowadzić bardzo daleko. Już samo z siebie — nawet bez następstw, jakie byłoby zapewne pociągnęło — dotknięcie rąk Albertyny byłoby mi rozkoszne. Nie abym nigdy nie widział piękniejszych rąk. Nawet w grupie jej przyjaciółek ręce Anny, szczuple i o wiele delikatniejsze, miały jakby swoiste życie, posłuszne rozkazom młodej dziewczyny, ale niezależne; i wysuwały się często przed nią niby szlachetne charty, leniwe, rozmarzone, z nagłym przeciąganiem się palców, z powodu którego Elstir zrobił kilka studiów tych rąk. Na jednym, przedstawiającym Annę grzejącą ręce przy ogniu, miały one w blasku złocistą przezroczystość dwóch jesiennych liści. Ale ręce Albertyny, pulchniejsze, poddawały się na chwilę, potem opierały się ściskającej je dłoni, dając wrażenie zupełnie odrębne. Uścisk ręki Albertyny miał zmysłową słodycz, jak gdyby harmonizujący z różową, leciutko lila barwą jej skóry. Ten uścisk dawał wrażenie, że się wnika w dziewczynę, w głębię jej zmysłów — tak samo jak dźwięczność jej śmiechu, nieskromna na kształt gruchania lub pewnych krzyków. Należała do kobiet, których uścisk ręki sprawia tak wielką przyjemność, iż jest się wdzięcznym cywilizacji, że zrobiła z *shakehandu* godziwy akt powitania między pannami a młodymi ludźmi. Gdyby konwenans zastąpił podanie ręki innym gestem, wówczas oglądałbym co dzień nietykalne ręce Albertyny z równie żarliwą ciekawością ich dotyku, jak żarliwą była moja ciekawość smaku jej lic. Ale, myśląc o słodyczy trzymania długo jej rąk między swymi jako sąsiad przy „lisie”, oceniałem nie tylko samą tę przyjemność; ileż wyznań, ileż oświadczeń zahamowanych dotąd przez nieśmiałość mógłbym powierzyć pewnym uściskom ręki; a i jej jakże byłoby łatwo, odpowiadając wzajemnym uściskiem, dać mi znak porozumienia; co za współnictwo, jaki początek rozkoszy! W kilka minut spędzonych tak obok Albertyny miłość moja mogła uczynić większe postępy, niż ich zrobiła od czasu, jak ją znałem. Czując, że te minuty będą trwały krótko, że się niebawem skończą — bo zabawa nie przeciągnie się z pewnością długo, a skoro raz się skończy, będzie już za późno — ledwie mogłem ustać w miejscu. Umyślnie dałem sobie złapać pierścionek, a znalazłszy się w środku, kiedy pierścionek przechodził, udałem, że go nie widzę; i biegłem za nim oczami, czekając chwili, gdy przejdzie do sąsiada Albertyny, która, śmiejąc się co sił, w radosnym zapale gry, była cała różowa. „Jesteśmy teraz właśnie w ładnym gaiku, *jak lisek*”, rzekła do mnie Anna, pokazując otaczające nas drzewa; przy czym uśmiech jej oczu przeznaczony był tylko dla mnie i zdawał się przechodzić ponad grającymi, tak jak gdybyśmy tylko my sami byli dość inteligentni, aby się rozdwoić w tej poetycznej aluzji na temat zabawy. Anna posunęła nawet inwencję aż do zanucenia mi bez szczególnego zapachu rytualnej piosenki: „Przechodził tędy lisek — tak, moje panie, tak — przechodził tędy lisek — z ładnego gaiku”, jak osoby, które, kiedy się wybiorą do Trianon, muszą tam zorganizować zabawę w stylu Louis XVI, lub które znajdują wdzięk w tym, aby słuchać utworu muzycznego w stylowej ramie. Byłbym, przeciwnie, z pewnością zasmucony, że nie znajduję wdzięk

w tej realizacji, gdybym miał czas myśleć o tym. Ale mój duch był gdzie indziej. Grających obojgę płci zaczynała zdumiewać moja tępota i to, że nie łapię pierścionka. Patrzałem na Albertynę, taką piękną, taką obojętną, taką wesołą; nie przewidywałem, że ma zostać moją sąsiadką, skoro wreszcie pochwycę pierścionek we właściwych rękach, dzięki manewrowi, którego nie podejrzewałem, a który byłby ją z pewnością pogniewał. W zapale gry długie włosy Albertyny rozplotły się i w krętych pasmach opadały jej na policzki, swoim ciemnym i suchym tonem tym bardziej uwydatniając ich różową karnację.

— Ma pani warkoczki godne Laury Dianti, Eleonory Guyeńskiej oraz jej prawnuczki, tak ukochanej przez Chateaubrianda. Powinna by pani zawsze nosić wpół rozplecione włosy — szepnąłem Albertynie do ucha, aby się do niej przybliżyć.

Naraz pierścionek przeszedł do rąk jej sąsiada. Rzuciłem się, otwarłem mu brutalnie ręce, pochwyciłem pierścionek: musiał iść za mnie do koła, a ja zająłem jego miejsce obok Albertyny. Parę minut wprzód zazdrościłem temu młodemu człowiekowi, kiedy widział, jak jego ręce, ślizgając się po sznurku, spotykają co chwila ręce Albertyny. Teraz, kiedy przyszła moja kolej, zbyt nieśmiały, aby szukać zetknięcia, zbyt wzruszony, aby je smakować, czułem już tylko szybkie i bolesne bicie własnego serca. W pewnej chwili Albertyna pochylała do mnie z porozumiewawczą miną swoją pełną i różową twarz, udając, że ma pierścionek, aby zmylić lisa i nie dać mu patrzeć w stronę, którą pierścionek przechodził. Zrozumiałem natychmiast, że znaczące spojrzenia Albertyny odnoszą się do tego podstępu; ale zmieszałem się, widząc, jak przez jej oczy przechodzi — zmyślony po prostu dla celów gry — obraz sekretu, porozumienia, którego nie było między nami, ale które od tej chwili zdało mi się możebne i byłoby mi bosko słodkie. Podczas gdy mnie kołała ta myśl, uczułem lekki ucisk dłoni Albertyny i jej pieszczotliwy palec wsuwający się pod mój palec; zarazem ujrzałem, że ona zmrużeniem oka daje mi znak, który stara się uczynić niedostrzegalnym. Natychmiast tłum nadziei, dotąd niewidocznych dla mnie samego, skryształizował się: „Korzysta z gry, aby mi okazać, że mnie kocha” — pomyślałem na szczycie radości, z którego runąłem niebawem, kiedy Albertyna powiedziała mi, wściekła:

— Ależ niechże pan bierze, od godziny go panu podaję.

Ogluszony rozpaczą, puściłem sznurek, lis spostrzegł pierścionek, rzucił się na niego, musiałem wrócić do środka, zrozpaczony, patrząc na oszalałe koło wirujące dokoła mnie, smagany drwinami dziewcząt, zmuszony nawzajem śmiać się, kiedy tak mało miałem chęci do śmiechu, podczas gdy Albertyna powtarzała:

— Nie trzeba się brać do gry, kiedy się nie chce uważać i tylko się pakuje innych. Nie będzie się go zapraszać w dzień, kiedy będziemy grali, Anda, albo też ja nie przyjdę.

Anna, wyższa ponad te zabawy i nucąca piosnkę o „lisku”, którą jedynie przez ducha naśladownictwa podejmowała bez przekonania Rozamonda, chciała przerwać wymówki Albertyny, mówiąc do mnie:

— Jesteśmy o dwa kroki od tych Creuniers, które pan tak chciał widzieć. O, zaprowadzę pana na samo miejsce ładną dróżką, podczas gdy te wariatki będą udawały ośmioletnie dzieci.

Ponieważ Anna była dla mnie nadzwyczaj miła, zwierzyłem jej w drodze wszystko, co mi się wydawało sposobne dla pozyskania serca Albertyny. Odpowiedziała, że i ona ją bardzo kocha, że Albertyna jest doprawdy urocza; jednakże moje komplementy pod adresem przyjaciółki nie zdawały się Annie sprawiać przyjemności. Naraz, w zapadłej dróżce, zatrzymałem się wzruszony słodkim wspomnieniem dzieciństwa: po wyciętych i błyszczących liściach wysuwających się jakby na próg, poznałem krzak głogu, odarty, niestety, z kwiatów od końca wiosny. Dokoła mnie unosiła się atmosfera dawnych majowych nabożeństw, niedzielnych popołudni, zapomnianych wierzeń i błędów. Byłbym ją chciał pochwycić. Zatrzymałem się na sekundę; z uroczą intuicją Anna pozwoliła mi rozmawiać chwilę z liśćmi tego krzewu. Pytałem ich, co robią kwiaty, owe kwiaty głogu, podobne do wesołych młodych dziewcząt, roztrzepanych, zalotnych i nabożnych. „Och, te panienki odjechały już dawno” — powiadały mi liście. I może myślały, że jak na tego wielkiego przyjaciela, za jakiego się podawałem, nie wydają się zbyt poinformowany o ich zwyczajach. Wielki przyjaciel, co ich nie widział od tylu lat, mimo swoich przyrzeczeń! A przecież, jak Gilberta była dla mnie pierwszą miłością młodej dziewczyny, tak one były moją pierwszą miłością kwiatu. „Tak, wiem, odchodzą w połowie czerwca — odparłem

— ale miło mi jest oglądać miejsce, gdzie mieszkały. Przyszły mnie odwiedzić w Combray w moim pokoju, sprowadzone przez matkę, kiedy byłem chory. I spotykaliśmy się w soboty wieczór na nabożeństwie majowym. Czy mogę na nie chodzić tutaj?”. „Och, naturalnie! Te panienki są bardzo mile widziane w kościele Saint-Denis du Désert, to najbliższa parafia”. „Więc teraz mógłbym je widzieć...”. „Och, nie przed majem przyszłego roku”. „Ale mogę być pewny, że będą tutaj?”. „Regularnie co rok”. „Tylko nie wiem, czy potrafię odnaleźć miejsce”. „Och, z pewnością, te panienki są tak wesołe, bez przerwy śmieją się, o ile nie śpiewają kantyczek, tak że nie może być pomyłki; od samego początku ścieżki poznasz ich zapach”.

Wróciłem do Anny i zacząłem znów przed nią wychwalać Albertynę. Zdawało mi się niemożliwe, aby Anna nie powtórzyła jej moich słów, zważywszy nacisk, z jakim mówiłem. A jednak nigdy nie słyszałem, aby się Albertyna dowiedziała o tym. A przecież Anna miała o wiele więcej od Albertyny inteligencji serca, subtelnej uprzejmości. Celowała w tym, aby znaleźć spojrzenie, słowo, postępek, mogące najdelikatniej zrobić przyjemność; ukryć myśl zdolną sprawić przykrość; poświęcić (nie okazując, że to jest poświęcenie) godzinę zabawy, nawet jakiś podwieczorek, *garden-party*, po to aby zostać z przyjacielem lub przyjaciółką w smutku i okazać tym samym, że przekłada ich towarzystwo nad płochę przyjemności. Ale kiedy się znało Annę trochę lepiej, można by rzec, że z nią jest tak jak z owymi bohaterskimi tchórzami, którzy nie chcą się bać i u których odwaga jest szczególną zasługą; można by rzec, że na dzień jej natury nie było wcale owej dobroci, jaką objawiała co chwila przez dystynkcję moralną, przez wrażliwość serca, przez szlachetną wolę okazania się dobrą przyjaciółką. Słuchając przemitych rzeczy, jakie mi mówiła Anna o możliwym związku serc między Albertyną a mną, sądziłoby się, że ona będzie pracowała wszelkimi siłami, aby ziścić ten związek. Otóż może przypadkiem, ale nigdy nie uczyniła najmniejszego drobiazgu — z tego, co mogła uczynić — aby mnie połączyć z Albertyną; i nie przysięgłbym, czy mój wysiłek dla zdobycia serca Albertyny — jeżeli nie spowodował ze strony jej przyjaciółki tajemnych kontrmachinacji — nie obudził bodaj w Annie gniewu, dobrze ukrywanego zresztą i może przez delikatność zwalczanego przez nią samą. Do tysiąca wyrafinowań dobroci, jakie miała Anna, Albertyna byłaby niezdolna; a mimo to, nie byłem tak pewny głębokiej dobroci Anny, jak później byłem pewny dobroci Albertyny. Zawsze pełna tkliwego wyrozumienia dla kipiącej pustoty Albertyny, Anna miała dla niej słowa i uśmiechy prawdziwej przyjaciółki; co więcej, postępowała jak przyjaciółka. Widziałem co dzień, jak aby dzielić z Albertyną swój zbytek, aby uszczęśliwić tę ubogą koleżankę, zadawała sobie, nie mając w tym najmniejszego interesu, więcej trudu niż dworak żądny pozyskać łaskę panującego. Była czarująco słodka, miała smutne i uroczne słowa, kiedy się przy niej ubolewało nad ubóstwem Albertyny; zadawała sobie dla niej tysiąc razy więcej trudu, niżby to uczyniła dla jakiej bogatej przyjaciółki. Ale jeżeli ktoś zauważył, że Albertyna nie jest może taka biedna, jak się mówi, ledwie dostrzegalna chmura przesłaniała czoło i oczy Anny; była jak gdyby niezadowolona. A jeżeli się ktoś posunął do twierdzenia, że ostatecznie mniej może trudno będzie Albertynie wyjść za męża, niżby się sądziło, Anna przeczyła energicznie i powtarzała niemal wściekła: „Niestety, nie! Niepodobna jej będzie znaleźć męża! Wiem z pewnością, i bardzo mnie to martwi!”. W stosunku do mnie ze wszystkich dziewcząt ona jedna nie powtórzyłaby mi nigdy czegoś niezbyt miłego, co by ktoś mógł o mnie powiedzieć; co więcej, o ile ja sam opowiadałem coś takiego, udawała, że nie wierzy, lub podsuwała interpretację, odejmującą danym słowom sens ujemny: zbiór tych właśnie przymiotów nazywamy taktem. Jest on właściwością ludzi, którzy, kiedy mamy pojedynek, winszują nam i dodają, że nie było koniecznego powodu do orężnego starcia, aby tym jeszcze pomnożyć w naszych oczach odwagę, jakiej złożyliśmy dowód, nie będąc do tego zmuszeni. Są przeciwieństwem ludzi, którzy w tych samych okolicznościach mówią: „To musi być bardzo przykre dla pana bić się; ale z drugiej strony nie mógł pan połknąć takiego afrontu, nie mógł pan zrobić inaczej”. Ale każda rzecz ma dwie strony. Jeżeli przyjemność lub bodaj obojętność naszych przyjaciół w powtarzaniu nam czegoś obraźliwego, co o nas powiedziano, świadczy, że nie bardzo wczuwają się w nas, waląc w nas jak w bęben, w zamian sztuka skrywania nam zawsze tego, co może nam być niemiłe w sądach, jakie o nas słyszeli, lub w sądzie, jaki powzięli stąd o nas sami, może dowodzić — u przyjaciół drugiej kategorii, u owych przyjaciół pełnych taktu — znacznej dawki

obludy. Obluda niewinna, jeżeli w istocie nie mogą myśleć nic złego i jeżeli owe ujemne sądy o nas sprawiają im jedynie przykrość, jak sprawiłyby ją nam samym. Myślałem, że tak jest z Anną, nie będąc jednak tego absolutnie pewny.

Wyszliśmy z lasku i szliśmy siecią dość mało uczęszczanych drózek, w których Anna orientowała się bardzo dobrze:

— Ot — rzekła naraz — pańskie sławne Creuniers, i ma pan szczęście, właśnie w taki czas, w takim świetle, w jakim je Elstir malował.

Ale byłem jeszcze zbyt smutny, że grając w lisa, spadłem z takiego szczytu nadziei. Toteż bez przyjemności, jaką byłbym z pewnością odczuł w innych okolicznościach, ujrzałem nagle u swoich stóp wtulone między skały, gdzie się chroniły przed upałem, boginie morskie, które Elstir tropił i zdybał, pod ciemnym stokiem równie pięknym, co gdyby był pędzla Leonarda; cudowne Cienie schowane i ulotne, ruchliwe i milczące, gotowe za pierwszą falą światła wślizgnąć się pod kamień, ukryć się w szczelinę, po czym, skoro przejdzie groźba promienia, gotowe wrócić szybko do skał lub wodorostów pod słońcem rozpylającym glazy, i do odbarwionego Oceanu, nad którego sennością zdają się czuwać te nieruchome i lekkie strażniczki, ukazując na powierzchni wód swoje lepkie ciała i uważne spojrzenie ciemnych oczu.

Połączyliśmy się z resztą dziewcząt, aby wracać. Wiedziałem teraz, że kocham Albertynę; ale, niestety, nie kwapiłem się jej tego wyznać. Bo od czasu zabaw na Polach Elizejskich, o ile istoty, jakich się chwytala kolejno moja miłość, pozostawały prawie identyczne, moje pojęcie miłości zmieniło się. Z jednej strony wyznanie, zwierzenie moich uczuć ukochanej osobie nie wydawało mi się już zasadniczym i koniecznym aktem miłości; a sama miłość nie zdawała mi się zewnętrzną realnością, lecz tylko subiektywną przyjemnością. I czułem, że Albertyna tym więcej czyniłaby wszystko, co trzeba, aby tę przyjemność podtrzymać, im bardziej byłaby nieświadoma tego, że jej doznaję.

Przez cały ten powrót obraz Albertyny, roztopiony w świetle promieniejącym z innych dziewcząt, nie był jedynym, który istniał dla mnie. Ale jak księżyc, będący w ciągu dnia zaledwie białą chmurką o bardziej określonej i stałej formie, nabiera całej swojej mocy z chwilą, gdy dzień zgaśnie, tak za powrotem do hotelu jedynie obraz Albertyny wzniósł się w moim sercu i zaczął w nim błyszczeć. Własny pokój wydał mi się nagle nowy. Zapewne od dawna nie był już owym wrogim pokojem z pierwszego wieczora. Zmieniamy niestrudzenie swoje mieszkanie dokoła siebie; w miarę jak przyzwyczajenie zwalnia nas od czucia, usuwamy szkodliwe składniki koloru, wymiaru i zapachu, obiektywizujące naszą przykrość. Nie był to już również pokój mający jeszcze dość wpływu na moją wrażliwość, nie aby mi kazać cierpieć, ale aby mi dać radość; to już nie była owa kadź pełna pięknych dni, podobna do basenu, gdzie błyszczał lazur rozcieńczony światłem, jakie skupił na chwilę, nieuchwytny i biały niby emanacja upału, odbity i uciekający żagiel; ani też nie był to czysto estetyczny pokój malarskich wieczorów; to był pokój, gdzie spędził tyle dni, że go już nie widziałem. Otóż w tej chwili zacząłem na nowo otwierać na niego oczy, ale tym razem z egoistycznego punktu widzenia, właściwego miłości. Myślałem, że to piękne, skośne lustro, te wytworne oszklone szafy, dałyby Albertynie, gdyby mnie przyszła odwiedzić — korzystne pojęcie o mnie. W miejsce przelotnej siedziby, gdzie spędził chwile przed wymknięciem się na plażę lub do Rivebelle, mój pokój stawał mi się znów rzeczywisty i drogi, odnawiał się, bo widziałem i oceniałem każdy jego mebel oczami Albertyny.

W kilka dni po grze w lisa, kiedyśmy się na jakimś spacerze wypuścili za daleko, ucieszyliśmy się, znalazłszy w Maineville dwa wózeczki po dwa miejsca, które nam pozwoliły zdążyć na obiad. Uczucie moje do Albertyny, już wówczas żywe, miało ten skutek, że kolejno zaproponowałem Rozamondzie i Annie, aby siadły ze mną, a ani razu Albertynie; a później, że, wciąż zapraszając szczególnie Annę i Rozamondę, a równocześnie argumentując chytrze względami na godzinę, na drogę i na płaszcze, doprowadziłem je wreszcie do tego, aby zdecydowały, jak gdyby wbrew mojej woli, że najpraktyczniej będzie, gdy zabiorę z sobą Albertynę, na której towarzystwo wydawałem się zrezygnowany. Na nieszczęście miłość dąży do całkowitego wchłonięcia drugiej istoty, nie da się jej spożyć wyłącznie przez konwersację! Toteż daremnie Albertyna była ze mną w tej powrotnej drodze niezmiernie miła; kiedy ją wysadziłem przed domem, zostawiła mnie szczęśliwym, ale bardziej jeszcze zgłodniałym jej niż byłem przy wyjeździe i liczącym spędzone z nią

chwile jedynie jako wstęp — sam przez się mało ważny — do chwil, które nastąpią. Ten wstęp miał zresztą ów pierwszy urok, jakiego się już nie odnajduje. O nic jeszcze nie prosiłem Albertyny. Mogła zgadywać, czego pragnę; ale, nie będąc tego pewna, mogła przypuszczać, że ja dążę jedynie do stosunków bez określonego celu, w których ona sama musiała znajdować ową rozkoszną mglistość, bogatą w oczekiwane niespodzianki, słowem — romantyczność.

W następnym tygodniu ledwie się starałem ujrzeć Albertynę. Udawałem, że wolę Annę. Miłość zaczyna się, chciałoby się zostać dla kochanej osoby nieznanym, którego ona może pokochać; ale potrzebuje się jej, potrzebuje się dotykać nie tyle jej ciała, ile jej myśli, serca. Pisząc do niej, wsuwa się w list jakąś złośliwość, która każe obojętnej poprosić nas o coś miłego; i miłość, wedle niezawodnej techniki, chwyta nas przerywanym ruchem w tryby, w których niepodobna już ani nie kochać, ani być kochanym. Oddawałem Annie godziny, w których inne szły na jakąś zabawę, wiedząc, że Anna poświęci ją dla mnie z ochotą i poświęciłaby mi ją nawet z żalem, przez wykwinął moralny, aby w drugich i w sobie samej nie dopuścić myśli, że przywiązuje wagę do jakiejś światowej rozrywki. Starałem się ją mieć co wieczora wyłącznie dla siebie, nie tyle pragnąc w Albertynie wzbudzić zazdrość, ile zwiększyć w jej oczach swój urok lub bodaj nie stracić go, co mi groziło, gdybym okazał Albertynie, że kocham ją, a nie Annę. Nie mówiłem tego również Annie z obawy, by nie powtórzyła tamtej. Kiedy mówiłem o Albertynie z Anną, udawałem chłód, w który Anna może mniej wierzyła niż ja w jej pozorną łatwowierność. Ona udawała, że wierzy w moją obojętność dla Albertyny i że pragnie najdoskonalszego zbliżenia między Albertyną a mną. Prawdopodobne jest, iż, przeciwnie, ani wierzyła w jedno, ani pragnęła drugiego. Podczas gdy ja mówiłem, że dość mało zależy mi na jej przyjaciółce, myślałem tylko o jednym: o tym, aby wejść w stosunki z panią Bontemps, która znalazła się na tydzień w pobliżu Balbec i u której Albertyna miała niebawem spędzić parę dni. Oczywiście nie zdradzałem przed Anną tego pragnienia i kiedy ja mówiłem o rodzinie Albertyny, robiłem to z pozorną obojętnością. Ścisłe odpowiedzi Anny nie zdawały się podawać w wątpliwość mojej szczerości. Czemuż jednego z owych dni wyrwało się jej: „Właśnie widziałam ciotkę Albertyny”. Zapewne, Anna nie powiedziała mi: „Odgadłem pod wszystkimi twymi słowami, rzucanymi niby na wiatr, że ty myślisz tylko o tym, aby się zbliżyć do ciotki Albertyny”. Ale słówko: „właśnie” zdawało się wiązać w myślach Anny specjalnie z tą myślą, którą uważała za ładniejszą ukryć przede mną. To słówko było z gatunku pewnych spojrzeń, gestów, które, mimo iż nie mają formy logicznej, racjonalnej, wprost wypracowanej dla inteligencji słuchacza, dochodzą doń wszelako w swoim prawdziwym znaczeniu, tak jak słowo ludzkie, zmienione w telefonie w elektryczność, staje się na powrót słowem i dochodzi naszych uszu. Aby zatrzeć w głowie Anny myśl, że ja się interesuję panią Bontemps, mówiłem później o niej nie tylko obojętnie, ale niezbyt chętnie; mówiłem, że spotykałem dawniej tę wariatkę i mam nadzieję, że już mi się to nie zdarzy. Otóż, wręcz przeciwnie, próbowałem na wszystkie sposoby spotkać ją.

Starałem się uzyskać od Elstira, aby, nie mówiąc nikomu, że go prosił o to, wspomniał pani Bontemps o mnie i zetknął mnie z nią. Przyrzekł mi jej przedstawić, dziwiąc się zresztą, że ja sobie tego życzę, uważał ją bowiem za kobietę lichego gatunku, intrygantkę i równie nieinteresującą jak interesowną. Myśląc, iż gdybym wszedł w stosunki z panią Bontemps, prędzej lub później Anna wiedziałaby o tym, sądziłem, że lepiej ją uprzedzić.

— Rzeczy, których najbardziej chcemy uniknąć, bywają właśnie nie do uniknięcia — rzekłem. — Nie może być dla mnie nic nudniejszego niż spotkać panią Bontemps, a mimo to nie ominie mnie to, Elstir ma mnie zaprosić z nią razem.

— Nie wątpiłam o tym ani na chwilę — wykrzyknęła Anna z goryczą, przy czym jej rozszerzone i zmienione niezadowolaniem oczy wpatrywały się w coś niewidzialnego. Te słowa Anny nie były najściślejszym wyrazem myśli, którą można by streścić tak: „Wiem, że kochasz Albertynę i stajesz po prostu na głowie, aby się zbliżyć do jej rodziny”. Były to raczej bezkształtne, ale dające się zestawić szczątki tej myśli, którą przyprawilem o eksplozję, potracając ją mimo woli Anny. Jak owo „właśnie”, tak i te słowa miały sens jedynie pośrednio; to znaczy były z tych, które (bardziej od słów mówiących wprost) budzą w nas szacunek lub nieufność w stosunku do kogoś, stają się przyczyną zerwania.

Skoro Anna nie uwierzyła mi, kiedy jej mówiłem, że rodzina Albertyny jest mi obojętna, znaczy to, że myślała, iż ja kocham Albertynę. I zapewne nie sprawiała jej to przyjemności.

Zazwyczaj Anna brała udział w moich spotkaniach z jej przyjaciółką. Jednakże bywały dni, kiedy miałem widzieć Albertynę samą. Owych dni oczekiwałem w gorączce; mijały, nie przynosząc mi nic rozstrzygającego, nie stawszy się owym zasadniczym dniem, którego rolę powierzałem natychmiast następnemu, niemającemu jej spełnić również; i tak walily się jeden po drugim — niby fale — owe szczyty natychmiast zastępowane innymi.

Blisko w miesiąc po zabawie w lisa, powiedziano mi, że Albertyna wyjeżdża nazajutrz, aby spędzić dwa dni u pani Bontemps i że, zmuszona wstać wcześniej na pociąg, zanocuje poprzedniego dnia w Grand-Hotelu, skąd będzie mogła omnibusem, nie robiąc kłopotu przyjaciółkom, u których mieszkała, zdążyć do pierwszego pociągu. Wspomniałem o tym Annie.

— Nie przypuszczam, aby to była prawda — rzekła niechętnie Anna. — Zresztą to by panu niewiele pomogło, bo jestem pewna, że Albertyna nie zechce się z panem widzieć, jeżeli się zatrzyma w hotelu sama. To by nie było protokolarne — dodała, posługując się przymiotnikiem, którego od jakiegoś czasu lubiła używać w znaczeniu czegoś, co „nie wypada”. — Mówię to panu, bo znam poglądy Albertyny. Bo ja, cóż pan chce, co mi może zależeć na tym, czy ją pan zobaczy czy nie. Mnie to jest obojętne.

Przyłączył się do nas Oktaw, niedrożący się z opowiedzeniem Annie ilości punktów, jakie zrobił poprzedniego dnia w golfa, a potem Albertyna, manewrując po drodze swoim *diabolo* niby zakonnica różańcem. Dzięki tej grze mogła spędzać całe godziny sama, nie nudząc się. Skoro podeszła do nas, uderzył mnie krnąbrny koniuszek jej nosa, który pominąłem, myśląc o niej w ostatnich dniach; pod czarnymi włosami prostopadłość jej czoła przeciwstawiła się — i to nie pierwszy raz — przechowanemu przeze mnie mętnemu obrazowi tego czoła, kiedy swoją białością wgryzało się w moje spojrzenia: wyłaniając się z pyłu wspomnień, Albertyna odbudowywała się przede mną. Golf stwarza nawyk samotnych przyjemności. Te, które daje *diabolo*, niewątpliwie należą do nich. Jednakże zbliżywszy się do nas, Albertyna ćwiczyła się dalej, wciąż rozmawiając z nami, jak dama, do której zaszły przyjaciółki, nie przerywa sobie roboty szydełkiem.

— Zdaje się — rzekła do Oktawa — że pani de Villeparisis wniosła reklamację do pańskiego ojca... — (i usłyszałem poza tym zdaniem nuty szczególnie właściwe Albertynie; za każdym razem, kiedy stwierdzałem, że ich zapomniałem, przypomniałem sobie równocześnie, że już widział za nimi rezolutną i francuską minę Albertyny. Mógłbym oślepnąć, a poznać niektóre z jej energicznych i nieco prowincjonalnych cech w owych nutach, równie dobrze jak w zakończeniu jej noska. Obie te rzeczy były równowartościowe i mogły się zastąpić wzajem; a głos jej był jak ten, który ziści się — powiadają — w fototelefonie przyszłości: dźwiękiem kreślił wyraźnie wzrokowy obraz). — Nie tylko napisała do pańskiego ojca, ale równocześnie do mera Balbec, żeby nie było już wolno grać w *diabolo* na promenadzie; dostała krążkiem w głowę.

— Tak, słyszałem już o tej skardze. To śmieszne. Nie mamy tu zbyt wiele rozrywek.

Anna nie mieszała się do rozmowy; nie знаła, tak samo zresztą jak Albertyna i Oktaw, pani de Villeparisis.

— Nie wiem, czemu ta dama narobiła takich historii — rzekła wreszcie Anna — stara pani Cambremer też dostała krążkiem, a nie skarżyła się.

— Ja wam wytłumaczę różnicę — rzekł poważnie Oktaw, pocierając zapałkę. — Wedle mego zdania, pani de Cambremer to jest kobieta z wielkiego świata, a pani de Villeparisis tylko się tam wpycha. Czy pójdziecie na golfa po południu?

I opuścił nas, zarówno jak Anna. Zostałem sam z Albertyną.

— Widzi pan — rzekła — noszę teraz włosy tak jak pan lubi; niech pan popatrzy na ten loczek. Wszyscy drwią sobie, a nikt nie wie, dla kogo to robię. Ciotka będzie sobie również żartowała ze mnie. Także nie powiem jej przyczyny.

Patrzałem z boku na policzki Albertyny; często wydawały się blade, ale w tej chwili były nastrzykane jasną krwią, która je rozświetlała i dawała im połysk owych zimowych poranków, kiedy w słońcu kamienie robią się podobne do różowego granitu i wydzielają radość. Radość, jaką mi dawał w tej chwili widok lic Albertyny, była równie żywa, ale

wiodła do innego pragnienia — nie przechadzki, lecz pocałunku. Spytałem, czy naprawdę ma ten zamiar, o którym słyszałem.

— Tak — rzekła — przenocuję w hotelu, a że jestem trochę zakatarzona, położę się przed obiadem. Może mi pan asystować do obiadu przy łóżku, a potem będziemy się bawili, w co pan zechce. Cieszyłabym się, gdyby pan przyszedł na kolej jutro rano, ale boję się, żeby się to nie wydało dziwne, nie mówię Annie, bo ona jest inteligentna, ale innym, które tam będą. Gdyby to powiedziano ciotce, wynikłyby stąd całe historie: ale będziemy mogli spędzić ten wieczór razem. O tym ciotka nic się nie dowie. Pójdę się pożegnać z Anną. Zatem, do zobaczenia. Niech pan przyjdzie wcześniej, będziemy mieli dobrych parę godzin dla siebie — dodała z uśmiechem.

Słowa te cofnęły mnie dalej niż w czasy, gdym kochał Gilbertę; w czas, gdy miłość zdawała mi się istnością nie tylko zewnętrzną, ale mogącą się urzeczywistnić. Podczas gdy Gilberta widywana na Polach Elizejskich była inną od tej, którą odnajdywałem w sobie, zostawszy sam, naraz w Albertynę rzeczywistą, tę, którą widywałem co dzień, którą uważałem za pełną mieszczańskich przesądów i tak szczerą wobec ciotki, wcieliła się Albertyna imaginacyjna, ta, która — kiedy jej nie znałem jeszcze — przyglądała mi się (tak sądziłem) ukradkiem na promenadzie, która szła do domu jak gdyby wbrew chęci, patrząc, jak ja się oddalam.

Poszedłem na obiad z babką, czułem w sobie sekret, którego ona nie znała. Toż samo z Albertyną: jutro przyjaciółki zobaczą ją, nie wiedząc, ile nowego zaszło między nami! I pani Bontemps, całując siostrzenicę w czoło, nie będzie wiedziała, że ja jestem między nimi, w tym uczesaniu, które miało za cel — ukryty dla wszystkich — podobać się mnie, mnie, dotąd tak zazdroszczącemu pani Bontemps, że jest spokrewniona z tymi samymi osobami, co jej siostrzenica, że nosi te same żaloby, składa te same rodzinne wizyty; otóż ja czułem się dziś dla Albertyny czymś więcej nawet niż jej ciotka. Będąc z ciotką, będzie myślała o mnie. Co się miało dziać za chwilę, nie bardzo wiedziałem. W każdym razie Grand-Hotel i wieczór nie wydawały mi się już puste; zawierały moje szczęście. Zadzwoiłem na windziarza, aby pójść do pokoju (od strony doliny), który zatrzymała Albertyna. Najłżejsze ruchy — na przykład usiąść na ławeczce w windzie — sprawiały mi rozkosz, bo były w bezpośrednim związku z moim sercem; w linach, przy których pomocy aparat się wznosił, w kilku schodach pozostałych do przebycia widziałem jedynie zmaterializowany mechanizm swojej radości. Miałem już tylko parę kroków do pokoju, gdzie była zamknięta szacowna substancja tego różowego ciała. Ów pokój, nawet gdyby się tam miały dziać upajające rzeczy, zachowałby tę codzienność, ten wygląd, że jest — dla niepoinformowanego przechodnia — podobny do wszystkich innych; cechy czyniące z martwych przedmiotów uparcie niemych świadków, skrupulatnych powierników, nieprzedajnych piastunów rozkoszy.

Tych kilka kroków do progu Albertyny, kilka kroków, których już nikt nie mógł powstrzymać, zrobiłem z rozkoszą, ostrożnie, jakby zanurzony w nowym żywiole, jak gdybym posuwając się wolno, przenosił szczęście. Zarazem czyniłem to z nieznanym uczuciem wszechpotęgi, z uczuciem, że obejmuję wreszcie dziedzictwo, od wszech czasów będące moim. Potem nagle pomyślałem, że niesłusznie mam wątpliwości; powiedziała mi, żebym przyszedł, kiedy się położę. To było jasne, drżałem z radości, na wpeł przewróciłem Franciszkę, która znalazła się na drodze; biegłem z błyszczącymi oczami do pokoju Albertyny.

Zastałem ją w łóżku. Odslaniając szyję, biała koszula zmieniała proporcje jej twarzy, która, przekrwiona leżeniem, katarem lub obiadem, zdawała się różowsza; pomyślałem o kolorach, które miałem kilka godzin wprzód obok siebie na promenadzie i których wreszcie miałem poznać smak; policzek jej przecinało pionowo pasmo czarnych i kręjących się włosów, które na moją intencję Albertyna rozplotła całkowicie. Patrzała na mnie z uśmiechem. Obok niej w oknie blask księżycy oświecał dolinę. Widok nagej szyi Albertyny, widok tych nazbyt różowych policzków, wprawiał mnie w upojenie, to znaczy pomieścił dla mnie rzeczywistość świata już nie w naturze, ale w strumieniu wrażeń, które z trudem mogłem powstrzymać. Widok ten zwichnął równowagę między olbrzymim, niezniszczalnym życiem, toczącym się w głębi mnie, a życiem wszechświata, tak wątlwym w porównaniu z tamtym. Morze, widziane w oknie obok doliny, wzdęte łona najbliż-

szych skał Maineville, niebo, na którym księżyc jeszcze nie dosięgnął zenitu, wszystko to zdawało się lżejsze niż piórko kulom moich źrenic, które czułem między powiekami, rozszerzone, odporne, gotowe dźwignąć na swej delikatnej powierzchni o ileż większe ciężary, wszystkie góry świata! Orbity ich nie wypełniała dostatecznie nawet sfera horyzontu. I wszystko życie, jakie mogłaby przynieść natura, wydałoby mi się bardzo nikłe; wiatr od morza wydałby mi się bardzo słaby dla olbrzymiego wdechu wznoszącego moją pierś.

Nachyliłem się nad Albertyną, aby ją pocałować. Gdyby śmierć miała mnie ugodzić w tej chwili, wydałoby mi się to obojętne lub raczej niemożliwe, bo życie nie było poza mną — było we mnie. Uśmiechnąłbym się litośnie, gdyby jakiś filozof mi oznajmił, że pewnego dnia, bodaj odległego, będąc musiał umrzeć, że wiekuiste siły natury przeżyją mnie, siły owej natury, pod której boskimi stopami byłem tylko ziarnkiem pyłu; że po mnie będą jeszcze istniały te okrągłe i wydęte skały, to morze, ten blask księżyca, to niebo! Jakżeby to było możliwe, jakżeby ten świat mógł trwać dłużej ode mnie, skoro ja nie byłem zgubiony w nim, skoro to on był zawarty we mnie, we mnie, którego niezdolny był wypełnić, we mnie, gdzie, czując w sobie miejsce dla tylu innych skarbów, rzuciłem wzgardliwe w kąt niebo, morze i skały.

— Przystań, bo zadzwonię — wykrzyknęła Albertyna, widząc, że się rzucam, aby ją całować. Ale ja sobie powiadałem, że jeżeli dziewczyna sprowadza młodego człowieka po kryjomu, urządzając się tak, aby ciotka o niczym nie wiedziała, to nie po to, aby się to skończyło na niczym; że odwaga sprzyja tym, co umieją korzystać ze sposobności. W tym stanie podniecenia krągła twarz Albertyny, oświetlona wewnętrznym ogniem niby nocną lampką, nabierała dla mnie takiej plastyki, że, naśladując obrót płonącej kuli, zdawała mi się kręcić, niby owe twarze Michała Anioła unoszone nieruchomym i zawrotnym wirami. Miałem poznać zapach, smak tego różowego, nieznanego owocu...

Usłyszałem gwałtowny, przeciągły i krzykliwy dźwięk. Albertyna zadzwoniła ze wszystkich sił.

Sądziłem, że miłość moja do Albertyny nie opiera się na nadziei fizycznego posiadania. Jednakże kiedyś — wnosząc za doświadczenia tego wieczoru — uwierzył, że to posiadanie jest niemożliwe i że, wywnioskowawszy pierwszego dnia na plaży, iż Albertyna jest zepsuta, przeszedłszy później przez pośrednie stadia, uznałem obecnie jako niewątpliwy fakt to, że ona jest absolutnie cnotliwa; kiedy, wróciwszy od ciotki w tydzień później, powiedziała mi chłodno: „Przebaczam panu, żałuję nawet, że panu sprawiła przykrość, ale niech pan już nie robi tego nigdy” — wówczas, na wspak memu stanowi ducha po rewelacji Blocha, iż można mieć wszystkie kobiety, doznałem uczucia takiego, jak gdybym w miejsce rzeczywistej młodej dziewczyny, miał do czynienia z lalką woskową. Tym samym znikło gdzieś moje pragnienie wnikięcia w życie Albertyny, pójścia za nią w kraje jej dzieciństwa, wnikięcia przez nią w życie sportu. Moja intelektualna ciekawość tego, co ona myśli o tym lub owym przedmiocie, nie przeżyła wiary w możliwość całowania jej. Moje marzenia porzuciły ją, skoro przestała je podsycać nadzieją posiadania, od której sądziłem, że są niezależne. Z tą chwilą marzenia te uczuły się swobodne, zdolne kierować się na tę lub inną z przyjaciółek Albertyny, szczególnie Annę — zależnie od uroku którejś z nich danego dnia, a zwłaszcza od możliwości i widoków pozyskania ich serca. Jednakże gdyby Albertyna nie była istniała, może nie zaznałbym przyjemności, jaką coraz to więcej przez następne dni zacząłem znajdować w sympatii, którą mi okazywała Anna.

Albertyna nie opowiedziała nikomu mojej porażki. Była ona z tych ładnych dziewczyn, które, od najwcześniejszej młodości, dla swojej urody, ale zwłaszcza dla jakiegoś powabu, dla wdzięku dość tajemniczego zresztą i mającego źródło może w zasobach żywotności, z których mniej szczęśliwe natury czerpią, zawsze — w swojej rodzinie, wśród przyjaciółek, w towarzystwie — podobały się bardziej niż najpiękniejsze i najbogatsze. Była z rzędu istot, od których przed wiekiem miłości, a tym bardziej kiedy ten wiek przyszedł, żąda się więcej, niż one żądają, a nawet niż mogą dać. Od dzieciństwa Albertyna była zawsze przedmiotem podziwu kilku małych towarzyszek; wśród nich Anny, która była od niej o tyle wartościowsza i wiedziała o tym. Może ta siła przyciągania, jaką bardzo mimo woli wywierała Albertyna, była początkiem i podstawą powstania małej „bandy”. Przyciąganie to sięgało nawet dość daleko w środowiska stosunkowo świetniejsze, gdzie kiedy trzeba było odtaćzyć pawane, proszono o to raczej Albertynę niż inną

lepiej urodzoną panienkę. Następstwem tego było, że bez grosza posagu, żyjąc dość lichy zresztą na łasce pana Bontemps, mającego opinię brudas i pragnącego się pozbyć siostrzenicy, Albertyna bywała zapraszana nie tylko na obiad, ale na dłuższy pobyt do osób, które w oczach takiego Saint-Loup byłyby dalekie od wytworności, ale które dla matki Rozamondy lub Anny, kobiet bardzo bogatych, lecz nieustosunkowanych, były czymś niesłychanym. I tak Albertyna spędzała co roku kilka tygodni w domu regenta Banku Francuskiego, prezesa rady nadzorczej wielkiego Towarzystwa Kolei Żelaznych. Żona tego finansisty przyjmowała znaczne osoby i nigdy nie zaprosiła na swój „żurek” matki Anny, która uważała tę damę za impertynentkę, niemniej interesując się mocno wszystkim, co się u niej dzieje. Toteż zachęcała co roku Annę, aby zaprosiła Albertynę do ich willi, bo (powiadała) to jest dobry uczynek dać odetchnąć morskim powietrzem dziewczynie, która sama nie ma środków na podróż, a którą ciotka prawie że się nie zajmuje. Matka Anny nie powodowała się zapewne nadzieją, że regent banku i jego żona, dowiedziawszy się, iż Albertyna tyle zawdzięcza jej i jej córce, powźmie o nich dobre mniemanie; tym bardziej nie spodziewała się, aby Albertyna, mimo iż tak pocziwa i zręczna, potrafiła wyjednać jej lub co najmniej Annie zaproszenie na *garden-party* u wielkiego finansisty. Ale za każdym razem przy obiedzie, przybierając przy tym wzgardliwą i obojętną minę, z zachwytem słuchała opowiadań Albertyny o jej pobycie w pałacu, o ludziach, którzy tam bywają, a których znała prawie wszystkich z widzenia lub z nazwiska. I nawet myślała, że zna ich tylko w ten sposób, to znaczy nie zna (nazywała to znać ludzi „od zawsze”) wzbudzała w matce Anny cięć melancholii, gdy wypytywała o nich Albertynę wyniośle i od niechcienia. Ta myśl mogłaby tchnąć w matkę Anny niepewność i niepokój co do ważności własnej pozycji, gdyby się nie skrzepiła na duchu sama i nie wróciła do „realności życia”, mówiąc z godnością kamerdynerowi: „Powiedz kucharzowi, że groszek był nie dość soczysty”. Wówczas odnajdywała pogodę ducha. I była zdecydowana pozwolić Annie wyjść za mąż jedynie za człowieka z doskonałej rodziny oczywiście, ale dość bogatego na to, aby mogła mieć kucharza i dwóch stangretów. To było pozytywne, niewątpliwa prawda danej sytuacji. Niemniej fakt, że Albertyna była na obiedzie w pałacu regenta Banku z taką lub taką damą, że ta dama zaprosiła ją nawet na następną zimę, to jednak dawało młodej dziewczynie w oczach matki Anny osobliwy urok. Urok ten kojarzył się wybornie z litością, a nawet politowaniem wzbudzonym jej ubóstwem, a pomnożonym faktem, że pan Bontemps zdradził sztandar i sprzymierzył się — nawet trochę panamista, powiadano! — z rządem. To nie przeszkadzało zresztą matce Anny — przez miłość prawdy — piorunować wzgardy ludzi, którzy zdawali się wierzyć, że Albertyna jest niskiego pochodzenia. „Jak to, ależ to świetna rodzina, co tylko może być najlepszego: Simonet, przez jedno «n»”. Z pewnością w środowisku, w którym się to działo, gdzie pieniądz gra taką rolę, gdzie elegancja daje prawo bywania, ale nie żenienia się lub wyjścia za mąż, żadna znośna partia nie zapowiadała się dla Albertyny jako praktyczne następstwo wysokich stosunków, których nie uznano by za kompensatę jej ubóstwa. Ale nawet same w sobie, bez nadziei konsekwencji matrymonialnych, te jej „sukcesy” wzniewały zawiść niektórych matek, bab złych i wściekłych o to, że żona regenta Banku, a nawet o to, że matka Anny — osoby, które one zaledwie znały — przyjmują Albertynę „jak córkę”. Toteż opowiadały wspólnym znajomym, że te panie byłyby oburzone, gdyby wiedziały prawdę, to znaczy, że Albertyna opowiada u jednej (i *vice versa*) wszystko, co zażyłość, do której ją niebacznie dopuszczano, pozwala jej odkryć u drugiej; tysiąc drobnych sekretów, których obieg byłby zainteresowanej osobie bardzo niemiły. Zawistne baby mówiły to w tym celu, aby poróżnić Albertynę z jej protektorkami. Ale te intrygi, jak często się dzieje, nie działały. Znadto czuć w nich było zawiść, co rodziło tylko nieco więcej wzgardy dla kobiet chwytających się tego sposobu. Matka Anny zbyt dobrze wiedziała, co myśleć o Albertynie, aby miała zmienić sąd o niej. Uważała ją za „nieszczęśliwą”, ale za dobrą dziewczynę, myśląc tylko o tym, aby drugim zrobić przyjemność.

Jeżeli powodzenie Albertyny nie wróżyło praktycznego rezultatu, dało jej ono ową charakterystyczną cechę osób zawsze poszukiwanych, nigdy niepotrzebujących się narzucać (cecha, występująca również, z analogicznych przyczyn, na drugim krańcu społeczeństwa, u kobiet z bardzo wytwornego świata). Albertyna nie tylko nie popisywała się sukcesami, ale raczej kryła się z nimi. Nie mówiła nigdy o kimś: „Przepada za mną”; mówiła o wszystkich bardzo życzliwie, tak jakby to ona uganiała się za innymi, szukając

ich towarzystwa. Kiedy była mowa o młodym człowieku, który kilka minut przedtem robił jej w cztery oczy krwawe wymówki, bo mu odmówiła schadzki, Albertyna, daleka od przechwałek lub urazy, chwaliła go: „To taki miły chłopiec”. Była nawet znudzona swoim powodzeniem, bo ją zmuszało do robienia przykrości, gdy z natury lubiła robić przyjemność. Lubiła robić ją wręcz do tego stopnia, że zaczęła uprawiać kłamstwo właściwe niektórym karierowiczom, czasem ludziom, którzy już zrobili karierę. Ten rodzaj nieszczerości, istniejący zresztą w stanie embrionalnym u wielu, polega na tym, aby czyniąc coś, nie ograniczyć się do sprawienia tym przyjemności jednej osobie. Jeżeli na przykład pani Bontemps chciała, aby siostrzenica towarzyszyła jej na nudną wizytę, czyniąc to, Albertyna mogłaby poprzestać na tej korzyści moralnej, że robi przyjemność ciotce. Ale mile przywitana przez gospodarzy, wołała im powiedzieć, że od dawna pragnąc ich widzieć, schwyciła tę sposobność i wyprosiła u ciotki pozwolenie. To jeszcze nie wystarczyło: Albertyna spotkała tam jakąś przyjaciółkę, mającą wielkie zmartwienie; z punktu mówiła jej: „Nie chciałam cię zostawić samej, myślałam, że to ci dobrze zrobi, iż będziesz mnie miała blisko. Jeżeli chcesz, zostawmy tę zabawę, chodźmy stąd, zrobię, co zechcesz, przede wszystkim chcę, żebyś ty była mniej smutna” (co było zresztą prawdą). Zdarzało się, że ten fikcyjny cel niweczył cel realny. I tak, mając prosić o przysługę dla którejś z przyjaciółek, Albertyna udała się do pewnej damy. Ale przybywszy do tej osoby, dobrej i sympatycznej, Albertyna, bezwiednie posłuszna zasadzie wielorakiego wyzyskania jednego uczynku, uważała za grzeczniejsze udać, iż przyszła jedynie z tęsknoty za tą panią, bardzo ujętą tym, że Albertyna wybrała się tak daleko z czystej przyjaźni. Widząc damę niemal wzruszoną, Albertyna czuła dla niej tym więcej sympatii. Ale oto, co się działo: Albertyna odczuwała tak żywo słodycz przyjaźni, będącej rzekomo pobudką jej przybycia, że bała się w oczach tej damy podać w wątpliwość swoje uczucia (istotnie szczerze), w razie gdyby ją poprosiła o przysługę dla przyjaciółki. Dama sądziłaby, że Albertyna przyszła dlatego (co było prawdą), ale wywnioskowałaby, że Albertyna nie czuje bezinteresownej radości z jej widoku (co było mylnie). W rezultacie Albertyna wychodziła, nie poprosiwszy o przysługę. Coś podobnego zdarza się mężczyźnie, który tak szlachetnie postąpił w stosunku do jakiejś kobiety w nadziei uzyskania jej faworów, że nie oświadcza się, aby swojej dobroci zachować znamię bezinteresowności.

W innych wypadkach nie można rzec, aby Albertyna poświęciła prawdziwy cel dla celu przygodnego i wymyślonego *ex post*; ale pierwszy był tak sprzeczny z drugim, że gdyby osoba, którą Albertyna rozczuliła, wyznając jeden cel, dowiedziała się o drugim, przyjemność jej zmieniałaby się natychmiast w najgłębszą przykrość. Dalszy ciąg opowiadania pozwoli (znacznie później) lepiej zrozumieć ten rodzaj sprzeczności. Pokażmy na przykładzie z zupełnie innej kategorii, że te sprzeczności są bardzo częste w najrozmaitszych sytuacjach. Mąż np. zainstalował kochankę w mieście, gdzie pułk jego stoi garnizonom. Żona została w Paryżu; na wpół świadoma prawdy, gryzie się, pisze do męża listy pełne zazdrości. Otóż kochance wypadło udać się na dzień do Paryża. Mąż, uproszony, aby jej towarzyszył, nie może się oprzeć prośbom kochanki i uzyskuje pozwolenie na dwadzieścia cztery godziny. Ale że jest dobry i cierpi nad tym, iż robi przykrość żonie, zjawia się u niej i powiada, wylewając kilka szczerych łez, że zaniepokojony jej smutnymi listami, zdołał się wyrwać, aby ją pocieszyć i uścisnąć. Mógł w ten sposób, za pomocą jednej podróży, dać dowód miłości i kochance, i żonie. Ale gdyby żona się dowiedziała, z jakiej przyczyny on przybył do Paryża, radość jej zmieniałaby się z pewnością w cierpienie, o ile mimo wszystko widok niewiernego nie dał jej więcej szczęścia, niż jej sprawiły bólu jego kłamstwa.

Człowiekiem najkonsekwentniej uprawiającym system wielorakich celów jest z pewnością pan de Norpois. Czasami godził się pośredniczyć między dwoma zwaśnionymi przyjaciółmi, co sprawiało, że go mieniono najuczynniejszym z ludzi. Ale nie wystarczyło mu oddać przysługę temu, który go o to prosił; drugiemu przedstawiał swoją rolę jako krok podjęty nie na prośbę pierwszego, ale w interesie tego właśnie drugiego, o czym łatwo mu było przekonać człowieka, z góry już zasuggestionowanego, że ma do czynienia z „najuczynniejszym z ludzi”. W ten sposób, grając „*sur deux tableaux*”, uprawiając to, co się nazywa w giełdowym języku asekuracją, nigdy nie wystawiał swojego wpływu na żadne ryzyko, a przysługi, jakie oddawał, nie były naruszaniem, lecz fruktyfikacją części jego kredytu. Z drugiej strony, każda usługa, wyświadczona rzekomo podwójnie,

tym bardziej pomnażała jego reputację człowieka uczynnego; i to uczynnego skutecznie, który nie trafia kulą w płot, którego każdy krok ma jakiś cel, czego dowodziła wdzięczność obu zainteresowanych. Ta dwulicowość w uczynności była — nie bez wyjątków, jak u wszelkiej ludzkiej istoty — ważną stroną charakteru pana de Norpois. I często w ministerstwie ex-ambasador posłużył się moim ojcem, człowiekiem dość naiwnym, dając do zrozumienia, że to on ojcu oddał przysługę.

Podobając się więcej, niż chciała, i nie potrzebując obwieszczać swoich sukcesów, Albertyna zachowała milczenie co do owej sceny w hotelu, którą nieładna dziewczyna roztrąbiłaby przed całym światem. Nie umiałem zresztą wytłumaczyć sobie zachowania się Albertyny podczas tej sceny. Co się tyczy hipotezy absolutnej cnoty, przerabiałem ją na różne sposoby. Hipoteza ta, którą zrazu tłumaczyłem gwałtowność, z jaką Albertyna zabroniła mi się całować i wziąć, nie była zresztą nieodzowną dla moich pojęć o jej szczerzej dobroci i uczciwości; ale była tak bardzo sprzeczna z tą, którą stworzyłem sobie pierwszego dnia, gdy ujrzałem Albertynę! Następnie tyle rozmaitych objawów, zawsze bardzo dla mnie miłych (czułość pełna pieszczoty, to znów niespokojna, czujna, zazdrosna o moją sympatię do Anny), otaczało ze wszystkich stron ów szorstki gest, jakim, aby mi się wyrwać, pociągnęła za dzwonek. Czemuż prosiła mnie, abym spędził wieczór przy jej łóżku? Po co te tklive aluzje? Na czym polega chęć widzenia się z przyjacielem, obawa, że może woleć inną, chęć sprawienia mu milej niespodzianki, romantyczne zapewnienie, że nikt nie będzie wiedział o tym wspólnym wieczorze, skoro mu się odmawia przyjemności tak prostej i skoro to nie jest przyjemnością dla niej? Nie mogłem mimo wszystko uwierzyć, aby cnota Albertyny sięgała aż tak daleko; zastanawiałem się w końcu, czy jej wzburzenie nie płynęło z kokieterii — na przykład z obawy, że ma jakiś niemiły zapach (czym bałaby się mnie zrazić) — lub z tchórzostwa, jeżeli na przykład, w swoim niedoświadczeniu realności miłosnych, bała się, że moja nerwowa choroba mogłaby się udzielić przez pocałunek.

Albertyna była z pewnością w rozpacz, że mi nie mogła sprawić przyjemności; dała mi złoty ołówek — przez tę cnotliwą perwersję ludzi, którzy wzruszeni naszym oddaniem, a nie godząc się nam użyć tego, czego ono żąda, chcą wszelako zrobić dla nas coś innego. Tak krytyk, którego artykuł pochlebny powieściopisarzowi, zaprasza go zamiast tego na obiad; księżna nie bierze z sobą snoba do teatru, ale posyła mu swoją łóżę na wieczór, gdy sama z niej nie korzysta. Tak bardzo ci, co robią mniej, a mogliby nie zrobić nic, czują potrzebę zrobienia czegoś. Powiedziałem Albertynie, że dając mi ten ołówek, robi mi wielką przyjemność, ale mniejszą, niż by mi zrobiła, gdyby owego wieczora w hotelu pozwoliła się pocałować.

— To byłoby dla mnie takie szczęście; co tobie to mogło szkodzić, dziwię się, żeś mi tego odmówiła.

— A mnie dziwi — odparła — że panu się to wydaje dziwne. Nie wiem doprawdy, co pan za dziewczęta mógł znać, skoro moje postępowanie pana dziwi.

— Jestem w rozpacz, że panią pogniewałam, ale nawet teraz nie mogę przyznać, abym źle postąpił. Uważam, że to są rzeczy bez znaczenia i nie rozumiem, jak kobieta, mogąc tak łatwo zrobić przyjemność, nie godzi się na to. Nie zrozum mnie fałszywie — dodałem, aby połowicznie uczynić zadość pojęciom moralnym Albertyny, przypominając sobie, jak ona i jej koleżanki potępiły przyjaciółkę aktorki Lei — nie chcę przez to powiedzieć, aby młoda panna mogła robić wszystko i aby nie istniało nic niemoralnego. I tak, na przykład, stosunki, o jakich mówiłaś kiedyś z powodu tej smarkatej, co mieszka w Balbec, między nią a pewną aktorką, to mi się wydaje ohydne, tak ohydne, iż myślę, że to jacyś wrogowie oczernili ją i że to jest nieprawda. To mi się wydaje nieprawdopodobne, niemożliwe. Ale dać się pocałować, a nawet więcej, przyjacielowi, bo sama mówisz, że jestem twoim przyjacielem...

— Jesteś, ale ja miałam innych przyjaciół przed tobą, znałam młodych ludzi, którzy, ręczę ci, mieli dla mnie tyleż przyjaźni. No i nie było ani jednego, który by się ośmielił na podobną rzecz. Wiedział, że by oberwał po papie. Zresztą oni nawet nie myśleli o tym; ściskaliśmy sobie ręce bardzo szczerze, bardzo serdecznie, jak koledzy; nigdy nie było mowy o całowaniu, a mimo to było się dobrymi kompanami. Doprawdy, jeżeli panu zależy na mojej przyjaźni, może pan być zadowolony, bo muszę pana bardzo lubić, żeby to panu przebaczyć. Ale ja jestem pewna, że pan gwizdże na mnie. Niech pan przyzna, że

to Anna się panu podoba. W gruncie ma pan rację, ona jest o wiele miłsza ode mnie, no i jest prześliczna! Och, mężczyźni!

Mimo świeżego zawodu słowa te, tak szczerze, budząc we mnie wielki szacunek dla Albertyny, były mi bardzo słodkie. I może to wrażenie miało dla mnie później wielkie i oplakane następstwa, bo przez nie zaczęło się tworzyć to niemal rodzinne przywiązanie, to jądro duchowe, mające zawsze trwać w mojej miłości do Albertyny. Takie uczucie może być przyczyną największych cierpień. Bo aby naprawdę cierpieć przez kobietę, trzeba było całkowicie w nią uwierzyć. W tej chwili zarodek szacunku, przyjaźni, istniał w mojej duszy niby przyczajony. Sam przez się nie byłby w niczym groził memu szczęściu, gdyby nie rozrastając się, pozostał w bezwładzie, jaki miał zachować przez rok następny, a z tym większą racją przez te ostatnie tygodnie mego pierwszego pobytu w Balbec. Był we mnie niby jeden z owych gości, których mimo wszystko rozsądniej byłoby się pozbyć, ale których cierpi się i pozostawia w spokoju, tak dalece ich słabość i odosobnienie w obcej duszy czyni ich na razie nieszkodliwymi.

Moje marzenia mogły teraz zwracać się ku tej lub innej przyjaciółce Albertyny, przede wszystkim ku Annie, której względy mniej by mnie może wzruszały, gdyby nie pewność, że Albertyna dowie się o nich. Niewątpliwie, udane wyróżnienie, jakim od dawna darzyłem Annę, stworzyło mi — w stylu rozmowy, w tkliwych wyznaniach — niby materiał gotowej miłości do niej. Miłości tej brakło dotąd jedynie dodatku szczerzego uczucia, którego teraz serce moje, znów wolne, mogłoby dostarczyć. Ale na to, abym się mógł naprawdę zakochać w Annie, była ona zbyt intelektualna, zbyt nerwowa, chorowita, zbyt podobna do mnie. Jeżeli Albertyna zdawała mi się teraz pusta, Anna była wypełniona czymś, co znałem za dobrze. Owego pierwszego dnia, na plaży, widziałem w niej jakąś kochankę rekordzisty, upojoną szałem sportu; otóż Anna powiadała mi, że jeżeli zaczęła uprawiać sport, to na rozkaz lekarza, jako odtrutkę na swoją neurastenię i zaburzenia odżywcze, ale że najmiłsze jej godziny były te, kiedy tłumaczyła powieść George Eliot. Zawód mój, skutek pierwotnej omyłki co do charakteru Anny, nie miał w rzeczywistości dla mnie żadnego znaczenia. Ale omyłka była z tych, które, jeżeli się pozwolą narodzić miłości, a okażą się omyłką aż wówczas, kiedy miłość jest już nie do odrobienia, stają się przyczyną cierpień. Takie omyłki — a mogą być różne od tej, jaką popełniłem wobec Anny, nawet odwrotne — wynikają często — specjalnie w wypadku Anny — stąd, że ktoś przybiera zuchwale postać i wzięcie czegoś, czym nie jest, ale czym by chciał być, aby omamić w pierwszej chwili. Udanie, naśladownictwo, chęć budzenia podziwu w ludziach złych lub dobrych dodają do zewnętrznego wyglądu mistyfikację słów i gestów. Bywają cynizmy, okrucieństwa, które nie wytrzymują próby, tak samo jak pewne dobroci, pewne szlachetności. Jak często odkrywamy próżnego skąpca w człowieku znanym z dobroczynności, tak fanfaronada występku ukazuje nam Messalinę w uczciwej dziewczynie pełnej przesądów. Myślałem, że znalazłem w Annie naturę zdrową i pierwotną, gdy ona była jedynie istotą szukającą zdrowia, jak zapewne wiele osób, co do których Anna również ludziła się, że w nich znalazła zdrowie, a które w rzeczywistości miały go nie więcej niż gruby artretyk o czerwonej twarzy i w białej flanelowej kurtce, niekoniecznie będący Herkulesem. Otóż bywają okoliczności, w których nie jest obojętne dla szczęścia, że osoba, którą pokochaliśmy za to, co się w niej zdawało zdrowe, jest w istocie jednym z owych chorych stworzeń, czerpiących zdrowie jedynie od innych, jak planety pożyczają swego światła, jak pewne ciała tylko przepuszczają elektryczność.

Ale mniejsza: Anna, jak Rozamonda i Gizela, nawet bardziej od nich, była bądź co bądź przyjaciółką Albertyny, dzielącą jej życie, naśladowującą jej wzięcie, tak że pierwszego dnia nie rozróżniłem ich zrazu. Między tymi dziewczętami, gałązkami róży, których głównym urokiem było to, że się rysowały na tle morza, panowała ta sama wspólnota, co w czasie, kiedy ich nie znałem i kiedy zjawienie się jednej z nich wzruszało mnie tak mocno, zwiastując, iż cała gromadka jest niedaleko. I teraz jeszcze widok jednej sprawiał mi przyjemność, w którą — w proporcji niedającej się określić — wchodziło to, że zobaczę niebawem inne, a nawet, jeśli nie przyszły tego dnia, że mogę mówić o nich, być pewnym, że się dowiedzą o mojej bytności na plaży.

To już nie był po prostu czar owych pierwszych dni, to była prawdziwa chęć kochania, wahająca się między wszystkimi — tak bardzo każda z nich była naturalnym zastępstwem innej. Największym moim smutkiem nie byłoby być porzuconym przez tę z dziewcząt,

którą wołałem, ale byłbym natychmiast wołał tę, co mnie porzuciła, bo złożyłbym w niej całą sumę smutku i marzenia, bujającą między wszystkimi. A i wówczas oplakiwałbym nieświadomie wszystkie jej przyjaciółki, w których oczach straciłbym rychło wszelki urok, wyznawszy im ten rodzaj zbiorowej miłości, jaką polityk lub aktor żywią do tłumu, po którego zubożeniu nie mogą się pocieszyć, zaznawszy wprzód wszystkich jego faworów. A nawet tych faworów, których nie mogłem uzyskać od Albertyny, spodziewałem się nagle od którejś z nich, kiedy, rozstając się ze mną wieczór, rzuciła mi dwuznaczne spojrzenie lub słówko, dzięki czemu ku niej właśnie przez cały dzień zwracało się moje pragnienie.

Błądziło ono między nimi tym rozkoszniej, ile że na tych zmiennych twarzach prowizoryczne ustalenie rysów zaczęło się na tyle, aby można było rozróżnić — choćby się te rysy miały zmienić jeszcze — ich podatny i płynny kształt. Różnicom istniejącym między nimi nie odpowiadały z pewnością różnice w długości i szerokości rysów, pokrywających się niemal, mimo że dziewczęta zdawały się tak odmienne. Ale nasza znajomość twarzy nie jest matematyczna. Po pierwsze, nie zaczyna od mierzenia części; jej punktem wyjścia jest wyraz, całość. U Anny, na przykład, delikatna słodycz oczu zdawała się przechodzić w wąski nos, cienki niby łuk wykreślony po to, aby sprowadzić do jednej linii subtelny myśl, rozdzieloną poprzednio w podwójnym uśmiechu bliźniaczych spojrzeń. Równie delikatna linia dzieliła jej włosy, miękka i głęboka jak ta, którą wiatr żłobi w piasku. I musiała być dziedziczna; zupełnie siwe włosy matki Anny wichrzyły się w ten sam sposób, tworząc wzgórza i wklęsłości, niby śnieg, gdy się wznosi lub zapada wedle nierówności terenu. Zapewne w porównaniu z subtelnym zarysem nosa Anny, nos Rozamondy uderzał swoimi szerokimi płaszczyznami, niby wysoka wieża wsparta na mocnej podstawie. Wyraz wystarcza, aby dać wrażenie ogromnych różnic, mimo że one są nieskończenie drobne; owo „nieskończenie drobne” może samo przez się stworzyć wyraz zupełnie swoisty, indywidualność. Ale to nie znaczy, aby tylko owe nieskończenie drobne odchylenia linii wraz z oryginalnością wyrazu — czyniły te twarze czymś niedającym się sprowadzić do siebie wzajem. Między twarzami tych dziewcząt koloryt tworzył jeszcze głębszy przedział; nie tyle przez urozmaiconą piękność tonów tak sprzecznych, żem znajdował wobec Rozamondy — napojonej kolorem różowym o odcieniu siarki, który nasycalo jeszcze zielonkawę lśnienie oczu — i wobec Anny — której białym policzkom dawały tyle surowej dystynkcji czarne włosy — ten sam rodzaj przyjemności, co gdybym oglądał kolejno geranię nad brzegiem zalanego słońcem morza i kamelię w nocy; ale zwłaszcza dlatego, że nieskończenie drobne różnice linii rosły nieproporcjonalnie, stosunki powierzchni zmieniały się zupełnie od tego nowego elementu — koloru, będącego zarówno rozdawcą karnacji, jak wielkim odnowicielem lub co najmniej przeobrażicielem wymiarów. Tak iż zależnie od tego, czy twarze (mało może różniące się budową) były oświetlone ogniem rudych włosów, różowej cery, czy też białym światłem matowej bledkości, wydłużały się lub poszerzały, stawały się czymś innym, jak owe akcesoria rosyjskiego baletu, polegające czasem, kiedy je oglądamy w biały dzień, na prostych krążkach papieru, które geniusz jakiegoś Baksta, wedle szkarłatnego lub księżycowego oświetlenia, w jakim zanurza dekorację, każe inkrustować się w nie twardo na kształt turkusów na fasadzie pałacu lub rozkwitać miękko niby róża bengalska w ogrodzie. Uświadamiając sobie twarze w ten sposób, mierzymy je dobrze, ale jak malarze, nie zaś jak geometry.

Z Albertyną było to samo, co z jej przyjaciółkami. W pewne dnię szczupła, o szarej cerze, chmurna, kiedy fioletowa przejrzystość wnikała skośnie w głąb jej oczu, jak się zdarza czasami z morzem, zdawała się oddychać smutkiem wygnanki. W inne dnię twarz jej, bardziej gładka, więziła pragnienia lepem swojej lakierowanej powierzchni i nie przepuszczała ich dalej; chyba żem ją ujrzał nagle z boku, bo jej policzki, matowe i woskowo-białe na powierzchni, przeświecały różowo, co budziło taką ochotę ucałowania ich, osiągnięcia tej odmiennej, wymykającej się karnacji. Innym razem szczęście kąpało jej policzki w blasku tak ruchliwym, że skóra, stawszy się płynna i mglista, przepuszczała jak gdyby podskórne spojrzenia, sprawiające, iż skóra zdawała się jakby innego koloru, ale nie z innej materii niż oczy; czasami, kiedy się po prostu patrzyło na jej twarz, usianą ciemnymi punkcikami, wśród których pływały jedynie dwie błękitniejsze plamy, to było coś jak jajko szczygłe, często jak opalizujący agat, oszlifowany i gładki tylko w dwóch miejscach, gdzie w ciemnym kamieniu błyszcząły niby przezroczyste skrzydła lazuruwego

motyla: oczy, w których skóra staje się zwierciadłem, dającym złudzenie, że pozwala nam, bardziej niż w innych punktach ciała, zbliżyć się do duszy. Ale najczęściej Albertyna była bardziej kolorowa i wówczas bardziej ożywiona; czasem na jej białej twarzy tylko koniec nosa był różowy, delikatny jak u przebiegłej młodej kotki, z którą miałoby się ochotę bawić; czasem policzki były tak gładkie, że spojrzenie ślizgało się po ich różowej emalii niby po miniaturze, którą uchylone i pokryte jej czarnymi włosami wieczko czyniło jeszcze delikatniejszą, jeszcze bardziej poufną. Zdarzało się, że cera policzków osiągnęła różowy fiolet cyklamenu; czasem nawet ciemną purpurę róż o czerwieni niemal czarnej: było to wówczas, kiedy Albertyna, zgrzana lub podniecona, pozorem chorobliwej kompleksji ściągała moje pragnienie do czegoś bardziej zmysłowego, gdy równocześnie spojrzenia jej barwiły się czymś bardziej perwersyjnym i niezdrowym. I każda z tych Albertyn była tak odmienna, jak odmienne jest każde zjawienie się tancerki, której kolory, kształt, charakter, przeobrażają się wedle bogatej gry reflektorów.

Może dlatego, że tak różne były istoty, jakie w niej oglądałem w owej epoce, przyzwyczałem się później stawać się sam innym człowiekiem zależnie od jednej z Albertyn, o której myślałem: zazdrosnym, obojętnym, zmysłowym, melancholijnym, wściekłym, i to nie tylko zależnie od odradzającego się wspomnienia, ale wedle siły wiary wstawionej w jedno i to samo wspomnienie, zależnie od sposobu, w jaki je oceniałem. Bo zawsze do tego trzeba było wracać: do tych wierzeń, przeważnie wypełniających duszę bez naszej wiedzy, ale mimo to ważniejszych dla naszego szczęścia niż jakaś realna istota, którą widzimy, bo to poprzez nie ją widzimy, to one wyznaczają oglądanej istocie jej chwilowe wymiary. Gdybym chciał być ścisły, powinien bym dać odmienne imię każdemu *ja*, które w następstwie myślało o Albertynie; powinien bym tym bardziej dać odmienne imię każdej z owych Albertyn, które zjawiały się przede mną, nigdy te same, jak owe *morza* — nazywane przeze mnie dla większej wygody *morzem* — które następowały po sobie i na których tle ona rysowała się na kształt nimfy. Ale zwłaszcza — tak samo (ale o wiele użyteczniej) jak w opowiadaniu określamy pogodę danego dnia — powinien bym nazwać zawsze po imieniu wierzenie, które danego dnia, kiedy widział Albertynę, władało w mojej duszy, tworząc atmosferę, wygląd ludzkich istot jak wygląd mórz, zależnie od owych ledwie widzialnych chmur, zmieniających kolor każdej rzeczy, przez swoje zagęszczenie, ruchliwość, rozmieszczenie, chyżość — niby owa chmura, którą Elstir rozdarł pewnego wieczora, nie przedstawivszy mi na drodze dziewczętom, których oddalające obrazy wydały mi się nagle piękniejsze. W kilka dni później, kiedy je poznałem, ta chmura znów się skupiła, przesłaniając ich blask, stojąc często między nimi a moimi oczami, nieprzezroczysta i łagodna, podobna Leukothei Wirgiliusza.

Bez wątpienia twarze tych wszystkich dziewcząt zmieniły dla mnie znaczenie od czasu, jak właściwy sposób odczytywania ich odsłonił mi się poniekąd z rozmowy. Słowom ich mogłem przypisywać wartość tym większą, ile że swymi pytaniami wywoływałem je do woli, zmieniałem je jak badacz sprawdzający za pomocą kontrpróby swoje domysły. I ostatecznie to jest nie gorszy od innych sposobów rozwiązania zagadki istnienia; zbliżyć się do rzeczy i osób, które nam się wydały z daleka piękne i tajemnicze na tyle, aby sobie zdać sprawę z ich braku tajemnicy i piękności. To jedna z metod higieny, między którymi można wybierać; higiena ta nie jest może zbyt godna zalecenia, ale daje pewien spokój, pozwalający nam żyć, a także — skoro pozwala niczego nie żałować, przekonywując nas, żeśmy osiągnęli najlepsze i że owo najlepsze to było niewiele — dający nam rezygnację wobec śmierci

Zastąpiłem w mózgu tych dziewcząt pogardę czystości, wspomnienie codziennych miłości, uczciwymi zasadami, zdolnymi może zachwiać się, ale chroniącymi dotąd od wszelkiego zbłąkania istoty czerpiące owe zasady w swoim mieszczańskim środowisku. Otóż kiedy człowiek się pomylił zrazu, nawet w drobnych rzeczach, kiedy omyłka w domysłach lub we wspomnieniu każe nam szukać w fałszywym kierunku autora złośliwej plotki lub miejsca, gdzie się zgubiło jakiś przedmiot, może się zdarzyć, iż odkryjemy swój błąd jedynie po to, aby go zastąpić nie prawdą, lecz innym błędem. Wyciągnąłem — w tym, co się tyczyło sposobu życia tych dziewcząt i właściwego z nimi zachowania — wszystkie konsekwencje ze słowa „niewinność”, które rozmawiając z nimi swobodnie, wyczytałem w ich twarzy. Ale może czytając w pośpiechu, wyczytałem je niedokładnie i błędnie; może tak samo nie było tam wypisane, jak nazwisko Jules Ferry na programie

spektaklu, gdzie słyszał pierwszy raz Bermę, co mi nie przeszkodziło utrzymywać wobec pana de Norpois, że Jules Ferry, bez najmniejszej wątpliwości, pisuje jednoaktówki.

Gdy chodziło o którąś z tych dziewcząt, w jakim sposobie ostatnia jej twarz, jaką widziałem, nie byłaby w mojej pamięci jedyną? Z wspomnień naszych dotyczących danej osoby intelekt wyłącza wszystko, co się nie wiąże z bezpośrednim pożytkiem codziennych stosunków (nawet — i zwłaszcza wtedy — gdy te stosunki mieszczą trochę miłości, która, zawsze niezaspokojona, żyje najbliższą chwilą).

Intelekt pozwala uciekać łańcuchowi minionych dni, zachowuje tylko jego ostatnie ogniwo, często z zupełnie innego metalu niż owe zgubione w nocy i w podróży, jaką odbywamy przez życie; za prawdziwą uważa jedynie krainę, gdzie jesteśmy obecnie. Ale wszystkie wrażenia, już tak odległe, nie mogły znaleźć w mojej pamięci obrony przeciw ich codziennej deformacji; w ciągu długich godzin, jakie spędzałem rozmawiając, jedząc łakocie, bawiąc się z tymi dziewczętami, nie przypominałem sobie nawet, że to są te same bezlitosne i zmysłowe dziewice, którym ujrzał, niby na jakimś fresku, ciągnące nad morzem.

Geografowie, archeologowie prowadzą nas na wyspę Kalipso, odkopują pałac Minosa. Tylko że Kalipso jest już tylko kobietą, Minos tylko królem bez domieszki czegoś boskiego. Nawet przymioty i wady, które, wedle historii, były wówczas własnością tych bardzo realnych figur, różnią się często znacznie od wad i przymiotów, jakich użyliśmy bajecznym istotom, noszącym to samo imię. W ten sposób rozproszyła się cała wdzięczna mitologia oceaniczna, jaką stworzyłem w pierwszych dniach. Ale nie jest całkiem obojętne żyć bodaj czasem w pobliżu czegoś, cośmy uważali za niedostępne i czegośmy pragnęli. W obcowaniu osób, które się nam zrazu wydały niesympatyczne, trwa zawsze, nawet wśród sztucznej przyjemności, jakiej w końcu możemy przy nich kosztować, obrzask wad, jakie się im udało utaić. Ale w związkach takich, jak moje z Albertyną i jej przyjaciółkami, szczerą przyjemność będąca u początku tej przyjaźni, zostawia zapach, jakiego żadna sztuka nie da sztucznie pędzonym owocom, winogronom, co nie dojrzały w słońcu. Nadprzyrodzone istoty, jakimi były dla mnie przez chwilę, wносиły jeszcze, nawet bez mojej wiedzy, coś cudownego w moje najbanalniejsze z nimi stosunki lub raczej chroniły te stosunki od wszelkiej banalności. Moje pragnienie szukało tak chciwie znaczenia oczu, które teraz mnie znały i uśmiechały się do mnie, ale które pierwszego dnia skrzyżowały się z moimi niby promienie z innego świata; tak hojnie i tak starannie rozmieściło barwę i zapach na cieplej powłoce tych dziewcząt, gdy odpoczywając na brzegu podawały mi po prostu sandwicze lub bawiły się w zagadki! Często po południu, leżąc wyciągnięty — niby owi malarze, którzy, szukając w życiu nowoczesnym wielkości antyku, uczą kobietę obcinającej sobie paznokcie u nogi szlachetności *Wyciągającego cierni* lub którzy, jak Rubens, komponując sceny mitologiczne, robią boginie ze znajomych kobiet — patrzałem na owe ciała o typach tak rozmaitych, spoczywające dokoła mnie w trawie, nie oczyszczając ich może ze wszystkiej mierności, jaką napełniło je codzienne życie, a jednak nie przypominając sobie wyraźnie ich niebiańskiego pochodzenia, jak gdybym, podobny Herkulesowi lub Telemakowi, zabawiał się wśród nimf.

Potem skończyły się koncerty, przyszły niepogody, moje przyjaciółki opuściły Balbec, nie wszystkie naraz, jak jaskółki, ale w ciągu jednego tygodnia. Albertyna wyjechała pierwsza, nagle, tak że żadna z przyjaciółek nie mogła zrozumieć ani wówczas, ani potem, czemu ona tak prędko wróciła do Paryża, dokąd nie wzywały jej ani prace, ani rozrywki. „Nie powiedziała ani co, ani pstro, no i pojechała”, mamrotała Franciszka, pragnąca zresztą, abyśmy zrobili to samo. Uważała to za niedelikatność wobec personelu hotelowego, bardzo już uszczuplonego zresztą, ale więziona przez nielicznych pozostałych klientów; wobec dyrektora, który „przejadał pieniądze”. Prawda, że od dawna z hotelu, który niebawem zamykano, wyjechali prawie wszyscy; nigdy też nie był równie przyjemny. Inne miał o tym zdanie dyrektor; wzdłuż salonów, gdzie się marzło i u których drzwi nie czuwał już żaden groom, przebiegał korytarze, ubrany w nowy tużurek, wyswieżony przez fryzjera tak, że jego mdła fizys robiła wrażenie mieszaniny, gdzie na jedną partię ciała wchodzi trzy partie kosmetyku; zmieniający co chwila krawat (te elegancje kosztują taniej niż palić w piecu i zatrzymać personel: niejeden, nie mogąc już ofiarować dziesięciu tysięcy na cel dobroczynny, robi jeszcze wielkiego pana, dając pięć franków na piwo pocziarowi, który mu przyniesie telegram) dyrektor nasz robił wrażenie inspektora nicości, chcącego

siłą osobistego wykwintu dać coś prowizorycznego nędzy, jaką się czuło w tym hotelu po nieszczególnym sezonie; i zjawiał się niby upiór panującego, który wraca nawiedzać ruiny tego, co niegdyś było jego pałacem. Był zwłaszcza niezadowolony, kiedy lokalna kolejka, nie mając dosyć pasażerów, przestała funkcjonować aż do przyszłej wiosny. „Czego tu braknie — mówił dyrektor — to środków komocji”. Mimo deficytu, jaki właśnie rejestrował, robił na następne lata wspaniałe projekty. Że zaś był mimo wszystko zdolny wiernie zapamiętać piękne zwroty, kiedy odnosiły się do przemysłu hotelowego i miały na celu uświetnienie tegoż, powiadał: „Nie miałem tutaj odpowiedniej współpracy, mimo że w jadalni ekipa była zadowolająca; za to «strzelcy» pozostawiali nieco do życzenia; zobacz pan na przyszły rok, jaką falangę potrafię zmobilizować”.

Na razie przerwa w funkcjonowaniu kolejki zmuszała go do posyłania po listy, a czasem odwożenia podróżnych kariolką. Prosiłem często, aby mi pozwolił się obok woźnicy, dzięki czemu mogłem robić spacer w każdą pogodę, jak w czasie zimy, którą spędziłem raz w Combray.

Czasami jednak deszcz zatrzymywał mnie z babką (kasyno było zamknięte) w pokojach prawie pustych, niby pod pokładem w porze wichru. I co dzień, jak na okręcie, jakaś nowa osoba z tych, z którymi spędziliśmy trzy miesiące, nie zaznajamiając się, prezydent z Rennes, dziekan z Caen, Amerykanka z córkami zbliżali się do nas, zagajali rozmowę, wymyślali nowe zabicie czasu, zdradzali jakieś talenty, uczyli nas jakiejś gry, zapraszali na herbatę lub na muzykowanie, zmagali się na pewną godzinę, aby kombinować wspólnie jakieś rozrywki, posiadające prawdziwy sekret przyjemności, mianowicie ten, aby nie gonić za nią, lecz po prostu pomagać zabić nudę. Słowem, zawiązywali z nami pod koniec naszego pobytu stosunki, które kolejne ich wyjazdy miały nazajutrz pozrywać. Zapoznałem się nawet z bogatym młodzieńcem, z jednym z dwóch jego szlachetnie urodzonych przyjaciół i z aktorką, która wróciła na kilka dni; ale gromadka ich składała się już tylko z trojga osób, bo drugi przyjaciel wrócił do Paryża. Prosił mnie, abym z nimi pojechał na obiad do restauracji; sądzę, iż byli dość radzi, żem odmówił. Ale zaproszenie było najuprzejmiejsze w świecie; pochodziło w rzeczywistości od bogatego młodzieńca (inne osoby były tylko jego gośćmi); ale ponieważ przyjaciel jego, margrabia Maurycy de Vaudémont, był z bardzo wielkiego domu, instynktownie aktorka, pytając, czy nie zechcę przyjść, rzekła, aby mi pochlebić:

— To by zrobiło taką przyjemność Maurycemu.

I kiedy w hallu spotkałem wszystkich troje, bogaty młodzieniec cofnął się na drugi plan, gdy pan de Vaudémont mnie zagadnął:

— Nie robi nam pan tej przyjemności, aby zjeść z nami obiad?

W sumie bardzo mało skorzystałem z Balbec, co jedynie pomnażało moją ochotę wrócenia tam. Zdawało mi się, żem bawił za krótko. Inny był pogląd moich przyjaciół, którzy pytali mnie w listach, czy zamierzam tu siedzieć wiecznie. I widząc, że oni muszą wypisywać na kopercie nazwę Balbec, gdy równocześnie moje okno, zamiast otwierać się na pole lub na ulicę, wychodzi na niwę morza; słysząc w nocy jego szum, któremu przed zaśnięciem powierzałem, niby łódź, mój sen, miałem złudzenie, że to współżycie z falami musi materialnie, bez mojej wiedzy, utrwalić we mnie poczucie ich uroku, na kształt lekcji, których uczymy się, śpiąc.

Dyrektor ofiarowywał mi na przyszły rok najlepszy apartament, ale byłem teraz związany do mojego pokoju. Wchodząc, nie czułem już zapachu „bagna”, a myśl moja, dociągająca się niegdyś tak trudno do jego wymiarów, zdjęła je w końcu tak dokładnie, że trzeba mi było poddać ją odwrotnej kuracji, kiedy wypadło mi spać w Paryżu, jak dawniej, pod niskim sufitem.

Trzeba było w istocie opuścić Balbec; zimno i wilgoć stały się zbyt przejmujące, abym mógł zostać dłużej w hotelu pozbawionym kominków i kaloryfera. Zapomniałem zresztą prawie natychmiast owych ostatnich tygodni. Myśląc o Balbec, oglądałem prawie nieodmiennie chwile, kiedy co rano, w piękną pogodę, gdy miałem po południu wyjść z Albertyną i jej przyjaciółkami, babka nakazywała mi na zlecenie lekarza leżeć przedtem po ciemku. Dyrektor wydawał rozkazy, aby nie robiono hałasu na moim piętrze i sam czuwał, by tego przestrzegano. Z powodu zbytńskiego światła, trzymałem możliwie najdłużej zasunięte fioletowe portiery, tak wrogię mi pierwszego wieczora. Ale mimo szpilek, którymi dla uszczelnienia portier Franciszka spinała je co wieczór i które ona

jedna umiała rozpinąć; mimo kółder, czerwonych kretonowych obrusów, przeróżnych materii, jakie dopasowywała, nie mogła ich spoić całkowicie, ciemność nie była zupełna, a zasłony pozwalały się rozlewać na dywanie niby szkarłatnym płatkom anemonów, i nie mogłem się wstrzymać, aby nie stanąć wśród nich na chwilę bosymi nogami. A na ścianie, częściowo oświetlonej, znajdującej się na wprost okna, złoty walec, niepodparty niczym, stał prostopadłe i przesunął się z wolna, niby ów świetny słup poprzedzający Żydów na pustyni. Kładłem się z powrotem, zmuszony kosztować bez ruchu, jedynie przez wyobraźnię, przyjemności gry, kąpieli, spaceru — wszystkich naraz — jakie doradzał ranek; i radość kazała bić hałaśliwie memu sercu niby maszynie funkcjonującej całą parą, ale nieruchomej, która może wyładować swoją szybkość jedynie w miejscu, kręcąc się dokoła samej siebie.

Wiedziałem, że moje przyjaciółki są na promenadzie, ale nie widziałem ich, podczas gdy one szły wzdłuż nierównych pagórków morza, w którego głębi odcinało się niekiedy na niebie Rivebelle, wznoszące się pośród jego sinych wierzchołków, niby włoskie miasteczko, drobiazgowo wyrzeźbione słońcem. Nie widziałem swoich przyjaciółek, ale (podczas gdy do mojego *belvedere* dochodziły krzyki przekupniów dzienników — „dziennikarzy”, jak ich nazywała Franciszka — wołania letników i bawiących się dzieci, punktujących niby krzyki ptaków morskich szmer fal, łamiących się łagodnie) zgadywałem ich obecność, słyszałem ich śmiech, spowity jak śmiech nereid w słodki plusk dochodzący moich uszu.

— Patrzyłyśmy — mówiła mi wieczorem Albertyna — żeby zobaczyć, czy zejdziesz. Ale żaluzje były zamknięte, nawet w porze koncertu.

W istocie, o dziesiątej koncert buchał pod moimi oknami. Kiedy był przyływ, w zespół instrumentów mieszało się płynne i ciągłe chlupotanie fali, zdającej się zawijać dźwięki skrzypiec w swoje kryształowe woluty i tryskać pianą ponad przerywane echa podmorskiej muzyki. Chciałem się ubierać, niecierpliwiłem się, że mi jeszcze nie dano rzeczy. Było południe, wreszcie przybywała Franciszka. I przez szereg miesięcy w tym Balbec, którego tak pragnąłem, bom je sobie wyobrażał jedynie smagane burzą i tonące we mgłach, pogoda była tak olśniewająca i stała, że kiedy Franciszka przychodziła otworzyć okno, mogłem zawsze bez zawodu oczekiwać, iż ujrzę tę samą ścianę słońca złożoną w rogu, o niezmiennym kolorze, mniej wzruszającym jako znak lata niż martwym jako znamię nieżywej i sztucznej emalii. I podczas gdy Franciszka wyjmowała szpilki z portier, zdejmowała materie, rozsuwała firanki, odsłaniany przez nią letni dzień zdawał się równie umarły, równie odwieczny, co wspaniała i tysiącletnia mumia, którą by nasza stara służąca ostrożnie odwijała ze wszystkich gizeł, zanim ją ukaże zabalsamowaną w jej złotej szacie.

Światło, Słońce, Lato

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/w-cieniu-zakwitajacych-dziewczatom-trzeci>

Tekst opracowany na podstawie: Marcel Proust, W poszukiwaniu straconego czasu, W cieniu zakwitających dziewcząt, tom trzeci, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Towarzystwo Wydawnicze "Rój", Warszawa 1937.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Publikacja sfinansowana ze środków pozostałych ze zbiorów, które nie zakończyły się sukcesem.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0721-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.